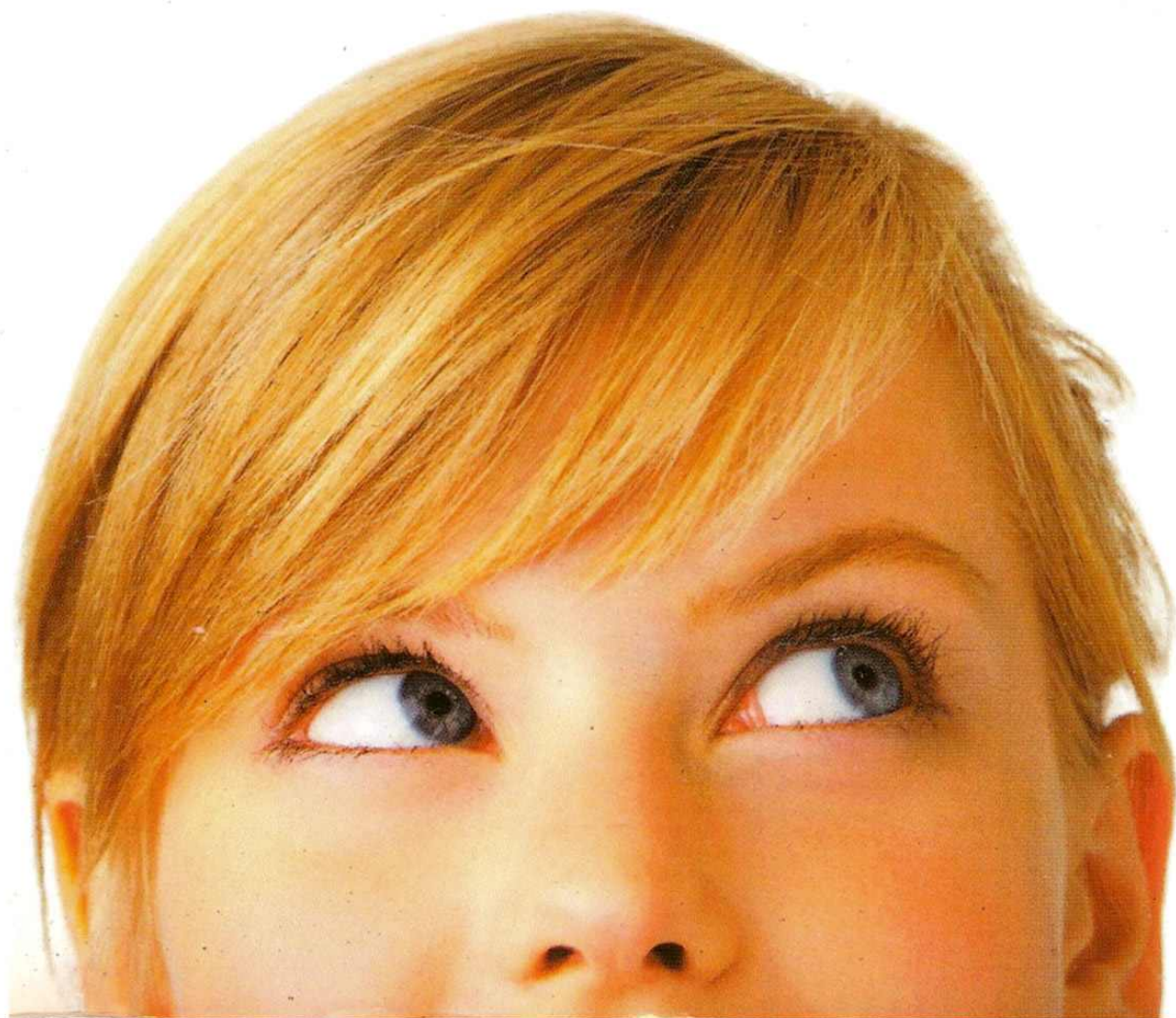


guillaume

musso

BĘDZIESZ TAM?



guillaume
MUSSO

BĘDZIESZ TAM?

z francuskiego przełożyła
KRYSTYNA KOWALCZYK



WARSZAWA 2008

*Przynajmniej raz każdy zadał sobie to pytanie:
gdybym mógł cofnąć czas, co zmieniłbym w swoim
życiu?*

*Gdybyśmy mogli zacząć wszystko od początku,
jakie błędy pragnęlibyśmy naprawić? Jaki ból,
jakie wyrzuty sumienia, jaki żal chcielibyśmy
wymazać?*

*Czy mielibyśmy dość odwagi, by nadać
swojemu życiu nowy sens?*

Jeśli tak, to kim byśmy się stali?

Dokąd byśmy poszli?

I z kim?

Prolog

Północno-wschodnia Kambodża

Pora deszczowa

Wrzesień 2006

Helikopter Czerwonego Krzyża wylądował o czasie.

Miasteczko wzniesione na wysokim, otoczonym lasami płaskowyżu liczyło około setki prymitywnych zabudowań skleconych z otoczków i gałęzi. Miejsce, odległe od turystycznych regionów Angkoru i Phnom Penh, wydawało się zagubione i nietknięte przez cywilizację. Powietrze przesycone było wilgocią, a wszystko wokół pokryte błotem.

Pilot nawet nie wyłączył silnika. Miał za zadanie przewieźć do miasta członków medycznej misji humanitarnej. Nic prostszego, w normalnych warunkach. Niestety, był wrzesień i rześiste ulewy utrudniały sterowanie maszyną. Jeśli chodzi o zapasy paliwa, były ograniczone, niemniej wystarczały do przetransportowania całej ekipy do bezpiecznej przystani.

Pod warunkiem że wszystko przebiegnie sprawnie...

Dwaj chirurdzy, jeden anestezjolog i dwie pielęgniarki wybiegli z prowizorycznego ambulatorium, w którym pracowali od wczoraj. W ciągu ostatnich tygodni przemierzyli okoliczne wioski, lecząc – najlepiej jak było można – chorych dotkniętych malarią i gruźlicą oraz zarażonych HIV. Na tym skrawku ziemi, wciąż jeszcze nafaszerowanym minami przeciwpiechotnymi, opatrywali amputowane kończyny i zaopatrywali rannych w protezy.

Na sygnał dany przez pilota czworo spośród pięciorga członków ekipy wpakowało się do helikoptera. Ostatni pasażer, mężczyzna około sześćdziesiątki, został nieco w tyle i spoglądał na grupkę Khmerów otaczających maszynę. Wyraźnie ociągał się z wejściem na pokład.

– Musimy ruszać, doktorze! – krzyknął do niego pilot. – Jeśli nie wystartujemy natychmiast, nie zdąży pan na swój samolot.

Lekarz kiwnął głową. Już zamierzał wsiaść do helikoptera, kiedy jego wzrok napotkał oczy dziecka trzymanego na rękach przez starca. Ile mogło mieć lat? Dwa? Najwyżej trzy. Jego mała twarzyczka była straszliwie zniekształcona przez pionową szczelinę przecinającą górną wargę. Deformacja wrodzona, skazująca je na odżywianie się przez całe życie wyłącznie zupą i papkami, uniemożliwiająca artykulację choćby najprostszego słowa.

– Niech się pan pospieszy! – ponaglała jedna z pielęgniarek.

– Trzeba zoperować to dziecko – odpowiedział lekarz, usiłując przekrzyczeć śmigło wirujące hałaśliwie nad jego głową.

– Już za późno! Drogi są nieprzejezdne z powodu powodzi, a helikopter nie będzie mógł wrócić tu po pana wcześniej niż za kilkanaście dni.

Lekarz nie ruszył się z miejsca. Nie mógł oderwać wzroku od chłopczyka. Wiedział, że w tej części świata dzieci urodzone z zajęczą wargą bywały – zgodnie z dawnymi zwyczajami – porzucane przez rodziców. Kiedy takie dziecko trafiało do sierocińca, ta wada pozbawiała je szansy na znalezienie rodziny adopcyjnej.

Pielęgniarka ponowiła atak:

– Pojutrze musi pan być w San Francisco, doktorze. Przed panem mnóstwo operacji, nie wspominając o wykładach i...

– Lećcie beze mnie – uciał krótko i oddalił się od maszyny.

– W takim razie zostaję z panem – oznajmiła bez wahania jedna z pielęgniarek, zeskakując na ziemię.

Miała na imię Emily i była młodą Amerykanką pracującą razem z lekarzem w jednym szpitalu.

Pilot tylko westchnął i pokręcił głową. Helikopter wzniósł się pionowo, zawisł na krótką chwilę w powietrzu, po czym oddalił się w kierunku zachodnim.

Lekarz wziął dziecko na ręce. Było blade i skulone. Z pomocą pielęgniarki zaniósł je do ambulatorium i zaczął do niego mówić, chcąc zmniejszyć jego strach przed podaniem narkozy. Kiedy chłopczyk zasnął, ostrożnie naciął skalpelem podniebienie i naciągnął brzegi, żeby zespolić szczelinę. Następnie, postępując w ten sam sposób, zrekonstruował wargi, aby zwrócić dziecku uśmiech.

*

Kiedy operacja została zakończona, wyszedł i usiadł na chwilę na werandzie pokrytej blachą i suchymi liśćmi. To był długi zabieg, a on nie spał od prawie dwóch dni. Teraz poczuł ogarniające go zmęczenie. Zapalił papierosa i rozejrzał się wkoło. Deszcz prawie ustał. Przez dziurę w niebie przelewało się oślepiające, purpurowe światło.

Nie żałował, że został. Każdego roku wyjeżdżał z Czerwonym Krzyżem na kilka tygodni do Afryki albo do Azji. Te misje humanitarne były wyczerpujące, ale z czasem stały się narkotykiem, sposobem na ucieczkę od dobrze zorganizowanego życia ordynatora oddziału jednego z kalifornijskich szpitali.

Gasząc papierosa, poczuł za plecami czyjaś obecność. Odwrócił się i zobaczył starego mężczyznę, który trzymał na rękach dziecko w chwili, gdy helikopter szykował się do odlotu. Był to ktoś w rodzaju wodza wioski. Ubrany w tradycyjny strój, miał zgarbione plecy i twarz pooraną bruzdami. W geście pozdrowienia przysunął złożone

dłonie do brody, wyprostował się i popatrzył na lekarza. Potem zapraszającym gestem wskazał wewnątrz swojego domostwa, gdzie poczęstował go alkoholem ryżowym. Po chwili milczenia rzekł:

– Nazywa się Lou-Nan.

Lekarz domyślił się, że chodzi o imię dziecka, więc tylko kiwnął głową.

– Dziękuję, że zwróciłeś mu twarz – dodał stary Khmer.

Chirurg przyjął to podziękowanie z pokorą i lekko zażenowany odwrócił wzrok. Przez okno pozbawione szyb spojrzął na rozciągający się w pobliżu las tropikalny, gęsty i zielony. Zabawnie było myśleć, że zaledwie parę kilometrów dalej i trochę wyżej, w górach Ratanakiri, żyją jeszcze tygrysy, węże i słonie...

Zatopiony w myślach, ledwie uchwycił sens słów wypowiedzianych z nienacką przez gospodarza:

– Gdybyś mógł spełnić jedno pragnienie, które byś wybrał?

– Słucham?

– Jakie jest twoje największe pragnienie, doktorze?

Z początku lekarz szukał w myślach jakiejś mądrej odpowiedzi, ale przytłoczony zmęczeniem i pod wpływem nagłego wzruszenia, odpowiedział cicho:

– Chciałbym zobaczyć pewną kobietę.

– Kobietę?

– Tak, tylko jedną... Jedyną, która się liczyła.

Raptem, w tym miejscu oddalonym o tysiące kilometrów od zachodniego świata, coś uroczystego wkradło się między tych dwóch mężczyzn.

– Ta kobieta, nie wiesz gdzie ona jest? – spytał stary Khmer zaskoczony prostotą odpowiedzi swojego rozmówcy.

- Umarła trzydzieści lat temu.

Azjata zmarszczył brwi i popadł w głęboką zadumę. Po chwili ciszy wstał z godnością i przeszedł w głąb pomieszczenia, gdzie na prymitywnie skleconych półkach trzymał część swoich talizmanów: suszone koniki morskie, korzenie żeń-szenia, jadowite węże zamknięte w słojach z formaliną...

Przez moment szperał w tej zbieraninie, po czym najwidoczniej znalazł to, czego szukał.

Kiedy wrócił, podał lekarzowi maleńki flakonik z dmuchanego szkła. W środku było dziesięć połączonych pigulek...

1

Spotkanie pierwsze

Pewnego pięknego wieczoru przyszłość staje się przeszłością. Wtedy właśnie odwracamy się i widzimy własną młodość.

Louis Aragon

Lotnisko w Miami

Wrzesień 1976

Elliott ma 30 lat

Jest niedziela, wrześniowe słoneczne popołudnie na Florydzie... Młoda kobieta siedząca za kierownicą thunderbirda z opuszczonym dachem, podjeżdża drogą prowadzącą do terminalu lotniska. Pęd powietrza rozwiewa jej włosy, dziewczyna jedzie szybko, wyprzedza kilka samochodów, po czym zatrzymuje się na krótką chwilę przed halą odlotów, żeby wysadzić siedzącego obok niej pasażera. Mężczyzna wyjmuje torbę podróżną z bagażnika i pochyla się nad opuszczoną szybą, aby dać całusa swojemu kierowcy. Potem trzaska drzwiami i wchodzi do budynku ze szkła i stali.

Mężczyzna to Elliott Cooper. Ujmująca powierzchowność, strzelista sylwetka. Pracuje w jednym ze szpitali w San Francisco jako lekarz, ale skórzana kurtka i rozwichrzone włosy nadają mu chłopięcy wygląd.

Machinalnie kieruje się do stanowiska odprawy, gdzie odbiera swoją kartę pokładową: Miami – San Francisco.

– Założę się, że już za mną tęsknisz...

Słyszając znajomy głos, zaskoczony Elliott odwraca się gwałtownie.

Stojąca przed nim kobieta spogląda na niego szmaragdowymi oczami, wyzywająco i czule zarazem. Ma na sobie dżinsy z obniżoną talią, obcisłą zamszową kurteczkę ozdobioną naszywką z napisem: *peace and love* oraz T-shirt w barwach Brazylii, z której pochodzi.

– Kiedy to ostatni raz cię pocałowałem? – pyta Elliott, kładąc dłoń na jej szyi.

– Chyba przed minutą.

– O, to już cała wieczność... Obejmuje ją i tuli w ramionach.

Ma na imię Ilena i jest kobietą jego życia. Zna ją od dziesięciu lat i zawdzięcza jej wszystko, co w nim najlepsze: zawód lekarza, otwarcie na innych i wymagania, jakie sobie stawia...

Jest nieco zdziwiony, że wróciła, wbrew wspólnemu postanowieniu, że będą unikać długich scen pożegnania. Tych kilka dodatkowych minut dostarcza w efekcie więcej cierpień niż radości.

Dlatego że historia tych dwojga jest dość skomplikowana. Ona mieszka na Florydzie, on w San Francisco.

Ich wieloletnia miłość nadal trwa, mimo że żyją w różnych strefach czasowych, oddzieleni czterema tysiącami kilometrów – jedno na Wschodnim, a drugie na Zachodnim Wybrzeżu.

Po tylu latach znajomości mogliby wreszcie razem zamieszkać. Jednak wciąż nie mogą się na to zdecydować. Z początku obawiali się upływu czasu, bo codzienne obcowanie i spokojniejsze życie mogłyby pozbawić ich uniesień przeżywanych przy każdym ponownym spotkaniu – doznań, które były jak tlen.

Poza tym, każde z tych dwojga ma własne życie zawodowe. Jedno zwrócone jest w stronę Pacyfiku, drugie – ku Atlantykwowi. Po

nieskończenie długich studiach medycznych Elliott otrzymał niedawno stanowisko chirurga w jednym ze szpitali San Francisco. Ilena zaś jest weterynarzem i zajmuje się zawodowo delfinami i orkami w Ocean World w Orlando, największym parku morskim. Od paru miesięcy poświęca również sporo czasu organizacji Greenpeace, o której zaczyna być głośno. Założona przed czterema laty przez grupę wojujących pacyfistów i ekologów liga „tęczowych bojowników” stała się znana dzięki swojej walce przeciw próbom nuklearnym. Jednak głównym powodem, dla którego niedawno przyłączyła się do nich Ilena, jest kampania przeciwko zabijaniu wielorybów i fok.

Tak więc zarówno Elliott, jak i Ilena prowadzą życie, w którym nie ma czasu na nudę. Chociaż... Z czasem każde kolejne rozstanie staje się trudniejsze od poprzedniego.

Pasażerowie lotu siedemset jedenaście do San Francisco proszeni są o natychmiastowe udanie się do wyjścia numer osiemnaście...

– To twój samolot? – pyta dziewczyna, wysuwając się z objęć Elliotta.

Elliott kiwa głową i odpowiada pytaniem na pytanie, bo dobrze zna Ilenę:

– Czy chcesz mi coś powiedzieć, zanim się rozstaniemy?

– Tak, ale odprowadzę cię do samego wyjścia numer osiemnaście – mówi, biorąc go za rękę.

Idąc tak u jego boku, zaczyna coś mówić z tym swoim południowoamerykańskim akcentem, który go zniewala.

– Dobrze wiem, że świat zmierza ku katastrofie, Elliott: zimna wojna, widmo komunizmu, wyścig zbrojeń...

Przy każdym rozstaniu on patrzy na nią, jakby widział ją po raz ostatni. Jest taka piękna! Taka promienna!

– ...wyczerpanie naturalnych zasobów, nie mówiąc już o skażeniu środowiska, niszczeniu lasów tropikalnych i...

– Ileno?

– Tak? Słucham.

– Do czego właściwie zmierzasz?

– Zróbmy sobie dziecko, Elliott...

– Tu, natychmiast, na lotnisku? Na oczach tego tłumu ludzi?

To wszystko, na co się zdobywa. Odrobina humoru dla zamaskowania zdumienia. Ale Ilenie daleko jest do śmiechu.

– Ja nie żartuję, Elliott. Radzę, żebyś się nad tym poważnie zastanowił – mówi, po czym uwalnia swoją dłoń z jego ręki i kieruje się do wyjścia.

– Zaczekaj! – krzyczy Elliott, chcąc ją zatrzymać.

Ostatnie wezwanie dla pana Elliotta Coopera, pasażera lotu siedemset jedenaście do...

– Jasna cholera! – klnie i zrezygnowany wchodzi na schody ruchome prowadzące do strefy odlotów.

Kiedy jest prawie na samej górze, odwraca się, żeby ostatni raz pomachać jej na pożegnanie. Jesienne słońce zalewa halę odlotów. Elliott macha ręką. Ale Ileny już nie ma.

*

Lot trwał sześć godzin. Kiedy samolot wylądował w San Francisco, w Kalifornii minęła już godzina dwudziesta pierwsza.

Elliott zamierzał opuścić terminal i wsiąść do taksówki, ale się rozmyślił. Umierał z głodu. Wytracony z równowagi ostatnimi słowami Ileny, nawet nie tknął jedzenia serwowanego w samolocie, a w domu lodówka była pusta. Na drugim piętrze zauważył restaurację, Golden Gate Café. Już kiedyś w niej był z Mattem,

najlepszym przyjacielem, który czasami towarzyszył mu w wyprawach na Wschodnie Wybrzeże. Zajął miejsce przy barze i zamówił sałatkę, dwa precle i kieliszek chardonnay. Przetarł oczy zmęczone długim lotem i poprosił o żeton do automatu telefonicznego stojącego w głębi sali. Wybrał numer Ileny, ale nikt nie odpowiadał. Z powodu różnicy czasu na Florydzie dawno minęła już północ. Na pewno była w domu, ale może nie chciała z nim rozmawiać.

To było do przewidzenia...

Jednak Elliott nie żałował swojej reakcji na sugestię Ileny. Powód był prosty – nie pragnął dziecka.

Właśnie tak, a nie inaczej.

Nie chodziło wcale o jego uczucia: uwielbiał Ilenę i miał w sobie tyle miłości, że mógłby nią handlować. Ale to nie był wystarczający powód. W połowie lat siedemdziesiątych ludzkość najwyraźniej nie zmierzała w dobrym kierunku, a on, prawdę mówiąc, nie chciał brać na swoje barki odpowiedzialności za dziecko.

Były to argumenty, na które Ilena pozostawała głucha.

Wróciwszy na swoje miejsce przy barze, skończył jeść i zamówił kawę. Był zdenerwowany i bezwiednie wyłamywał palce ze stawów. W kieszeni marynarki wymacał paczkę papierosów i nie odmówił sobie przyjemności zapalenia.

Wiedział, że powinien z tym skończyć. Wokół coraz częściej mówiono o szkodliwości palenia. Badania prowadzone od piętnastu lat wykazywały związek uzależnienia od nikotyny z ryzykiem zachorowania na raka płuc i choroby układu krążenia, o czym Elliott, jako lekarz, doskonale wiedział. Tylko że, jak większość lekarzy, bardziej przejmował się zdrowiem pacjentów niż swoim własnym. Nie zapominajmy, że żył w czasach, gdy w restauracjach albo w samolotach palenie było jeszcze rzeczą normalną. W epoce, w

której papieros był symbolem *glamour* oraz wolności kulturowej i społecznej.

Niedługo przestanę, myślał, wydmuchując kłęb dymu, tyle tylko, że jeszcze nie teraz... Dzisiaj był zbyt zdeprimowany, by zdobyć się na taki wysiłek.

Błądząc po sali roztargnionym wzrokiem, spojrzął przez okno i wtedy zobaczył go po raz pierwszy: mężczyznę w bladoniebieskiej piżamie, który zdawał się go obserwować zza szyby. Zmrużył oczy, żeby przyjrzeć mu się dokładniej. Miał około sześćdziesiątki, wysportowaną sylwetkę i krótką, ledwie siwiejącą brodę, co upodobało go do starzejącego się Seana Connery'ego. Elliott zmarszczył brwi. Co ten typ robi na lotnisku o tak późnej porze, bosy i w piżamie?

Właściwie nie powinien się tym martwić, ale jakaś nieznana siła spowodowała, że wyszedł z restauracji i skierował się w jego stronę. Mężczyzna wyglądał na dezorientowanego, jakby sam nie wiedział, skąd się tu wziął. W miarę jak Elliott zbliżał się do nieznajomego, ogarniało go uczucie słabości, do której nie chciał się przyznać przed samym sobą. Kim był ten człowiek? Może pacjentem zbiegłym z jakiegoś szpitala albo zakładu... W takim razie, czy jako lekarz nie powinien mu pomóc?

Kiedy dzieląca ich odległość zmniejszyła się do około trzydziestu metrów, zrozumiał wreszcie, co nim tak wstrząsnęło. Mężczyzna przypominał mu ojca zmarłego przed pięcioma laty na raka trzustki.

Zbulwersowany tym odkryciem, podszedł jeszcze bliżej. Teraz podobieństwo było uderzające: te same rysy twarzy i dołek w policzku, taki sam jak u niego...

A gdyby to był on...?

Nie, trzeba się z tego otrząsnąć! Ojciec umarł, to pewne. Przecież widział, jak wkładano go do trumny i był obecny przy kremacji.

– Czy mogę panu jakoś pomóc?

Mężczyzna cofnął się o kilka kroków. Wydawał się równie wstrząśnięty jak Elliott. Przy tym sprawiał wrażenie kogoś jednocześnie silnego i bezradnego.

– Mogę panu pomóc? – powtórzył pytanie.

Tamten tylko wymamrotał:

– Elliott...

Skąd znał jego imię? Na dodatek ten głos...

Stwierdzenie, że nie byli sobie bliscy, zakrawało na eufemizm. Teraz jednak, kiedy ojciec nie żył, Elliott żałował czasami, że w przeszłości niewiele uczynił, by spróbować lepiej go zrozumieć.

Skonsternowany i świadomy absurdalności swojego pytania, zadał je głosem stłumionym przez emocję:

– Tata?

– Nie, Elliott, nie jestem twoim ojcem.

O dziwo, ta trzeźwa odpowiedź wcale go nie upewniła, jakby jakieś przeczucie podpowiadało mu, że to, co najdziwniejsze, dopiero nastąpi.

– W takim razie, kim pan jest?

Mężczyzna położył mu dłoń na ramieniu. Znajomy błysk pojawił się w jego oczach, ale odpowiedź padła dopiero po kilku sekundach.

– Jestem tobą, Elliott...

Lekarz cofnął się o krok i znieruchomiał jak rażony gromem; tymczasem mężczyzna dokończył zdanie:

– ...jestem tobą, za trzydzieści lat.

*

Mną? Za trzydzieści lat?

Elliott rozłożył ręce w geście oznaczającym brak zrozumienia.

– Co chce pan przez to powiedzieć?

Mężczyzna otworzył usta, ale nie zdążył dorzucić innych wyjaśnień: z jego nosa wypłynął strumień krwi, która spadała wielkimi kroplami na górę od piżamy.

– Proszę pochylić głowę do przodu! – rozkazał Elliott, wydając z kieszeni papierową serwetkę, którą przed chwilą odruchowo zabrał z restauracji, a teraz przykładął do twarzy mężczyzny. Uznał go za swojego pacjenta.

– To nic takiego – rzekł spokojnym tonem. Przez chwilę pożałował, że nie ma przy sobie torby lekarskiej, ale na szczęście krwotok szybko ustał.

– Proszę pójść ze mną. Trzeba obmyć twarz wodą.

Mężczyzna ruszył za nim bez słowa. Jednak kiedy znaleźli się w pobliżu toalet, zaczął się nagle trząść, jakby dostał ataku epilepsji.

Elliott chciał przyjść mu z pomocą, ale tamten go odepchnął.

– Zostaw mnie! – krzyknął i otworzył drzwi do łazienki.

W tej sytuacji Elliott postanowił zaczekać na zewnątrz. Czuł się odpowiedzialny za tego faceta, a nie był wcale pewien, czy wszystko z nim w porządku.

Co za historia! Najpierw to podobieństwo do ojca, potem zdanie bez sensu – „jestem tobą za trzydzieści lat” – a teraz krwotok z nosa i drgawki.

O kurwa, ale dzień!

Ale dzień jeszcze się nie skończył. Po chwili, uznawszy, że czeka zbyt długo, Elliott postanowił wejść do toalety.

– Proszę pana?

Było to długie pomieszczenie. Elliott obejrzał najpierw rząd umywalek. Nikogo nie zobaczył. Nie było tu ani okien, ani zapasowego wyjścia. Mężczyzna powinien zatem być w którejś kabinie.

– Jest pan tam?

Żadnej odpowiedzi. Obawiając się, że facet zemdlął, lekarz otworzył pierwsze drzwi: nikogo.

W drugiej kabinie: też nikogo.

Trzecia, czwarta... dziesiąta – również puste.

Zrozpaczony spojrzął na sufit: wszystkie płytki były na swoim miejscu.

Jakkolwiek wydawało się to niemożliwe, było oczywiste, że mężczyzna zniknął.

2

Interesuje mnie przyszłość: tam właśnie zamierzam spędzić najbliższe lata.

Woody Allen

San Francisco

Wrzesień 2006

Elliott ma 60 lat

Błyskawicznie otworzył oczy. Leżał w poprzek łóżka. Serce waliło mu w piersi jak oszalałe. Był zlany potem.

Jakiś cholerny koszmar!

Nigdy nie pamiętał swoich snów, a właśnie przyśniło mu się coś szczególnie dziwnego: błąkając się po lotnisku San Francisco, nagle wpadł na... na własnego sobowtóra. Tyle że młodszego i równie zdumionego na jego widok, jak on sam. Wszystko wydawało się takie realne, zbijające z tropu, jakby rzeczywiście został przeniesiony w przeszłość, trzydzieści lat wstecz.

Elliott nacisnął guzik zdalnie sterujący rozsuwaniem zasłon i spojrzał z niepokojem na leżący na nocnym stoliku szklany flakonik z małymi pozłaczanymi pigułkami. Otworzył go – w środku pozostało dziewięć kuleczek. Wczoraj przed snem połknął jedną przez ciekawość. Czyżby z jej powodu miał ten sen? Stary Khmer niejasno mówił coś na temat działania tego specyfiku, a nawet nie omieszkał uroczyście zalecić, żeby nigdy nie zażywać go niezgodnie z przeznaczeniem.

Elliott z trudem wstał z łóżka i podszedł do okna wychodzącego na marinę. Rozciągał się stąd przepiękny widok na ocean, wyspę Alcatraz i Golden Gate. Wschodzące słońce zalewało miasto czerwonym światłem zmieniającym odcień z minuty na minutę. W oddali żaglówki i promy mijały się przy dźwięku buczków przeciwmgielnych, i pomimo wczesnej pory, kilka osób uprawiających jogging biegało wzdłuż Marina Green po szerokim pasie zieleni ciągnącym się wzdłuż brzegu oceanu.

Ten znajomy widok nieco go uspokoił. Nabrał pewności, że wkrótce zdoła zapomnieć o burzliwej nocy. Ledwie o tym pomyślał, w szybie zobaczył wstrząsające odbicie: ciemną plamę rozlaną na górze od piżamy. Spuścił wzrok, żeby przyjrzeć się jej dokładnie.

Krew?

Serce zaczęło bić mocniej, ale tylko przez chwilę. Prawdopodobnie w nocy pociekła mu krew z nosa i stąd ten koszmarny sen. Klasyczny przypadek. Nie ma potrzeby się martwić.

Trochę spokojniejszy wszedł do łazienki, żeby przed pójściem do pracy wziąć prysznic. Wyregulował strumień wody i przez chwilę stał nieruchomo w kłębach pary, nie przestając rozmyślać. Coś jeszcze nie dawało mu spokoju. Ale co? Zaczął się rozbierać i wtedy intuicyjnie sięgnął do kieszeni piżamy. Znalazł w niej papierową serwetkę, na której, pod smugami krwi, można było dojrzeć kontur najsłynniejszego mostu w mieście, a nad nim napis: *Golden Gate Café – Lotnisko San Francisco*.

Serce Elliotta ponownie zabiło jak szalone, ale tym razem odzyskanie spokoju zajęło więcej czasu.

*

Czyżby tracił głowę z powodu choroby?

Przed kilkoma miesiącami zrobiono mu bronchoskopię, która wykazała raka płuc. Prawdę mówiąc, nie zdziwił się: nie można

bezkarnie przez czterdzieści lat palić paczki papierosów dziennie. Od dawna wiedział, czym to grozi, i pogodził się z konsekwencjami. Bywa i tak, całe życie jest jednym wielkim ryzykiem. Nigdy za wszelką cenę nie unikał zdarzeń, jakie niesie los, i nie starał się żyć w sposób szczególnie ostrożny. Na swój sposób wierzył w przeznaczenie: co ma być, to będzie. Człowiek musi być przygotowany na wszystko.

Obiektywnie rzecz biorąc, była to paskudna odmiana raka: jedna z tych, które ewoluują bardzo szybko i leczą się najgorzej. W ostatnich latach medycyna poczyniła znaczne postępy w tej dziedzinie, nowe lekarstwa pozwalają przedłużyć życie chorych. Jednak dla niego było już za późno, nowotwór nie został wykryty wystarczająco wcześnie, a szczegółowe badania wykazały obecność przerzutów do innych organów wewnętrznych.

Zaproponowano mu leczenie klasyczne – chemioterapię i radioterapię – ale odmówił. W tym stadium choroby i tak byłyby nieskuteczne. Losy walki uważał za przesądzone: za kilka miesięcy trzeba będzie umrzeć.

Dotychczas udawało mu się ukryć chorobę, ale dobrze wiedział, że prędzej czy później zostanie zauważona. Napady kaszlu były coraz częstsze, bóle w okolicy żeber i łopatki coraz dotkliwsze, a zmęczenie dopadało go w najmniej oczekiwanych momentach, mimo że uchodził za twardziela.

To nie ból napawał go strachem. Najbardziej obawiał się reakcji bliskich mu osób. Zwłaszcza Angie, dwudziestoletniej córki studiującej w Nowym Jorku, oraz Matta, najlepszego przyjaciela, z którym od zawsze wszystkim się dzielił.

Wyszedł spod prysznic, wytarł się szybko i otworzył szafę. Bardziej starannie niż zazwyczaj wybrał ubranie, koszulę z delikatnej egipskiej bawełny i włoski garnitur. Myśl o chorobie ustąpiła miejsca widokowi faceta w sile wieku, o bardzo męskim wyglądzie. Jeszcze teraz, dzięki nieodpartemu urokowi, zdarzało mu

się spotykać z pięknymi kobietami, częstokroć znacznie od niego młodszymi. Jednak relacje te nigdy nie trwały długo. Ludzie z bliskiego otoczenia Elliotta wiedzieli, że w jego życiu liczyły się tylko dwie kobiety. Pierwszą była córka Angie. Druga na imię miała Ilena.

Tyle tylko, że ona nie żyła od trzydziestu lat.

*

Wyszedł na dwór, gdzie powitały go słońce, szum oceanu i wiatr. Przystanął na chwilę przed drzwiami garażu, by podziwiać budzący się dzień. Następnie wsiadł do starego pomarańczowego garbusa, reliktu dawno minionej epoki hippisowskiej. Opuścił dach, ostrożnie dołączył do samochodów sunących po bulwarze i ruszył przez Fillmore Street w kierunku wiktoriańskich kamienic na Pacific Height. Tak jak na obrazkach znanych z licznych filmów, strome i urwiste ulice San Francisco wznosiły się i opadały niczym tobogan. Jednak Elliott dawno temu zrezygnował z gwałtownych startów na skrzyżowaniach. Na wysokości California Street skręcił w lewo i spotkał się z tramwajem linowym wiozącym pierwszych turystów do Chinatown. W pobliżu chińskiej enklawy wjechał na podziemny parking przy Grace Cathedrale, którym dojechał do Lenox Hospital, gdzie pracował od trzydziestu lat. Jako szef oddziału chirurgii pediatrycznej, był uważany za jednego z asów atutowych szpitala. Ten awans był świeży i przyszedł trochę za późno. W całym swoim życiu zawodowym Elliott kierował się przede wszystkim dobrem pacjentów, starając się – rzecz niezmiernie rzadka wśród chirurgów – nie koncentrować się jedynie na stronie technicznej, ale brać również pod uwagę wymiar emocjonalny. Nie dbał o zaszczyty i relacje towarzyskie, nie szukał dojścia do kręgów zapaleńców golfa lub amatorów spędzania weekendów nad jeziorem Tahoe. Kiedy jednak któreś z dzieci kolegów musiało zostać poddane jakiejś operacji, zwracano się właśnie do niego, co było nieomylną oznaką zaufania.

*

– Możesz mi to przebadać?

Elliott zwrócił się do Samuela Bellowa, szefa szpitalnego laboratorium, podając mu plastikową saszetkę zawierającą okruchy zebrane z dna flakonika z połączanymi pigułkami.

– A co to jest?

– Liczę, że ty mi powiesz...

Wstąpił do kafeterii, łyknął pierwszą dawkę kofeiny, po czym wjechał na blok, żeby się przebrać i przywitać ze swoją ekipą złożoną z anestezjologa, pielęgniarki i indiańskiej internistki praktykującej pod jego kierunkiem. Dzisiejszy pacjent był kruchym siedmiomiesięcznym niemowlakiem o imieniu Jack, cierpiącym na kardiobiopatię – niedorozwój serca powodujący niewystarczające dotlenianie krwi i objawiający się sztywnieniem palców oraz sinieniem warg.

Przygotowując się do rozcięcia klatki piersiowej dziecka, Elliott z trudem opanowywał treść, czuł się jak artysta mający za chwilę wejść na scenę. Operacje na otwartym sercu uważał za coś w rodzaju misterium. Ile ich przeprowadził? Setki, a nawet tysiące. Pięć lat temu ekipa telewizyjna nagrała o nim reportaż, wychwalając jego złote ręce zdolne zszyć cieniutkie jak igła naczynia krwionośne nićmi niewidocznymi gołym okiem. Jednak za każdym razem napięcie było takie samo, i ta sama obawa, że coś się nie powiedzie. Operacja trwała ponad cztery godziny, podczas których serce i płuca zostały odłączone, a ich czynności przejęte przez maszynę. Niczym hydraulik, Elliott zatkał otwór między obiema jamami i otworzył dojście do płuc, by zapobiec przepływowi krwi żyłnej do aorty. Wymagało to wielkiego doświadczenia oraz koncentracji. Jego dłonie nie drżały, ale myślami był daleko: przy własnej chorobie, o której nie umiał zapomnieć, i przy tym dziwnym śnie z ostatniej nocy. Zdawszy sobie nagle sprawę z rozproszoną uwagą, poczuł się winny i skupił na zadaniu, które musiał wykonać.

Kiedy operacja dobiegła końca, Elliott wyjaśnił rodzicom dziecka, że jest jeszcze za wcześnie, by oceniać wynik. Przez kilka dni malec będzie poddany intensywnej terapii polegającej na wspomaganiu oddychania, która potrwa tak długo, aż serce i płuca zaczną normalnie funkcjonować.

Potem, nie zdjawszy fartucha, wyszedł na parking szpitalny. Słońce, wiszące teraz wysoko na niebie, oślepiło go i ten blask na ułamek sekundy przyprawił Elliotta o zawrót głowy. Był wyczerpany, u kresu sił. Czy to rozsądne lekceważyć własną chorobę? – zapytał sam siebie. Czy może nadal operować, narażając życie pacjentów? Co wydarzyłoby się dzisiejszego ranka, gdyby zasłabł podczas operacji?

Zapalił papierosa, żeby pobudzić umysł, i zaciągnął się dymem z rozkoszą. Z rakiem przynajmniej jedno było pewne. Elliott mógł sobie palić do woli, bo i tak najgorsze już się stało.

Lekka bryza wywołała w nim dreszcz. Odkąd wiedział, że wkrótce umrze, stał się wrażliwszy na wszystko, co go otaczało. Wyraźniej czuł pulsowanie miasta, jakby było żywym organizmem. Ze szczytu Nob Hill, na którym stał budynek szpitala, czuło się wibracje portu i nabrzeży. Wciągnął ostatni haust dymu i zdusił niedopałek. Podjął już decyzję: przestanie operować pod koniec miesiąca i powie o swojej chorobie córce oraz Mattowi.

Taki będzie koniec. Nie można cofnąć czasu. Już nigdy nie wykona tego, co uważał za jedyną pożyteczną rzecz – nie będzie już leczył chorych.

Raz jeszcze przez chwilę pomyślał o tej nagłej decyzji i poczuł się stary i biedny.

– Doktorze Cooper?

Elliott odwrócił się i stanął twarzą w twarz z Shariką, swoją indiańską internistką. Zamieniła lekarski fartuch na sprane dżinsy i

bluzeczkę na cienkich ramiączkach. Nieśmiało wyciągała w jego stronę kubek z kawą. Promieniała młodością i urodą.

Elliott wziął kubek z jej dłoni i podziękował uśmiechem.

– Przyszłam się pożegnać, doktorze.

– Pożegnać?

– Mój staż w Stanach dzisiaj się kończy.

– Dzięki za pomoc, Shariko, będziesz dobrym lekarzem.

– Za to pan jest wielkim lekarzem.

Elliott zaprzeczył ruchem głowy, zażenowany komplementem. Młoda Indianka podeszła bliżej.

– Obiecałam sobie... pomyślałam, że może moglibyśmy wybrać się gdzieś razem dziś wieczorem.

Na ułamek sekundy jej piękna twarz w kolorze miedzi oblała się szkarłatem. Była nieśmiała i ta propozycja musiała ją wiele kosztować.

– Przykro mi, ale nie jest to możliwe – odparł Elliott, zaskoczony obrotem rozmowy.

– Rozumiem – odrzekła.

Odczekała krótką chwilę i dodała:

– Kończę staż o osiemnastej, a zatem dziś wieczorem nie będzie już pan moim przełożonym, ja zaś nie będę podlegać pana poleceniom. Więc jeśli to pana powstrzymuje...

Elliott przyjrzał się jej uważnie. Ile mogła mieć lat? Najwyżej dwadzieścia pięć. Nigdy nie zachowywał się wobec niej dwuznacznie i teraz czuł się skrepowany.

– Nie o to chodzi.

– Może to śmieszne – rzekła – ale zawsze wydawało mi się, że nie jestem panu obojętna...

Co miał na to odpowiedzieć? Że jakaś jego częśćka była już martwa oraz że reszta wkrótce podaży tym samym śladem? Podobno na miłość nigdy nie jest za późno, ale to wierutna bzdura...

– Nie wiem, co powiedzieć.

– W takim razie proszę nic nie mówić – szepnęła, odwracając się na pięcie.

Odchodząc wyraźnie urażona, raptem przypomniała sobie o czymś.

– Byłabym zapomniała – rzuciła, nie odwracając się – była wiadomość dla pana od pańskiego przyjaciela Matta. Dzwonił pół godziny temu i bardzo się niecierpliwił...

*

Elliott wypadł ze szpitala jak burza i złapał pierwszą z brzegu taksówkę. Rzeczywiście umówił się z Mattem na lunch i był już spóźniony.

Przyjaźń od pierwszego wejrzenia zdarza się podobnie jak miłość. Matt i Elliott spotkali się czterdzieści lat temu w szczególnych okolicznościach. Pozornie wszystko ich dzieliło. Matt był Francuzem, ekstrawertykiem, amatorem pięknych kobiet uganiającym się za przyjemnościami życia; Elliott natomiast był Amerykaninem i zamkniętym w sobie samotnikiem. W Napa Valley kupili kiedyś na spółkę winnicę – Pèrigord de la Californie. Wina, które tam produkowali – sympatyczne cabernet sauvignon oraz chardonnay o smaku ananasa i melona – zyskały dobrą sławę, dzięki nieustającym staraniom Matta i promowaniu przez niego tych produktów w całych Stanach, a także w Europie i Azji.

Elliott wiedział, że Matt jest przyjacielem, który pozostanie przy nim do końca. Tym, do którego zadzwoni w środku nocy i zawiadomi, że trzeba będzie uprzątnąć trupa.

Tymczasem jeszcze żył, a Matt z pewnością zaraz go opieprzy...

*

Wytworna restauracja Bellevue, w której jadali regularnie, znajdowała się przy Embarcadero i stała frontem do oceanu. Z kieliszkiem w dłoni Matt Delluca od pół godziny czekał na tarasie wychodzącym na Bay Bridge, Treasure Island i drapacze chmur dzielnicy biznesu.

Miał właśnie zamówić trzeci kieliszek, kiedy zadzwoniła jego komórka.

– Cześć, Matt, wybacz, ale trochę się spóźnię.

– Tylko się nie spiesz, Elliott. Zdażyłem już przywyknąć do twojego bardzo szczególnego poczucia punktualności...

– Albo się mylę, albo masz zamiar zrobić mi scenę.

– Ależ skąd, stary, jesteś lekarzem i ratowanie życia ludzkiego daje ci wyjątkowe prawa, to jasne.

– Jest tak, jak myślałem, robisz mi scenę...

Matt nie mógł powstrzymać uśmiechu. Z komórką przyciśniętą do ucha opuścił taras i wszedł do wielkiej sali restauracyjnej.

– Mam zamówić coś dla ciebie? – spytał, podchodząc do lady ze skorupiakami. – Właśnie patrzę na świeżutkiego żywego kraba, który będzie zaszczycony, jeśli zechcesz go skonsumować...

– Ufam ci.

Matt rozłączył się i dał znak kucharzowi, że los nieszczęsnego kraba został przesadzony.

– Proszę upiec mi tę sztukę!

Kwadrans później Elliott wpadł biegiem do przestronnej sali, całej w pozłacanej boazerii i lustrach. Zaczepiwszy nogą o wózek z deserami i potrąciwszy niechcący kelnera, dołączył wreszcie do przyjaciela siedzącego przy tym samym co zawsze stole. Zaczął od przestrogi:

– Jeśli nadal zależy ci na naszej przyjaźni, to unikaj słów „spóźnienie” i „znowu”.

– Przecież nic nie powiedziałem – zachnął się Matt. – Zarezerwowaliśmy ten stolik na dwunastą, a w tej chwili jest trzynasta dwadzieścia, ale ja nic nie powiedziałem. A w ogóle jak udał ci się pobyt w Kambodży?

Elliott otworzył usta, ale w tej samej chwili dostał nagłego napadu kaszlu.

Matt podał mu szklanekę wody z bąbelkami.

– Czy ty nie za bardzo kaszlesz, co? – zaniepokoił się.

– Nie przejmuj się!

– W porządku, ale... Czy nie powinienesz zrobić sobie jakiegoś małego badanka? Może jakiś skanerek lub coś w tym rodzaju...

– To ja jestem lekarzem – odparł Elliott, zaglądając w menu. – No więc co zamówiłeś?

– Nie wściekaj się, ale uważam, że kiepsko wyglądasz.

– Jeszcze długo będziesz mi prawił te uprzejmości?

– Po prostu martwię się o ciebie: za dużo pracujesz.

– Czuję się dobrze, już ci to mówiłem! Tylko ta misja w Kambodży trochę mnie zmęczyła...

– Nie powinienesz był tam jechać – uciał Matt. – Jeśli o mnie chodzi, Azja...

– Mylisz się, to było wzbogacające doświadczenie. Przydarzyła mi się tam dziwna historia.

– To znaczy?

– Spotkałem pewnego starego Khmera, pomogłem mu, a on, jak jakiś duch z czarodziejskiej lampy, chciał koniecznie wiedzieć, jakie jest moje najskrytsze pragnienie...

– I co mu odpowiedziałeś?

– Poprosiłem go o rzecz niemożliwą.

– Że chcesz wreszcie wygrać partię golfa?

– Daj spokój.

– Przepraszam, mów...

– Odpowiedziałem, że chciałbym ponownie kogoś zobaczyć...

W tym momencie Matt zrozumiał, że przyjaciel mówi poważnie, więc zmienił ton.

– A kogo chciałbyś ponownie zobaczyć – spytał, z góry znając odpowiedź.

– Ilenę...

Nagle obaj posmutnieli, ale Elliott natychmiast obronił się przed napadem melancholii. Podjął temat w chwili, gdy kelner przyniósł przystawki. Opowiedział przyjacielowi dziwną historię o flakoniku napełnionym pigułkami, a także koszmarne sen, który przyśnił mu się ostatniej nocy i wytrącił go z równowagi.

Matt zamierzał pocieszyć Elliotta:

– Jeśli chcesz wiedzieć, co o tym myślę, zapomnij o tej historii i zdejmij trochę nogę z gazu.

– Nie masz pojęcia, do jakiego stopnia ten koszmar mną wstrząsnął i jak bardzo wydawał się rzeczywisty. To było takie... dziwne... zobaczyć siebie samego w wieku trzydziestu lat.

– Sądysz, że to efekt działania pigułek?

– A co innego?

– Może zjadłeś coś nieświeżego – zaryzykował Matt. – Według mnie za często jadasz w chińskich restauracjach...

– Proszę cię, przestań!

– Mówię poważnie. Nie chodź więcej do pana Chow, bo jego kaczka w pomarańczach to z całą pewnością psie mięso...

*

Dalszy ciąg posiłku przebiegł w wesołej atmosferze. Matt miał szczególny dar roztaczania wokół siebie aury radości. Przebywając w jego towarzystwie, Elliott zapominał o ponurych myślach i zmartwieniach. Czas upływał im na żartobliwej rozmowie, która teraz zбочyła na tematy dużo lżejsze.

– Zauważyłeś tę dziewczynę przy barze? – spytał Matt, wkładając do ust porcję flambirowanych bananów. – Chyba na mnie patrzy, jak sądzisz?

Elliott odwrócił się w stronę baru. Piękna najada z nogami do samej szyi sączyła leniwie martini dry.

– To prostytutka, stary.

Matt zaprzeczył ruchem głowy.

– Na pewno nie.

– Chcesz się założyć?

– Mówisz tak, bo ona patrzy na mnie.

– Ile jej dajesz lat?

- Dwadzieścia pięć.
- A ty masz ile?
- Sześćdziesiąt – przyznał się Matt.
- Właśnie dlatego sądzę, że to prostytutka...

Matt dzielnie zniósł cios i po paru sekundach dodał:

- Nigdy nie byłem w lepszej formie!
- Starzejemy się, przyjacielu. To nieuniknione, takie jest życie, i myślę, że powinieneś zacząć się z tym godzić.

Matt zamyślił się wyraźnie zaniepokojony.

- Dobra, muszę lecieć – oznajmił Elliott, wstając od stołu. – Pójdę uratować jeszcze parę istnień. A ty? Co masz w programie na dzisiejsze popołudnie?

Matt zerknął w stronę baru, ale stwierdził ze smutkiem, że najada dyskutuje w najlepsze z jakimś młodzieniaszkiem. Jeszcze kilka lat temu gotów byłby wyrwać ślicznotkę temu piękniśowi, ale teraz mu przeszło. Czuł się trochę jak bokser, który stoczył o jedną walkę za dużo.

- Mam samochód na parkingu – krzyknął za oddalającym się Elliottem. – Odwiozę cię do szpitala. Może taki staruszek jak ja potrzebuje lekkiego dopingu...

3

Posiedź przez godzinę przy ładnej dziewczynie, a ten czas wyda ci się chwilą. Usiądź na chwilę przy gorącym piecu, a będziesz miał wrażenie, że minęła godzina. Na tym właśnie polega względność.

Albert Einstein

San Francisco, rok 1976

Elliott ma 30 lat

– Czy nam tu źle? – spytał Matt, wyciągając się na piasku i patrząc na olbrzymią zatokę otoczoną wzgórzami.

W tamtych czasach dwaj przyjaciele nie byli jeszcze zamożni. Mowy nie było o jądaniu lunchu w restauracji. W przerwie obiadowej woleli poleżeć na plaży i zjeść hot doga przed powrotem do pracy.

Dzień był piękny, skąpany w jaskrawym świetle. Widoczny w oddali Golden Gate zdawał się płynąć na dywanie z mlecznobiałych chmur.

– Masz rację, lepiej tu niż w więzieniu! – przyznał Elliott, odrywając zębami kęs kanapki.

– Dzisiaj mam ci do zakomunikowania wielką nowinę – oświadczył tajemniczo Matt.

– Naprawdę? A co takiego?

– Trochę cierpliwości, staruszkule, niespodzianka będzie na deser...

Wokół nich hałasowała grupka młodzieży korzystająca z ostatnich promieni babiego lata: chłopcy w szerokich, prostych spodniach i satynowych podkoszulkach, dziewczyny w kolorowych tunikach, welurowych kurtkach, obwieszane świecidełkami.

Matt włączył tranzystor i złapał przebój sezonu: łatwo wpadająca w uszy melodię *Hotel California*, wykonywaną przez zespół The Eagles.

Pogwizdując refren piosenki, rozglądał się po plaży.

– Widzisz tę dziewczynę po prawej stronie? Obserwuje nas, nie sądzisz?

Elliott obejrzał się dyskretnie: młoda i piękna jak nimfa kobieta leżała na ręczniku plażowym, liżąc z nonszalancją lody włoskie w rożku. Skrzyżowała swoje dwumetrowe nogi i puściła oczko w ich stronę.

– Bardzo możliwe.

– Co o niej myślisz? – spytał Matt, odpowiadając jej w ten sam sposób.

– Przypominam ci, że w moim życiu już ktoś jest.

– A wiesz, że tylko pięć procent ssaków żyje w stadłach?

– I co w związku z tym?

– Na co czekasz, zamiast dołączyć do pozostałych dziewięćdziesięciu pięciu procent tych, którzy nie komplikują sobie życia i mają gdzieś zasady?

– Nie wiem, czy Ilena byłaby tego samego zdania co ty...

Matt pochłoniął ostatni kęs hot doga, spoglądając z niepokojem na przyjaciela.

– Jesteś pewien, że z tobą wszystko w porządku? Kiepsko dziś wyglądasz.

- Daj spokój z tymi komplementami, krępują mnie.
- Martwię się o ciebie, za dużo pracujesz.
- Praca to zdrowie.
- Jasne, pewnie znowu byłeś w tej chińskiej garmażerii na parterze swojego domu...
- U pana Chow?
- Tak. Jadłeś już jego kaczkę przyrządzoną po pekińsku?
- Jest bardzo dobra.
- Podobno robi ją z kocięgo mięsa...

Rozmowę przerwał sprzedawca lodów:

- Jakie smaki panowie sobie życzą: pistacjowy, karmelowy, kokosowy?

Nie zwracając uwagi na rady przyjaciela, Elliott zamówił lody dla siebie i dla niego. Ledwo lodziarz się oddalił, wrócili do punktu, w którym przerwali rozmowę.

- Jak ci minął weekend na Florydzie? Nadal o nim myślisz?
- Wczoraj wieczorem przydarzyło mi się coś bardzo dziwnego – zwierzył się Elliott.
- Zamieniam się w słuch.
- Spotkałem kogoś na lotnisku.
- Jakaś kobietę?
- Mężczyznę... około sześćdziesiątki.

Matt zmarszczył brwi, a Elliott opowiedział o dziwnym spotkaniu z tajemniczym gościem, który zniknął w toalecie.

Matt odczekał chwilę, potem rzekł z odrobiną ironii:

- Taa... z tobą jest gorzej, niż myślałem.

– Przysięgam, że mówię prawdę.

– Posłuchaj mnie, stary: zwolnij, zdejmij w pracy nogę z gazu.

– Daj spokój. Nie martw się o mnie.

– Rzeczywiście nie mam żadnego powodu do zmartwienia po tym, jak mi mówisz, że twój sobowtór przybył z przyszłości, żeby uciąć sobie z tobą gadkę. Przecież to całkiem normalne, nie?

– Dobra, pogadajmy o czymś innym.

– A jak się miewa twoja droga Ilena?

Elliott odwrócił głowę i spojrzał na ocean. Przez chwilę przyglądał się lekkim oparom mgły snującym się wokół metalowych podpór Golden Gate.

– Chciałaby mieć dziecko – odpowiedział i zamyślił się.

Twarz Matta pojaśniała.

– To wspaniale! Będę ojcem chrzestnym?

– Ja nie chcę dziecka, Matt.

– Ach tak? Dlaczego?

– Nietrudno się domyślić: świat stał się zbyt niebezpieczny, nieprzewidywalny...

Matt spojrzał w niebo.

– Bredzisz, stary. Przecież będziesz czuwał nad swoim małym, razem z Ileną, a ja też wezmę w tym udział. Przecież po to są rodzice, no nie?

– Łatwo ci mówić: żyjesz jak playboy, codziennie zmieniasz dziewczyny. Nie wyobrażam sobie ciebie obarczonego rodziną...

– To dlatego, że ja nie miałem szczęścia spotkać dziewczyny takiej jak Ilena. To przytrafiło się tobie. Jedna była na świecie i ty ją dostałeś. Tyle tylko, że jesteś za głupi, by to docenić...

Elliott odwrócił wzrok i nic nie odpowiedział. Wielka fala zalała plażę i ochlapała ich pianą. Po chwili dobry nastrój wrócił i rozmowa zeszła na lżejsze tematy.

Kiedy Matt uznał, że nadeszła odpowiednia pora na „niespodziankę”, pogrzebał w torbie i wyjął z niej butelkę różowego szampana.

– Co świętujemy? – zdziwił się Elliott.

Matt z trudem panował nad podnieceniem.

– Stało się! Wreszcie to znalazłem, stary! – krzyknął przy huku wyskakującego korka.

– Kobietę swojego życia?

– Nie!

– Sposób na rozwiązanie problemu głodu na świecie?

– Nasz teren, stary! Teren pod naszą uprawę! Super-kawałek ziemi na szczycie wzgórza, z wielkim drewnianym domem!

Przed kilkoma laty Matt zdobył licencję pilota. Kupił wtedy hydroplan i zarabiał na życie, przewożąc turystów nad wodami zatoki. Ale od dawna miał pewien szalony pomysł, marzył, żeby z Elliottem założyć winnicę w Napa Valley.

– Zapewniam cię, że teraz jest najlepszy moment na tego rodzaju inwestycję – tłumaczył w euforii. – Obecnie jest tylko kilka winnic w dolinie, ale wino to przyszłość Kalifornii! To będzie nasze czerwone złoto, kapujesz? Jeśli zabierzemy się do tego od zaraz, zbijemy fortunę!

Niezbyt przekonany, ale zadowolony ze szczęścia przyjaciela, Elliott obiecał obejrzeć teren w przyszły weekend i słuchał Matta, rozbawiony jego snami o potędze. Do rzeczywistości przywołało go brzęczenie zegarka.

– Dobra, zostawiam cię – powiedział, wstając i przeciągając się.
– Pójdę uratować jeszcze kilka istnień. A ty? Jaki masz program na to popołudnie?

Przyjaciel odwrócił się, żeby sprawdzić, czy piękna najada jest jeszcze na swoim miejscu. Wydawała się tylko na to czekać, bo posłała mu jednoznaczne spojrzenie.

Matt promieniał. Był młody, przystojny i miał całe życie przed sobą.

– Chyba ktoś nie może się doczekać, żebym go osłuchał...

*

Taksówka utknęła w korku i wlokła się teraz przez Hyde Street. Zniecierpliwiony Elliott zapłacił za kurs i trzasnął drzwiami. Szpital był niedaleko: pieszo dojdzie szybciej. Zapalił papierosa i energicznym krokiem ruszył w górę ulicy. Zawsze, kiedy zbliżał się do miejsca pracy, odczuwał ten sam niepokój. Powracały wciąż te same pytania. Czy sprosta temu, czego od niego oczekiwano? Czy podejmie właściwe decyzje? Czy, co nie daj Boże, straci któregoś z pacjentów?

Jeszcze nie osiągnął wieku, w którym człowiek czuje się odporny na przeciwności losu. Nie miał jeszcze pancerza, chroniącej od wewnątrz zbroi. Jak dotąd wszystko się udawało: skończył z sukcesem studia w Berkeley, przeskoczył jeden rok, odbył dwunastomiesięczną praktykę i zrobił kilka specjalizacji z pediatrii klinicznej. Wszędzie zbierał pochlebne opinie.

Tymczasem nadal nie był pewien, czy wybrał odpowiedni dla siebie zawód. Oczywiście, że zajęcie polegające na zajmowaniu się innymi było wdzięczne i dawało poczucie przydatności. Czasami, pod koniec dnia i po udanej operacji, wychodził ze szpitala w stanie przypominającym euforię. Wsiadał wtedy do samochodu i jechał z dużą szybkością wzdłuż mariny. Stoczył walkę o życie i ją wygrał. W takie wieczory przez parę dobrych godzin czuł, że dorównał Bogu.

Tyle tylko, że chwile błogostanu nigdy nie trwały długo. Nazajutrz był kolejny dzień, a po nim następny, i zawsze jakiś pacjent, który „nie powinien umrzeć”, niespodziewanie wymykał się spod palców Elliotta.

Rzucił okiem na zegarek, zdusił niedopałek i przyspieszył. Zarys budynku szpitala wylaniał się w odległości stu metrów. Czy naprawdę jestem do tego stworzony? – zastanawiał się ponownie.

Jakim lekarzem stanie się w przyszłości? Wybrał ten zawód, żeby dotrzymać starej obietnicy danej po pewnym ważnym wydarzeniu, jakie miało miejsce w jego życiu. Nie żałował wyboru, ale były dni, kiedy zazdrościł Mattowi beztroskiego życia. Od dziesięciu lat nie miał na nic czasu: ani na czytanie, ani na sport, ani na cokolwiek innego poza sprawami zawodowymi.

Wszedł do hallu szpitala, chwycił fartuch i wjechał na drugie piętro. W lustrze windy zobaczył swoje odbicie – twarz zmęczonego człowieka. Nie pamiętał, kiedy ostatnio przespał osiem godzin. Od czasu, gdy dzięki nocnym dyżurom nauczył się parokrotnie przerywać sen, a następnie zasypiać na kilka minut zwinięty w kłębek, nie potrafił już wylegiwać się w łóżku.

Pchnął drzwi do sali wyłożonej błyszczącymi kafelkami, gdzie czekał na niego Ling – internista pełniący ostry dyżur.

– Chciałbym, doktorze Cooper, znać pana opinię o jednym z pacjentów – oznajmił, po czym przedstawił Elliottowi obecnych w pomieszczeniu państwa Romano.

Mężczyzna był wzbudzającym sympatię niskim brunetem, w typie włosko-amerykańskim. Jego żona, wyższa od niego blondynka, reprezentowała typ nordycki. Piękne połączenie przeciwieństw.

Nie przyszli w swojej sprawie, lecz córki, Anabel, którą przywieziono na oddział i która leżała nieprzytomna na łóżku.

Matka znalazła ją w takim stanie w południe, po powrocie do domu.

– Podejrzewamy, że nie obudziła się rano – tłumaczył Ling. – Zleciłem komplet badań i doktor Amendoza przeprowadził już tomodensytometrię.

Chodziło o nowy aparat wymyślony przez lekarzy, który zaczynał być w powszechnym użyciu w szpitalach całego świata pod nazwą tomografu.

Elliott podszedł do nieprzytomnej dziewczyny. Anabel mogła mieć około piętnastu lat. Po matce odziedziczyła blond włosy, po ojcu zaś sympatyczny wygląd.

– Czy ostatnio miewała bóle głowy albo mdłości?

– Nie – odparła pani Romano.

– Czy zażywała narkotyki?

– Skądże znowu!

– A może uderzyła się w głowę w czasie snu lub spadła z łóżka?

– Nie, to niemożliwe.

Elliott wyczuł uciekające życie i ujrzał śmierć przyczajoną w sali, czyhającą na odpowiedni moment, zanim jeszcze przystąpił do badania.

Pierwsze efekty oględzin zdawały się pomyślne: Anabel oddychała równomiernie, jej serce i płuca funkcjonowały normalnie. Następnie Elliott sprawdził rogówkę, w której również nie zauważył nic szczególnego.

Jednak sytuacja uległa pogorszeniu podczas badania źrenic. Poruszając delikatnie głowę pacjentki w lewo i w prawo, Elliott stwierdził, że jej oczy nie podążały za tymi ruchami. Potem, kiedy nacisnął mostek, nadgarstek dziewczyny skurczył się niepokojąco.

– To nie jest dobry znak, nieprawdaż? – spytał ojciec. – Czy ma to coś wspólnego z mózgiem?

Elliott wolał być ostrożny w ocenie. Lepiej było zaczekać na wyniki badań.

Dostarczono je kilka minut później. Kiedy lekarz umieścił kliszę na tablicy świetlnej, domyślił się, co na niej odczyta. Ponieważ działo się to w klinice uniwersyteckiej, diagnozę pozostawił interniście.

– Obrzęk w okolicy mózdzku?

– Dokładnie tak – potwierdził Elliott z żalem. – Obrzęk z wylewem.

Wyszedł z ciemnej sali, by przedstawić diagnozę rodzicom.

– No i co z nią, doktorze? – spytali jednocześnie w chwili, gdy pojawił się w drzwiach.

Spojrzał na nich ze współczuciem. Wolałby powiedzieć im coś banalnego, w stylu: „wszystko w porządku, mała powinna się zaraz obudzić”. Ale tak nie było.

– Jest mi niezmiernie przykro, ale państwa córka miała wylew krwi do mózgu i jej stan jest beznadziejny.

Zapadła martwa cisza. Zanim zła nowina dotarła do świadomości rodziców, chwila milczenia wydawała się wiecznością. Matka dziewczyny stłumiła okrzyk, ale ojciec się nie poddawał.

– Przecież ona oddycha! A zatem jeszcze żyje!

– Na razie tak, ale obrzęk mózgu będzie się powiększał, a potem nastąpią zaburzenia w oddychaniu i zatrzymanie akcji serca.

– Przecież można ją podłączyć do respiratora! – domagała się matka.

– Owszem, proszę pani, można by tak zrobić, ale to i tak niczego nie zmieni.

Ojciec chwiejnym krokiem podszedł do córki.

– Jak to... jak mogła dostać tego wylewu? Nie ma jeszcze piętnastu lat...

– To może zdarzyć się każdemu w każdej chwili – wyjaśnił Elliott.

Jaskrawe słońce wpadało przez okno, zalewając salę światłem, które bezczelnie ślizgało się po złotych włosach dziewczyny. Wydawało się, że śpi, i trudno było uwierzyć, że już nigdy się nie obudzi.

– Nie podejmie pan nawet próby operowania jej? – dziwiła się matka, nie mogąc uwierzyć w to, co się stało.

Pan Romano zbliżył się do żony i wziął ją za rękę. Również Elliott spojrział jej w oczy i rzekł łagodnym tonem:

– To już koniec, proszę pani, jest mi niezmiernie przykro.

Chciałby poświęcić im więcej czasu, wziąć na siebie część ich nieszczęścia, znaleźć słowa pocieszenia, choć dobrze wiedział, jak trudno je wypowiedzieć w takiej sytuacji.

Ale już wzywała go pielęgniarka. Na godzinę piętnastą zaplanowano operację, a on był spóźniony.

Przed wyjściem z sali powinien był spełnić swoją rolę do końca i spytać rodziców, czy zgadzają się na pobranie organów do przeszczepu. Wdałby się tym samym w surrealistyczną dyskusję, podczas której powinien ich przekonać, że śmierć córki może przyczynić się do ratowania wielu istnień ludzkich. Tak, Elliott, jako lekarz, powinien pełnić do końca swą powinność, ale dzisiaj nie miał odwagi tego robić.

Wyszedł więc z sali przybity, dusząc w sobie złość. Przed wejściem na blok operacyjny wstąpił do toalety, żeby przemyć twarz wodą.

Nigdy nie będę miał dzieci, przysiągł, patrząc na odbicie swojej twarzy w lustrze. Nie będę ich miał, żeby nigdy nie musiały umrzeć!

Trudno, jeśli Ilena nie zdoła tego zrozumieć...

*

Orlando, Floryda

Rok 1976

Nad wielkim ogrodem zoologicznym Ocean World zapadał zmierzch. Podczas gdy ostatnie promienie słońca wydłużały cienie cyprysów, kolorowy tłum zwiedzających opuszczał stopniowo park wodny, zachwycony spotkaniem z delfinami, gigantycznymi żółwiami i lwami morskimi.

Ilena pochyliła się nad basenem z orkami, żeby zachęcić Anuszkę, największą z „wielorybic zabójczyń”, do podpłynięcia do brzegu.

– Cześć, ślicznotko!

Kobieta chwyciła płetwę zwierzęcia, chcąc zmusić je do przewrócenia się na grzbiet.

– Nie panikuj, nic złego ci się stanie – zapewniała, wbijając igłę w ciało orki, żeby pobrać próbkę krwi.

Każda taka operacja była niebezpieczna, ponieważ orki są groźne. Pomimo sympatycznego wyglądu Anuszka była sześciometrowym potworem ważącym cztery tony, zdolnym ogłuszyć człowieka jednym machnięciem ogona lub odciąć mu któryś z członków stalowymi szczękami, wyposażonymi w pięćdziesiąt ostrych zębów. Dlatego właśnie za każdym razem Ilena starała się udobruchać zwierzę, nadając czynnościom związanym z badaniem charakter

zabawy. Zazwyczaj się udawało. W obcowaniu ze zwierzętami miała to szczególne, tak potrzebne weterynarzowi wyczucie.

– O, i już po wszystkim – stwierdziła, wyciągając igłę.

W ramach rekompensaty rzuciła olbrzymowi sporą porcję mrożonych ryb i pogłaskała go po grzbiecie.

Ilena wykonywała swój zawód z pasją. Pracując jako weterynarz-rezydent parku wodnego, odpowiadała za zdrowie fizyczne i psychiczne swoich podopiecznych. Nadzorowała czystość zbiorników, przygotowywanie pożywienia, a także uczestniczyła w szkoleniu treserów. Jak na tak młodą osobę, na dodatek kobietę, wzięła na siebie wiele obowiązków. Trzeba przyznać, że zażarcie walczyła o to stanowisko. Od najmłodszych lat wykazywała wielkie zainteresowanie zwierzętami żyjącymi w morzu, a w szczególności wielorybami. Po uzyskaniu dyplomu weterynarza zrobiła specjalizację z biologii i przeszła szkolenie z zakresu psychologii zwierząt. Jednak specjalizacja w tej dziedzinie była kosztowna, szansę na znalezienie zatrudnienia bardzo małe, a perspektywy na pracę z delfinami i orkami równie niewielkie jak w przypadku zostania astronautą. Mimo to Ilena nie rezygnowała ze swoich marzeń. Postąpiła słusznie, ponieważ pięć lat wcześniej, w 1971 roku Walt Disney upatrzył sobie niewielką miejscowość, Orlando, i założył w niej Disney World – swój gigantyczny park atrakcji. Dzięki napływowi turystów i Myszce Miki, Orlando z małego miasteczka przekształciło się niebawem w największą atrakcję Florydy. Wkrótce powstał tam również Ocean World – największy w całych Stanach morski ogród zoologiczny. Rok przed oficjalnym otwarciem Ilena okupowała siedzibę dyrekcji, starając się o stanowisko obiecane wcześniej starszemu i bardziej doświadczonemu lekarzowi weterynarii. W końcu zgodzono się przyjąć ją na próbę, i w ten sposób została zatrudniona na stałe zamiast tamtego kandydata. To była dobra strona Ameryki: kompetencje zaczynały liczyć się bardziej niż wiek, płeć czy pochodzenie społeczne.

Uwielbiała swój zawód. Wiedziała, że przyjacielom z Greenpeace'u nie podobało się chwywanie zwierząt żyjących na wolności, choć było powszechnie wiadomo, że Ocean World nie lekceważył kwestii związanych z ochroną środowiska. Ilenie udało się nawet uzyskać od dyrekcji środki na ochronę krów morskich*.

Teraz opuściła strefę basenów i weszła do budynku administracji. Fiolkę z próbką krwi opatrzyła stosowną etykietką i zaniósła do laboratorium, żeby ją zbadać. Zanim zabrała się do pracy, wstąpiła na chwilę do toalety i obmyła sobie twarz zimną wodą. Przez cały dzień czuła się dziwnie rozbita.

Podnosząc głowę znad umywalki, spojrzała w lustro i zauważyła łzę spływającą po policzku. Nawet nie zdawała sobie sprawy, że płacze.

– Ale ze mnie idiotka! – syknęła, wycierając zaczerwienione oczy.

Właściwie dobrze wiedziała, co jest nie tak: ciągle pamiętała swoją ostatnią rozmowę z Elliottem. I jego sprzeciw, kiedy powiedziała mu o dziecku. Za każdym razem reagował tak samo, a ona nie mogła zrozumieć jego oporu. Uznała, że Elliott boi się zaangażować.

Tymczasem ani przez chwilę nie wątpiła w jego miłość. Ich związek płonął żywym ogniem, podsycanym nieustannie chęcią wzajemnego imponowania, spełnienia wszystkich życzeń i zaskakiwania...

Tylko czy to uczucie mogło oprzeć się upływowi czasu? Niebawem skończy trzydzieści lat, choć – przynajmniej pozornie – nadal promienieje urodą: żyje na Florydzie, wokół niej kręci się mnóstwo facetów, i jest świadoma swojego uroku. Ale jak długo jeszcze? Młodość powoli ucieka. Czasami czuła, że nie wygląda już

* Ssaki morskie o masywnym ciele i zaokrąglonej płetwie.

tak samo jak kiedyś, że nie jest tak świeża jak osiemnasto- czy dwudziestoletnie dziewczyny spotykane na plaży lub widziane w parku wodnym.

Starzenie się nie przerażało jej zbyt, ale mentalność ludzi się zmieniała: wokół głośno mówiono o wolnej miłości, rewolucji seksualnej, i te zmiany wcale się jej nie podobały. Ona pragnęła dla siebie związku trwałego. Nie wyobrażała sobie, żeby ukochany mężczyzna mógł któregoś dnia wypróbować różne pozycje Kamasutry z innymi kobietami.

Napiła się wody i osuszyła oczy papierową chusteczką.

Może niewystarczająco okazywała Elliottowi, jak bardzo jest do niego przywiązana? Była z natury wstydliva i miłosne słownictwo nie przechodziło jej łatwo przez usta. Czy kiedy się kocha, trzeba koniecznie o tym mówić? Przecież to się czuje! Poza tym, kiedy kobieta prosi mężczyznę, by został ojcem jej dzieci, wszystko jest chyba jasne, nieprawdaż?

Właśnie dlatego, że go kochała, chciała mieć z nim dziecko. Nie należała do kobiet, które pragną tego za wszelką cenę, wyłącznie dla siebie. Miała ochotę mieć dziecko z Elliottem. Dziecko, które byłoby przedłużeniem ich miłosnego związku.

Tyle tylko, że on najwyraźniej nie miał na nie ochoty.

A ona nie rozumiała dlaczego.

Domyślała się, że chęć posiadania dziecka jest nieodłącznie związana z osobistą trajekcją każdego człowieka i historią jego własnej rodziny. W Brazylii Ilena wychowała się w ubogiej, ale kochającej się rodzinie i była pewna, że kiedyś sama zostanie matką. Elliott natomiast nie miał dobrych stosunków z rodzicami. Może właśnie to było powodem jego blokady?

Mimo wszystko nie wątpiła, że byłby dobrym ojcem, zdolnym dać dziecku szczęście. Parokrotnie, chodząc po niego do szpitala,

widziała, jaki jest jego stosunek do małych pacjentów. Był chirurgiem pediatrą i miał podejście do chorych dzieci. Był rzetelny i zrównoważony, nie brakowało mu dojrzałości, nie był egoistą jak niektórzy mężczyźni spośród znajomych z otoczenia. Bez trudu mogła wyobrazić sobie Elliotta w roli czulego tatusia, uważnie słuchającego swoich dzieci. Wielokrotnie miała zamiar przerwać stosowanie pigułek antykoncepcyjnych, udąć „wypadek” i postawić Elliotta przed faktem dokonanym. Ale gdyby tak zrobiła, miałyby poczucie, że nadużyła zaufania, jakim się wzajemnie darzyli.

A więc, w czym był problem?

Wiedziała o nim bardzo dużo. Znała jego determinację, altruizm, inteligencję, zapach i smak skóry, każdą kostkę kręgosłupa i ten dołek w policzku, kiedy się uśmiechał.

A może zawsze jest w ukochanej osobie jakiś szczegół, o którym się nie wie? Czy to nie on sprawia, że miłość nadal trwa?

W każdym razie jednego była pewna: mężczyzną jej życia i ojcem ich przyszłych dzieci może być tylko on, i nikt inny.

Więc jeśli chodzi o dziecko, to będzie je miała z nim albo wcale.

*

San Francisco

Rok 1976

Przygnębiony Elliott wracał do domu swoim garbusem. Jechał powoli. Walczył o życie, ale przegrał. Przecież nie jest Bogiem, tylko niewiele znaczącym lekarzem.

Z wolna zapadała noc. Latarnie uliczne i światła jadących samochodów zapaliły się jednocześnie. Zmęczony, wytracony z równowagi przewijał w myślach film z ostatnich dwóch dni:

sprzeczka z Ileną, spotkanie na lotnisku z tym dziwnym mężczyzną, mała Anabel, której nie zdołał uratować.

Skąd to nieustanne uczucie, że życie wymyka mu się z rąk? Że nie ma na nie wpływu?

Zatopiony w myślach, dojeżdżając do skrzyżowania Fillmore z Union Street, zbyt późno spojrział w lusterko wsteczne. Kiedy samochód zarzuciło lekko w stronę chodnika, poczuł jakiś opór, a potem usłyszał głuchy odgłos.

Czyżbym złapał gumę?

Zgasił silnik i wyszedł z samochodu. Obejrzał opony, potem zderzaki.

Nic.

Już miał jechać dalej, kiedy z przeciwległego chodnika do jego uszu dotarła jakaś skarga, coś jakby kwilenie.

Spojrział w tamtym kierunku i na brzegu jezdni dostrzegł małego pieska.

Tylko tego brakowało... – westchnął.

Przeszedłszy przez ulicę, zobaczył beżowego labradorka leżącego na boku z podwiniętą pod siebie prawą przednią łapką.

– No, rusz się! – zawołał do szczeniaka, w nadziei, że nie zranił go poważnie.

Ale psiak nie ruszył się z miejsca.

– Zjeżdżaj stąd! – spróbował ponownie, udając, że grozi mu kopniakiem.

Pies wydał z siebie tylko zduszony jęk, w którym słyhać było ból. Zakrwawiona łapa uniemożliwiała mu jakikolwiek ruch, ale na Elliotcie nie robiło to wrażenia. Nigdy specjalnie nie przepadał za zwierzętami. Zajmował się ludźmi: mężczyznami, kobietami,

dziećmi... Wszystkimi bez wyjątku pacjentami, których leczył w szpitalu. Ale zwierzęta...

Wzruszył ramionami i odwrócił się od zwierzaka. Nie ma co tracić więcej czasu dla tego kundla.

Wrócił do samochodu i bez emocji przekręcił kluczyk w stacyjce.

Oczywiście, gdyby Ilena była na jego miejscu, nie odjechałaby jak złodziej, tylko zajęła się szczeniakiem, a następnie starałaby się znaleźć jego właściciela.

Tak właśnie postąpiłaby Ilena...

Odniósł wrażenie, że siedzi obok niego i niemalże usłyszał, jak mówi: „Ten, kto nie kocha zwierząt, nie potrafi kochać ludzi”.

Jakieś kretyńskie brednie! – pomyślał, kręcąc głową. Niemniej jednak, wbrew sobie, zatrzymał się parę metrów dalej i cofnął auto.

Nawet z odległości czterech tysięcy kilometrów ta kobieta robiła z nim, co chciała!

– No, dalej, ładuj się, stary – rzekł, wsadzając psa na tylne siedzenie samochodu. – Jakoś to opatrzemy.

*

Z uczuciem ulgi Elliott dojechał do mariny. Rząd rezydencji wzniesionych nad oceanem stanowił raczej udaną mieszaninę stylów architektonicznych z różnych epok. Domy z wieżyczkami sąsiadowały z bardziej nowoczesnymi budowlami, wykonanymi ze stali i szkła, a wszystko razem, niespodziewanie – jak za dotknięciem magicznej różdżki – tworzyło asymetryczny, choć zupełnie harmonijny kompleks.

Noc była ciemna i wiał silny wiatr. Nad brzegiem oceanu jakiś oryginał o wyglądzie hippisa bawił się, puszczając latawca ozdobionego małymi lampionami.

Elliott zaparkował samochód przed wejściem do domu i ostrożnie wziął psa na ręce. Z tą ruchomą „paczką” skierował się ku jednemu z domków w stylu śródziemnomorskim.

Przekręcił klucz w zamku i wszedł do mieszkania, które kupił za pieniądze ze spadku. Miejsce było nietypowe: zbudowany pięćdziesiąt lat temu dom został całkowicie odnowiony przez architekta Johna Lautnera, specjalistę od futurystycznych budowli, który czerpał natchnienie z dzieł fantastycznonaukowych. Elliott odnalazł przycisk kontaktu i wewnątrz zabarwiło się niebieskawym światłem przypominającym połyskujące fale morskie.

Następnie ułożył psa na kanapie, obok postawił torbę lekarską i przystąpił do oględzin zwierzęcia. Oprócz paskudnej, otwartej rany na łapie, psiak nie doznał innych obrażeń, był tylko trochę potłuczony. O dziwo, nie miał obroży i spoglądał na Elliotta nieufnie.

– Posłuchaj, Znajdek, wiem, że mnie nie lubisz, ale ja odwzajemniam to uczucie. Mimo wszystko jestem ci potrzebny, więc leż spokojnie, jeśli chcesz, żebym cię opatrzył...

Po tym ostrzeżeniu Elliott zdezynfekował ranę i założył opatrunek.

– No dobrze, teraz odpoczywaj sobie, ale jutro powędrujesz do schroniska! – rzucił w stronę psa, po czym oddalił się od kanapy.

Przez salon i bibliotekę przeszedł do kuchni. Te trzy pomieszczenia znajdowały się na jednej ogromnej powierzchni, a ich okna wychodziły na wewnętrzny ogród, pośrodku którego, umiejętnie podświetlony, rósł złoty cedr z Alaski.

Elliott wziął z lodówki napoczętą butelkę białego wina, napełnił kieliszek i poszedł delektować się trunkiem na znajdujący się na piętrze oszklony taras, wysunięty z dachu jak pomost, sięgający daleko w morze.

Z kieliszkiem wina w dłoni usiadł w wiklinowym fotelu, wystawiając twarz na podmuchy wiatru.

Na krótką chwilę przed jego oczami pojawiła się Anabel Romano.

Zasrany dzień – pomyślał, przymykając powieki.

Nie mógł wiedzieć, że ten dzień jeszcze się nie skończył...

4

I zapamiętaj swoje sny (...). Nigdy nie wiadomo, kiedy ci się przydadzą.

Carlosos Ruiz Zafon

San Francisco

Wrzesień 2006

Elliott ma 60 lat

Była późna noc, kiedy Elliott dotarł do mariny. Zaparkował samochód w alejce dojazdowej i wszedł do domu w stylu śródziemnomorskim, w którym mieszkał od trzydziestu lat. Gdy wchodził, fotokomórka rejestrująca każdą obecność włączyła oświetlenie: niebieskawe światło zalało wnętrze niczym odbłask fal.

Przez salon i bibliotekę przeszedł do kuchni. Od czasu wyjazdu córki do Nowego Jorku dom był pusty i cichy. Znajdek, stary labrador, nie żył od jedenastu lat i nie zastąpił go żaden inny pies. W lodówce Elliott znalazł butelkę białego wina, które nalał do kieliszka. Z powodu piekącego bólu w krzyżu z trudem wszedł na piętro po kilkunastu metalowych stopniach. Zatrzymał się na kilka sekund w sypialni, otworzył szufladkę stolika nocnego i wyjął flakonik z pigułkami, o którym nie myślał przez cały dzień.

Następnie wyszedł do ogrodu urządzonego na tarasie, skąd rozciągał się przepiękny widok na port i zatokę.

Z prawdziwą przyjemnością wsłuchiwał się w znajome pobrzękiwanie Wave Organ, dziwacznej konstrukcji wzniesionej na

końcu pomostu, która wydawała smętne dźwięki wywoływane rytmem fal wlewających się w rury.

Coś takiego można było zbudować tylko w San Francisco, pomyślał, sadowiąc się w starym wiklinowym fotelu.

Wiatr muskający twarz sprawił, że przeszły go dreszcze. Zafascynowany patrzył z niedowierzaniem na dziewięć pigułek leżących na dnie flakonika.

Nie miał pojęcia, co w nich jest, ale nabrał ochoty, żeby powtórzyć eksperyment z poprzedniego dnia. Prawdę mówiąc, nie robił sobie złudzeń: te pigułki z pewnością nie miały nic wspólnego ze snem, który mu się przyśnił.

Mimo to, może warto spróbować...

Powoli przechylił flakonik i gdy pigułka wypadła, ostatni raz się zawahał.

A jeśli to trucizna albo jedno z tych egzotycznych świństw zakłócających pracę umysłu?

Wszystko możliwe, ale co ryzykuje? Jakkolwiek by było i tak wkrótce wykończy go rak.

Trochę wcześniej czy trochę później... pomyślał, popijając pigułkę łykiem wina.

Z początku nic się działo. Usiadł wygodniej w fotelu i czekał. Z powodu choroby czuł się stary i bardzo zmęczony.

W myślach przewinął film z kilku ostatnich godzin, raz jeszcze rozważając nagłą i bolesną decyzję, że pod koniec miesiąca przestanie operować.

Zasrany dzień – powiedział do siebie, zanim zamknął oczy.

I zanim zasnął...

5

Spotkanie drugie

Fakt, że nie opadły nas jeszcze hordy przyszłych turystów, jest najlepszym dowodem na to, że podróż w czasie nie jest możliwa.

Stephen Hawking

San Francisco

Wrzesień 1976

Elliott ma 30 lat

– Leniuchujemy sobie, co?

Elliott otworzył oczy i podskoczył tak gwałtownie, że spadł z fotela. Podniósł nos ubrudzony kurzem i spojrzał w górę. Niewyraźna sylwetka odcinała się w świetle gwiazd – sylwetka mężczyzny spotkanego poprzedniego dnia na lotnisku. Stał z ramionami skrzyżowanymi na piersiach i patrzył na Elliotta, uśmiechając się lekko, widocznie zadowolony z kawału, jaki zrobił.

– Co do jasnej cholery robi pan na moim tarasie? – zagrzemiał młody lekarz.

– Jestem u siebie, podobnie jak ty... – odparł dziwny gość.

Zdziwiony i jednocześnie urażony Elliott podniósł się z impetem. Z zaciśniętymi pięściami podszedł do swojego rozmówcy i przez parę chwil spoglądali na siebie w milczeniu. Byli dokładnie tego samego wzrostu.

– Czy mogę wiedzieć, w co pan się bawi? – spytał Elliott groźnym tonem.

Tamten pominął jego pytanie i spytał łagodnie:

– Nie chcesz tego przyjąć do wiadomości, nieprawdaż?

– Czego?

– Prawdy...

Elliott wzruszył ramionami

– A jaka jest ta prawda?

– A taka, że jestem tobą.

– Prawdą jest to, że jest pan szalony!

– A ty, chłopie, nie potrafisz wyluzować.

Elliott przyjrzał się uważniej stojącemu przed nim mężczyźnie.

Dzisiaj nie miał już na sobie pomiętej piżamy, ale płócienne spodnie, czystą koszulę i dobrze skrojoną marynarkę. Miał dobrą prezencję i pewną charyzmę. Gdyby nie jego dziwna gadanina, przypominałby raczej biznesmena, a nie pacjenta szpitala psychiatrycznego.

Elliott przybrał swój najbardziej perswazyjny ton, próbując przywołać go do porządku.

– Proszę posłuchać, myślę, że jest pan chory. Może ma pan jakiegoś lekarza, który się panem zajmuje i który...

– Sam jestem lekarzem.

No to chybiłem, pomyślał Elliott, drapiąc się w głowę. Nie wiedział, jak zareagować w tej sytuacji. Zadzwoić na policję? Sprowadzić karetkę? Połączyć się z SOS dla szaleńców? Pozornie ten mężczyzna nie był gwałtowny, ale przecież za chwilę mógł się zmienić.

– Może pana bliscy się niepokoją. Jeśli powie mi pan, jak się nazywa, może mógłbym znaleźć pański adres i odwiedzić pana do domu.

– Nazywam się Elliott Cooper – odparł tamten ze spokojem.

– To niemożliwe!

– A niby dlaczego?

– Bo Elliott Cooper to ja.

– Chcesz zobaczyć moje dokumenty? – zaproponował mężczyzna, wyjmując portfel z kieszeni.

Wydawał się raczej rozbawiony tą sytuacją.

Elliott spojrział na dokument i nie mógł uwierzyć własnym oczom: w dowodzie osobistym figurowały to samo nazwisko i ta sama data urodzenia! Tylko zdjęcie przedstawiało faceta starszego o trzydzieści lat.

To niczego nie dowodzi, uspokajał sam siebie, teraz byle kto może załatwić sobie fałszywe papiery. Ale kto zadałby sobie tyle trudu i w jakim celu?

Po chwili zastanowienia doszedł do wniosku, że jest tylko jedno wytłumaczenie: to musi być jakiś kawał starannie opracowany przez Matta. Przez moment uczeplił się tej myśli, chociaż nie był do końca przekonany. Matt był rzeczywiście lekko zakrecony i skory do takich żartów, ale przecież nie do tego stopnia. Poza tym, gdyby chciał mu zrobić kawał, nie byłoby to coś tak wyszukanego. Raczej walnąłby poniżej pasa.

Dla kawału Matt wysłałby do mnie raczej stado striptizerek albo kilka luksusowych prostytutek, myślał Elliott, a nie sześćdziesięcioletniego faceta, który utrzymuje, że jest mną.

Zatopiony w myślach, zbyt późno zauważył, że mężczyzna zbliżył się do niego. Był teraz poważniejszy. Chwycił Elliotta za ramię i popatrzył wnikliwie.

– Posłuchaj mnie, chłopie, jakkolwiek wydaje ci się to niewiarygodne, ja naprawdę znalazłem sposób, żeby cofnąć się o trzydzieści lat.

– To oczywiste.

– Musisz mi uwierzyć, do cholery!

– Ale jak, skoro to, co pan mówi, nie ma żadnego sensu!

– Jeśli tak, to wytłumacz mi, jakim cudem mogłem wyjść niezauważony z toalety na lotnisku.

Tym razem Elliott nie wiedział, co powiedzieć. Może facet był pokrecony, ale jego riposty były celne.

– Proszę pana... – zaczął, lecz nie zdążył dokończyć.

– Daj wreszcie spokój z tym „panem”!

W tej samej chwili od strony oszklonej ściany werandy dobiegło skamlące szczekanie. Lekarz spojrział w dół i osłupiał: Bóg jeden wie, jakim cudem mały labrador zdołał doczołgać się na piętro ze skaleczoną łapą, i szczekał teraz radośnie, oznajmiając swoją obecność.

– O, Znajdek! – krzyknął mężczyzna, jakby zobaczył ducha.

Zwierzak rzucił się w jego stronę, lizał go po rękach i obwąchiwał.

– Czy już kiedyś widział pan tego psa? – spytał coraz bardziej zdumiony Elliott.

– Oczywiście, przecież to mój pies!

– Pański?

– Chciałem powiedzieć „nasz”.

Tego już było za wiele! Ten facet poważnie działał mu na nerwy. Może powinien zastosować jakąś inną taktykę, żeby się go pozbyć? Na przykład udać, że mu wierzy.

– A zatem naprawdę przybywa pan z przyszłości?

– Można to tak ująć.

Elliott pokiwał głową, po czym przeszedł kilka kroków po tarasie i oparł się o balustradę. Stamtąd spojrzął w dół na ulicę, jakby czegoś szukał.

– To dziwne – odezwał się po chwili milczenia – ale nigdzie nie widzę pańskiego wehikułu czasu. Zaparkował go pan na ulicy czy w moim salonie?

Mężczyzna nie mógł powstrzymać uśmiechu.

– Świetny żart. Czy nigdy nie myślałeś o zrobieniu kariery w spektaklu *one man show*?

Zamiast odpowiedzieć, Elliott postanowił położyć kres tej rozmowie:

– Teraz ty mnie posłuchaj, stary, nie znam cię i nie wiem, skąd się wziąłeś, ale myślę, że nie jesteś tak pokrecony jak to, co gadasz. Właściwie jestem pewien, że odgrywasz jakąś komedię.

– A w jakim celu?

– Nie mam pieprzonego pojęcia i, żeby wszystko było jasne, chrzanię to. Wszystko, czego teraz pragnę, to, żebyś się stąd wyniósł. Poza tym uprzedzam, że po raz ostatni jestem tak uprzejmy.

– Uspokój się, zaraz sobie pójdę.

Jednak zamiast się wynieść, mężczyzna rozsiadł się w wiklinowym fotelu, pogrzebał w kieszeni i wyjął papierosy: czerwono-białą paczkę ze słynnym logo wydrukowanym czarnymi literami.

Elliott zauważył, że palił papierosy tej samej marki, ale nie przejął się tym zbyt – papierosy reklamowane przez kowboja należały do najbardziej popularnych.

– Właściwie – podjął mężczyzna, wydmuchując kółeczko dymu i kładąc przed sobą zapalniczkę – wcale się nie dziwię, że mi nie wierzysz. Z czasem traci się pewność, ale ja pamiętam, kim byłem w młodości: naukowcem, który polegał wyłącznie na swoim rozumie.

– A teraz kim pan jest?

– Człowiekiem wiary.

Lekki podmuch wiatru przeleciał nad tarasem. Był piękny jesienny wieczór. O dziwo, przy obecnym skażeniu środowiska, niebo wydawało się niezwykle jasne, wspaniałe – roziskrzały je tysiące gwiazd i nisko wiszący księżyc w pełni, który lśnił niebieskawym światłem. Chłonąc ten niebiański spokój, mężczyzna dopalił papierosa i zdusił niedopałek w popielniczce.

– Może nadszedł czas, żebyś wziął mnie za tego, kim jestem, Elliott: za twojego sprzymierzeńca.

– Raczej za pierdolniętego świra. Taka jest prawda.

– Za takiego, który wie o tobie wszystko.

Lekarz nie wytrzymał:

– Jasne, pan wie o mnie wszystko, bo pan jest mną. Na tym polega pańskie szaleństwo! Tylko co takiego pan o mnie wie? Jakie palę fajki, kiedy się urodziłem... I co poza tym?

Złość wzięła nad nim górę, bo zaczynał się bać. Instynktownie czuł, że równowaga sił została zachwiana, i odnosił wrażenie, że

mężczyzna nie wystrzelił jeszcze całej amunicji, ponieważ – jakby przyznając mu rację – rzekł poważnym tonem:

– Wiem coś, o czym nie mówiłeś nikomu, ani swojemu najlepszemu przyjacielowi, ani kobiecie, z którą dzielisz życie.

– Na przykład co?

– Znam sprawy, o których nie masz ochoty słuchać.

– Śmiało! Niech pan wali! Chętnie posłucham. Ja nie mam nic do ukrycia.

– Zakład?

– O czym mielibyśmy gadać?

Mężczyzna zastanawiał się przez chwilę, po czym zaproponował:

– Chcesz może pogadać o ojcu?

To pytanie upokorzyło go jak policzek.

– A co mój ojciec ma z tym wszystkim wspólnego?

– Nie przyznawał się do tego, ale był alkoholikiem, nieprawdaż?

– Wcale nie!

– Ależ tak. W oczach ludzi uchodził za szanowanego człowieka interesu, kochającego męża i dobrego ojca rodziny. Ale w domu, dla matki i dla ciebie, był kimś zupełnie innym, co?

– Nic pan nie wie na ten temat.

– Oczywiście, że wiem. Na starość trochę się uspokoił, ale kiedy byłeś małym chłopcem, czasami porządnie od niego obrywałeś. Nie pamiętasz?

Skoro Elliott milczał, mężczyzna mówił dalej:

– Miewał takie napady po wypiciu paru głębszych. Kiedy był porządnie narąbany, szybko się irytował i uspokajał dopiero wtedy, kiedy kogoś sprzał...

Elliott przyjmował ciosy jak bokser zapędzony pod liny ringu.

– Przez dłuższy czas pozwalałeś mu na to. Czasami nawet go prowokowałeś. Wiedziałeś, że kiedy wyładuje się na tobie, nie będzie się pastwił nad matką.

Mężczyzna zamilkł na parę sekund, po czym spytał:

– Mam mówić dalej?

– Pieprz się!

Ten jednak pochylił się w jego stronę i szeptał mu do ucha, jakby chciał powierzyć jakiś sekret:

– Wróciwszy pewnego popołudnia ze szkoły, a miałeś wtedy dziesięć lat, znalazłeś matkę w wannie z przeciętymi nadgarstkami. Wykrwawiała się...

– Ty cholerny draniu! – wybuchnął Elliott, chwytając mężczyznę za poły marynarki.

On jednak dokończył to, co chciał powiedzieć:

– Przyszedłeś w samą porę, żeby ją uratować. Zadzwoiłeś po karetkę, ale matka wymogła na tobie przyrzeczenie, że jej nie zdradzisz. I dotrzymałeś słowa. Pomogłeś jej stłuc szybę w kabinie prysznicowej, a ona powiedziała sanitariuszom, że się skaleczyła, pośliznąwszy na mokrej posadzce. To był wasz sekret. Nikt nigdy nie dowiedział się prawdy.

Teraz dwaj mężczyźni stali naprzeciw siebie i patrzyli sobie prosto w oczy. Elliott został trafiony w samo serce. Nie spodziewał się takiego ciosu. Nie tego wieczoru, nie w ten sposób. Te wspomnienia, głęboko ukryte w zakamarkach pamięci, były nadal świeże.

I bolesne.

– Z początku myślałeś, że postąpiłeś właściwie. Tyle tylko, że dwa lata później matka wyskoczyła z dwunastego piętra waszego bloku.

Elliott odbierał każde zdanie jak celny cios w podbródek.

Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów miał ochotę się rozpłakać. Czuł się słaby, znokautowany na stojąco.

– Odtąd nie możesz przestać myśleć, że ponosisz część odpowiedzialności za to samobójstwo. Wszystko potoczyłoby się może inaczej, gdybyś wtedy powiedział prawdę. Przecież matka mogła się znaleźć pod opieką psychologa i leczyć się w jakiejś klinice. Mam mówić dalej?

Elliott otworzył usta, chcąc zaprotestować, ale nie wydał z siebie żadnego dźwięku.

Mimo że mężczyzna sprawiał wrażenie równie poruszonego, ponownie wkroczył na niebezpieczny grunt prawdy. Długo pichcił ostatnią rewelację, aż wygłosił ją wreszcie jak akt łaski:

– Opowiadasz wszystkim wokół, że nie chcesz mieć dzieci, ponieważ świat jest ponury, a przyszłość zapowiada się apokaliptycznie, ale to nie jest prawdziwy powód, Elliott...

Młody lekarz zmarszczył brwi. Sam już nie wiedział, w jakim kierunku zdąża jego rozmówca.

– Nie chcesz mieć dzieci, bo jesteś święcie przekonany, że rodzice cię nie kochali. A teraz sam nie masz pewności, czy będziesz w stanie kochać własne dzieci. Umysł ludzki jest bardzo dziwnym mechanizmem, nie sądzisz?

Elliott nie zaprzeczył. Wystarczyły trzy minuty, żeby mężczyzna, którego nigdy przedtem nie widział, zburzył jego spokój i sprawił, że zwątpił we wszystko. Marny stos ułożony z drobnych tajemnic – oto czym wszyscy jesteśmy.

Silniejszy podmuch wiatru powiał na tarasie. Mężczyzna postawił kołnierz marynarki, podszedł do Elliotta i położył dłoń na jego ramieniu, jakby chciał go pocieszyć.

– Niech mnie pan nie dotyka! – wyszeptał lekarz, cofając się pod balustradę tarasu. Brakowało mu tchu, a w głowie huczało. Nagle poczuł, że coś ważnego mu umknęło: prawdziwy cel tych rewelacji.

– Załóżmy, że to wszystko prawda – rzekł, wpatrując się w twarz swojego dziwnego gościa. – A zatem czego pan ode mnie oczekuje?

Starszy pan pokręcił głową.

– Niczego, chłopie. Przykro mi, że cię rozczarowałem, ale nie znalazłem się tu z twojego powodu.

– Tak? A więc...

– Jestem tu, żeby ją zobaczyć, ją...

Otworzył ponownie portfel, ale tym razem wyjął z niego spłowiałą fotografię, którą podał Elliottowi.

Zdjęcie Ileny w Central Parku! Rzuciła w niego śnieżkami, jej twarz była promienna, a policzki zaróżowione. Jego ulubione zdjęcie. Zrobił je zeszłej zimy i odtąd nie wyjmował z portfela.

– Skąd pan to ma? Niech pan tylko odważy się zbliżyć do Ileny, a rozkwaszę panu mordę...

Mężczyzna wstał, nie czekając na spełnienie groźby. Jakby po prostu nadeszła pora odejścia. Pogłaskał psa i zrobił kilka kroków w stronę szklanej ściany. Wtedy Elliott zauważył, że zaczął trząść się tak samo jak poprzedniego wieczoru na lotnisku, tuż przed zniknięciem.

Tym razem Elliott nie zamierzał pozwolić mu odejść w ten sam sposób.

Podbiegł, chcąc go złapać, jednak... za późno. Tamten opuścił już taras i zasunął za sobą szklaną taflę.

– Otwórz te kurewskie drzwi! – wrzasnął lekarz, waląc pięściami w szklaną ściankę.

Pokryta fluorescencyjnym żelem szyba zabarwiała się wieczorem na wyszukany zielony kolor. Ten pomysł architekta sprawił, że szkło stało się czymś w rodzaju weneckiego lustra. Zablokowany na tarasie Elliott znalazł się po niewłaściwej stronie, był widziany, sam nie widząc niczego.

– Otwieraj! – zawołał ponownie.

Po chwili ciszy głos zza szyby wymruczał:

– Nie zapomnij, co ci powiedziałem: jestem twoim sprzymierzeńcem, nie wrogiem.

Nie mógł pozwolić mu odejść. Teraz chciał wiedzieć więcej. Nie widząc innego wyjścia, chwycił krzesło z kutego żelaza i z całych sił cisnął nim w szybę, która rozpadła się na drobne, błyszczące kawałeczki. Wpadł do mieszkania, zbiegł ze schodów, zajrzał do wszystkich pomieszczeń, a nawet wybiegł na ulicę.

Nigdzie go nie było.

Kiedy wrócił na taras, mały labrador, smutny jak sto nieszczęść, wył do księżyca.

– Będzie dobrze, piesku – rzekł, biorąc go na rękę. – Już po wszystkim.

W głębi duszy był jednak przekonany, że stanie się wręcz odwrotnie. Prawdziwe problemy miały się dopiero zacząć.

6

*Tak bardzo pragnę, byś nie zapomniała
wspólnie spędzonych szczęśliwych dni. Życie
w tych czasach piękniejsze było, a słońca
blask silniejszy niż dziś.*

Jacques Prevert – Joseph Kosma

Rok 1976

Elliott ma 30 lat

Niosąc psa na rękach, Elliott ruszył w stronę samochodu. Musiał natychmiast opowiedzieć Mattowi o tym, co go spotkało. W pierwszym odruchu chciał zadzwonić do Ileny, ale rozłączył się, zanim podniosła słuchawkę. Jak powiedzieć jej o tym wszystkim, żeby nie wzięła go za żartownisia? Zamiast ją niepokoić, lepiej poczekać, aż dowie się czegoś więcej.

Otworzył drzwi garbusa i położył psa na siedzeniu pasażera. Czuł, że zaczyna przywiązywać się do małego labradora, który wydawał się tak samo jak on wstrząśnięty dziwną przygodą, jaką właśnie przeżyli.

Elliott wyjechał z mariny w kierunku włoskiej dzielnicy. Była już późna noc, więc ruch na drodze odbywał się płynnie. Wjechał na Lombard Street, pokonując osiem wiraży zakręconych jak pętla agrafki, czemu ulica zawdzięczała nazwę „najbardziej zakręconej na świecie”. Prezentowała się naprawdę fantastycznie, ale tego wieczoru Elliott był zbyt pochłonięty własnymi zmartwieniami, żeby podziwiać kępy kwitnących na niej krzewów i rześiste oświetlenie.

Chcąc dotrzeć czym prędzej na miejsce, z dużą prędkością przejechał przez North Beach, minął bliźniacze wieże Italian Cathedral, w której kiedyś Marilyn Monroe wzięła ślub z Joem DiMaggio, po czym znalazł się na szczycie Telegraph Hill.

Ulice San Francisco były naprawdę strome. Znalazłszy się na wzgórzu, nagimnastykował się porządnie, zanim udało mu się zaparkować samochód skosem do krawężnika. Musiał parokrotnie kręcić kierownicą, żeby ustawić się zgodnie z tym obowiązującym w mieście przepisem.

– Dobra, ty zostajesz w samochodzie – oznajmił psu.

Zwierzę wydało z siebie pomruk protestu, ale Elliott był niewzruszony.

– Przykro mi, ale to nie podlega dyskusji – uciał, zatraskując drzwi.

Wszedł na ścieżkę wysadzaną z obu stron eukaliptusami i zbiegł po kilku schodkach zboczem Telegraph Hill. To miejsce było urocze i nierealne, jakby spokojna wieś wprosiła się do centrum metropolii. Rozciągał się stąd widok na leżące w dole miasto i widoczną w tle, błyszczącą białym światłem Coit Tower. Kolorowa i bujna roślinność stanowiła oazę dla mnóstwa ptaków: wróbli, dzikich papużek oraz kosów... Elliott przebiegł po drewnianych schodkach wijących się między rododendronami, krzewami fuksji i bugenwilli, prowadzących do niewielkich, przylegających do zbocza domków w stylu art deco. Pokonawszy połowę drogi, znalazł się przed wejściem do zaniedbanego ogródka. Tak jak zawsze, przeskoczył przez barierkę i stanął na ganku drewnianego domku, z którego wnętrza dobiegał smętny refren jakiejś piosenki Marvin'a Gaye'a. Już miał zapukać do drzwi, ale skoro były otwarte, wszedł szybko do środka. Pragnął czym prędzej opowiedzieć o swoich kłopotach przyjacielowi.

– Matt, jesteś tam? – krzyknął, znalazłszy się w salonie. – Nigdy nie zgadniesz, co mi się przytrafiło...

Nagle zatrzymał się. Na niskim stoliku pod oknem zauważył dwa kieliszki do szampana, a obok talerzyk z makaronikami. W powietrzu unosiła się woń indyjskich kadzidełek. Elliott zmarszczył brwi i rozejrzał się po pokoju – w pobliżu kominka leżała para czółenek na wysokich obcasach, na kanapie znajdował się pastelowy biustonosz, na statuetce wisiały koronkowe majteczki. Jego przyjaciel najwidoczniej nie był sam. Przynajmniej miał taką nadzieję, bo gdyby Matt ubierał się w te łaszki, Elliott nie chciałby go więcej widzieć! Już zamierzał wycofać się na palcach, kiedy...

– Cześć!

Odwrócił się jak przyłapany na gorącym uczynku. Przed nim w stroju Ewy stała młoda kobieta spotkana przed paroma godzinami na plaży.

– Hm... Dzień dobry – wymamrotał, odwracając wzrok. – Przykro mi, że...

Dziewczyna z udawanym wstydem jedną dłonią zakryła piersi, drugą podbrzusze i przypląnęła w jego stronę, poruszając się zmysłowo.

– Matt nie powiedział mi, że do nas dołączysz – odezwała się przekornie.

– Nie, to znaczy... Nie chcę nawet wiedzieć, co ma pani na myśli. Przyszedłem tylko, żeby...

– Co tu robisz o tej porze? – przerwał mu Matt, zjawiając się w prześcieradle owiniętym wokół bioder.

– Widzę, że przeszkadzam – stwierdził Elliott.

– Jaki domyślny! Pozwól jednak, że przedstawię ci Tiffany, która przyjechała tu na kolejny casting na dziewczynę Jamesa Bonda.

– Bardzo mi miło. Hm... Nie podaję ręki, bo ma pani obie zajęte.

Tiffany posłała mu w odpowiedzi szeroki uśmiech, odsłaniając emaliowane ząbki, z całą pewnością pozbawione kamienia.

Elliott zwrócił się do przyjaciela:

– Posłuchaj, potrzebuję twojej pomocy...

– Tutaj, natychmiast? Nie możesz poczekać do jutra? – spytał Matt głosem, w którym zabrzmiała nuta żalu za przerwana przyjemnością, jakiej doznawał dzięki temu uroczemu stworzeniu.

– Masz rację, zadzwonię jutro – zgodził się nieco rozczarowany Elliott. – Wybacz, że ci przeszkodziłem.

Już szedł w kierunku drzwi, kiedy Matt, który nagle zrozumiał, że coś bardzo ważnego trapi przyjaciela, podszedł i chwycił go za ramię.

– Zaczekaj, stary! Mów, co się stało.

W drugim kącie pokoju Tiffany zbierała swoje fatalaszki. Czując się wykluczona z rozmowy, uznała, że powinna wyjść.

– W porządku, chłopcy, zostawiam was – oznajmiła, ubierając się. – Skoro wolicie bawić się razem...

– Nie, nie, nie i nie! – protestował Matt, próbując ją zatrzymać. – NIE O TO CHODZI! Elliott jest tylko moim PRZYJACIELEM!

– Nie przejmuj się, kochany – uspokajała go dziewczyna, wychodząc z pokoju. – Przecież jesteśmy w San Francisco, a ja wiem, co to oznacza...

Nie zważając na to, że jest prawie nagi, Matt wybiegł za nią na dwór, klnąc się na wszystkich świętych, że nie jest gejem, i prosząc o telefon. Jednak Tiffany urażona, nie chciała z nim rozmawiać. Matt nie poddawał się, kiedy nagły podmuch od oceanu zerwał z niego prześcieradło udrapowane na kształt togi. Goły jak go Pan Bóg stworzył, chwycił pierwszą lepszą doniczkę z kwiatami – kaktus o

płaskich liściach – i osłonił nią genitalia. Nie tracąc nadziei, biegł jeszcze jakiś czas za Tiffany, która pomimo wysokich obcasów śmigła jak gazela. W domku obok zapaliło się światło i trzasnęła okiennica. Obudzona hałasem starsza pani wyjrzała przez okno. Widząc wyraz osłupienia na twarzy sąsiadki, Matt rzucił się do odwrotu, chcąc jak najszybciej znaleźć się we własnym domu. Był już prawie przy drzwiach, kiedy potknął się na ostatnim schodku i jak długi runął na stopniach ganku. Kolce kaktusa wbiły się w najczulsze miejsce.

Wrzasnął z bólu, zamknął drzwi i wymierzył wskazujący palec w Elliotta.

– Twoje szczęście, jeśli rzeczywiście masz BARDZO POWAŻNY powód!

– Ja chyba tracę rozum, to wystarczy?

– Bądź tak miły i przestań na mnie patrzeć w ten sposób! A zwłaszcza nie otwieraj ust.

– Przecież nic nie mówię – zapewnił Elliott, z trudem opanowując wybuch śmiechu.

– Dobra, mów – zachęcił go Matt, zmierzając w stronę sypialni.
– Ubiorę się i wtedy pogadamy o twoim problemie.

Elliott przeszedł do kuchni, żeby nastawić wodę i przygotować kawę. Mimo danej obietnicy, krzyknął do Matta:

– Chcesz mojej rady? Użyj pincety!

Napięcie w małym domku zdecydowanie opadło. Matt „opatrzył się”, włożył spodnie i koszulę. Tak odświeżony usiadł za stołem gotów do rozmowy z przyjacielem.

– No, to opowiadaj! – rzekł, nalewając kawę do filiżanki.

– On wrócił – zaczął Elliott.

– Niech zgadnę: twój facet podróżujący w czasie, tak?

– Tak. Zjawił się u mnie w domu dziś wieczorem, na tarasie.

Matt skrzywił się po pierwszym łyku i wrzucił do filiżanki dwie kostki cukru.

– Nadal mówi to samo?

– Utrzymuje, że jest mną, tylko o trzydzieści lat starszym.

– Bardzo dziwny objaw, nieprawdaż, panie doktorze?

– Faktycznie, to wysoce niepokojące. Sporo o mnie wie, nawet o sprawach intymnych i bardzo osobistych...

– Zamierza cię szantażować?

– Nawet nie. Podkreśla, że przybył tu, żeby zobaczyć Ilenę.

– W każdym razie, kiedy znowu spotkasz swojego kumpla z przyszłości, nie zapomnij poprosić go o wyniki zawodów sportowych i o dane na temat rozwoju sytuacji na giełdzie...

Po kolejnym łyku kawy Matt znów zrobił dziwną minę. Wrzucił więc do filiżanki jeszcze trzy kostki cukru, po czym dokończył zdanie:

– ...żebyśmy przy okazji zarobili trochę forsy.

– Ty mi po prostu nie wierzysz – stwierdził Elliott ze złością.

– Owszem, wierzę, że jest jakiś typ, który cię osacza, ale nie wierzę, że przybył z przyszłości.

– Może gdybyś zobaczył, jak się ulatnia... – odparł Elliott i zamyślił się.

– Wiesz co? Teraz naprawdę jestem zaniepokojony. Przypominam ci, że z nas dwóch to ja jestem błaznem...

Matt wstał, żeby wylać zawartość filiżanki do zalewu.

– Faj! Ta twoja kawa smakuje jak wywar ze skarpetek!

Następnie powrócił do swojej argumentacji:

– To ja jestem specem od szaleństw i ekstrawagancji, a zatem tylko ja mam prawo wyczyniać różne głupawe figle i opowiadać niezbyt finezyjne kawały. Ty natomiast jesteś głosem rozsądku i mądrości, a więc nie staraj się odwracać ról.

– Wszystko to jest bardzo piękne, ale mam złe przeczucia co do tego faceta. Boję się go, chociaż zapewnia mnie, że nie mam powodu. Nie jestem wcale pewien, czy dobrze mi życzy.

– W takim razie musimy go odszukać i napędzić mu stracha – postanowił Matt, chwytając kij baseballowy leżący na kanapie.

– Odłóż to – westchnął Elliott. – Ten typ jest od nas dwa razy starszy.

– To jak mamy go załatwić?

Po chwili zastanowienia Elliott stwierdził, że z bzdurnego gadania faceta można wysnuć tylko dwa wnioski:

– Albo jest psychicznie chory...

– Albo?

– Albo mówi prawdę.

– Jeśli nie masz nic przeciwko, pozostanmy przy wniosku pierwszym.

– Proponuję zadzwonić do szpitali oraz instytutów psychiatrycznych i popytać, czy nie zginął im jakiś pacjent.

– No to bierzmy się od razu do dzieła! – krzyknął Matt, chwytając za telefon. – Jeśli ten człowiek istnieje, zapewniam cię, że wkrótce go znajdziemy.

Elliott otworzył oszklone drzwiczki biblioteki i wyjął książkę telefoniczną. W charakterze arcydzieł literatury na półkach leżały cała kolekcja numerów „Playboya” i kilka książek o uprawie winorośli.

– Czy wiesz, że na tym świecie jest parę rzeczy bardziej interesujących niż kobiety i wino? – zauważył.

– Naprawdę? – zdziwił się Matt pół żartem, pół serio. – Nie bardzo wiem jakie, chociaż wciąż się zastanawiam.

Uzyskawszy potrzebne dane, przyjaciele zaczęli dzwonić do wszystkich szpitali w Kalifornii. Chcieli się dowiedzieć, czy poszukiwany przez nich człowiek nie znajduje się przypadkiem na liście osób, które niedawno opuściły szpital bez zezwolenia lekarza. Trzeba dodać, że od kilku lat szpitale psychiatryczne zachęcane były do zwalniania części pacjentów. Planując obniżenie podatków, gubernator stanu – niejaki Ronald Reagan – postanowił drastycznie obciąć budżety tych placówek. Tę samą polityką zamierzał wprowadzić na szerszą skalę po objęciu stanowiska prezydenta, o które się właśnie ubiegał. Pomimo wielu starań Matt i Elliott nie trafili na żaden ślad mężczyzny, którego szukali. Zadanie okazało się zbyt trudne, a późna pora niczego nie ułatwiała.

– Ten facet, to człowiek niewidzialny – zrzędził Matt, odkładając słuchawkę. – Chcesz dalej dzwonić?

– Sądzę, że źle się do tego zabraliśmy. Prawdę mówiąc, chodzi mi przede wszystkim o znalezienie jakiegoś dowodu.

– Dowodu na co?

– Dowodu, że ten mężczyzna nie jest mną.

– Bredzisz, stary. Po raz pierwszy widzę cię w takim stanie i przyznaję, że nie chciałbym, żebyś w tej chwili musiał mnie operować. Wyluzuj, bracie! Weź urlop, zabierz Ilenę na tygodniowe słoneczne wakacje na Hawajach, a zobaczysz, że twój świat odzyska spójność.

Matt zwałił się na kanapę i włączył telewizję, trafiając w sam środek kolejnego odcinka serialu *Columbo*. Na ekranie, między dwiema refleksjami na temat swojej małżonki, sławny porucznik

starał się zbić z tropu kryminalistę, doprowadzając go do złożenia sprzecznych deklaracji.

– Szkoda, że czegoś u ciebie nie zostawił – odezwał się nagle Matt, ziewając szeroko.

– Co masz na myśli?

– Szkoda, że ten twój podróżnik w czasie nie zostawił na czymś swoich linii papilarnych. Dalibyśmy je do analizy, jak to robią w filmach.

Elliott zawahał się przez moment, przywołując w pamięci przebieg spotkania ze swoim „gościem”, po czym uściskał przyjaciela.

– Matt, jesteś geniuszem, wiesz o tym?

– Masz świętą rację – zgodził się Francuz. – Szkoda tylko, że jedynie ty jesteś tego zdania. Ale dlaczego mi to mówisz?

– On zostawił u mnie swoją zapalniczkę! Jestem prawie pewien: palił przy mnie papierosa i położył zapalniczkę na stoliku na tarasie.

Poruszony tym odkryciem Elliott chwycił marynarkę i kluczyki.

– Wracam do domu.

– Jadę z tobą – zdecydował Matt, doganiając go w progu. – Nie pozwolę ci prowadzić samochodu w takim stanie. Poza tym, nie opuszczę cię w najbardziej interesującym momencie.

Wyszli z domu i zbiegli po schodach.

– Pojedziemy moim wozem – zaproponował Matt. – Zawsze miałem problemy z tym twoim starym pudłem.

Kiedy dotarli na parking, stwierdzili, że wspaniały chevrolet corvette Matta został wysmarowany przez Tiffany. Przez całą szerokość przedniej szyby ciągnął się wielki napis zrobiony szminką do ust:

DUPEK

– Sympatyczna ta twoja przyjaciółka, nie ma co – rzekł Elliott.

– Zauważ jednak, że mimo wszystko zostawiła mi swój numer telefonu – odparł Matt, wyciągając wizytówkę zza wycieraczki. – Widocznie jest we mnie coś, czemu trudno się oprzeć.

Podczas gdy ścierał napis z szyby, Elliott poszedł do swojego samochodu po psa.

– Masz teraz psa? – zdziwił się Matt, otwierając szeroko oczy ze zdumienia. – Zawsze myślałem, że ty i zwierzęta nie jesteście dla siebie stworzeni.

– Powiedzmy, że to wyjątkowy pies.

Matt usiadł za kierownicą i zapiał pas.

– A co w nim takiego wyjątkowego? Potrafi prowadzić samochód i jest twoim kierowcą? To miałeś na myśli?

– Ruszaj i bądź grzeczny, to może zaśpiewa ci *Marsylianke*.

Matt włączył silnik i chevrolet corvette roadster przeciął mrok nocy jak strzała. Elliott czuł się lekki, jakby ktoś zdjął mu z piersi wielotonowy ciężar strachu. Wystarczyło parę minut, żeby jego samopoczucie się poprawiło. Naprawdę się przestraszył. Ten mężczyzna wytrącił go z równowagi, odgrzebując stare rodzinne tajemnice. Ale teraz ufność i dobry humor powróciły. Zaraz znajdzie zapalniczkę, a potem zadzwoni do znajomego policjanta. Analiza wykaże, że odciski palców nie należą do niego, i wszystko wróci do normy. Wtedy będzie mógł zadzwonić do Ileny i razem z nią śmiać się z tej historii. Tymczasem mógł dalej żartować sobie z Matta.

– Czy wiesz, że nie musisz spotykać się z dziewczynami, których IQ jest takie samo jak u ślimaka?

– Dlaczego mi to mówisz?

– Bo ta lalunia wyglądała na taką, która prochu nie wymyśli, jeśli kapujesz, o co mi chodzi.

Matt zainkasował złośliwą uwagę bez emocji, po czym zauważył:

– Daj spokój! Widziałeś jej...?

– Talia i biust nie są jedynymi kryteriami, jakie się bierze pod uwagę, umawiając się z kobietą – przerwał mu Elliott. – Myślałem, że w wieku trzydziestu lat masz już za sobą tę prymitywną fazę rozwoju, ale widzę, że się myliłem.

Matt nie dawał za wygraną:

– Wygląd fizyczny się liczy.

– Dobra, przyznaję, że liczy się w tym, o czym teraz myślisz, ale poza tym?

– Poza czym?

– Kiedy trzeba porozmawiać, wzbudzić wzajemne zainteresowanie, wymienić opinie...

Matt wzruszył ramionami.

– Kiedy mam ochotę podyskutować, dzwonię do ciebie. Czy w tym celu muszę koniecznie umawiać się z laureatką Nagrody Nobla?

– Za to teraz przejechałeś zjazd do mojego domu.

– Wcale nie – odparł urażony Matt – tylko pojechałem skrótem, którego nie znam.

Ten skrót wydłużył im drogę o kilka kilometrów, więc do mariny dojechali dziesięć minut później. Elliott parsknął z niecierpliwości, ale powstrzymał się od uwag.

Kiedy samochód zatrzymał się przed domem, wpadł do środka i przeskakując po cztery stopnie, dotarł na taras. Teraz obawiał się tylko jednego – że zapalniczka znikła.

Na szczęście nadal leżała na brzegu stołu.

– Co tu się stało? – spytał Matt na widok odłamków szkła znajdujących się na posadzce. – Stoczyłeś walkę z King Kongiem?

– Później ci wyjaśnię. Teraz muszę do kogoś zadzwonić.

– O drugiej nad ranem? Zwolnij, nocny motyłu! San Francisco nie jest „miastem, które nigdy nie zasypia”, i mylisz się, sądząc, że jest inaczej...

– Dzwonię na policję, Matt.

Elliott połączył się z centralnym komisariatem. Chciał sprawdzić, czy detektyw Malden ma tej nocy służbę. Miał, i połączono go natychmiast z jego biurem.

– Dobry wieczór, panie Malden, Elliott Cooper przy telefonie. Przykro mi, że panu przeszkadzam, ale chcę prosić o wielką przysługę.

*

Czekając na przybycie policjanta, przyjaciele wrócili na taras.

– Nie wiedziałem, że masz kumpli wśród gliniarzy – zdziwił się Matt. – Skąd znasz tego faceta?

– To on prowadził śledztwo po samobójstwie mojej matki – odparł wymijająco Elliott. – Bardzo mi wtedy pomógł i od tego czasu jesteśmy w kontakcie. To fajny facet, sam zobaczysz.

Podeszli do stolika i z uwagą przyglądali się zapalniczce zostawionej przez rzekomego „podróżnika w czasie”. Była to zapalniczka marki Zippo, wykonana ze srebra, inkrustowana maleńkimi błyszczącymi gwiazdkami, z wygrawerowanym nad nimi napisem: *Millenium Edition*.

– Dziwny ten napis – stwierdził Elliott.

– Faktycznie – przyznał Matt, który przyklęknął, żeby przyjrzeć się mu z bliska. – Wygląda na to, że ta rzecz została wyprodukowana w limitowanej serii dla upamiętnienia jakiegoś wydarzenia...

– ...nadejścia roku dwutysięcznego – dokończył Elliott, zdając sobie sprawę z absurdalności tego stwierdzenia.

– Dajmy spokój, gadamy byle co! – przerwał Matt, podnosząc się z klęczek.

Kilka minut później policyjny samochód zatrzymał się przed domem i Elliott wybiegł na spotkanie detektywa Maldena. Był to staroświecki gliniarz, w prochowcu i filcowym kapeluszu à la Humphrey Bogart. Miał sylwetkę boksera. Karierę rozpoczął od samego dołu, zdobywając doświadczenie na ulicach San Francisco. Przemierzał je od czterdziestu lat i to miasto nie miało już przed nim tajemnic.

Detektyw nie przyjechał sam. Przedstawił Elliottowi młodego kolegę – inspektora Douglasa, świeżo upieczonego absolwenta szkoły policyjnej, specjalistę w dziedzinie kryminalistyki. Z włosami gładko zaczesanymi do tyłu, w dobrze skrojonym garniturze i pod starannie zawiązanym krawatem Douglas wyglądał elegancko nawet o drugiej nad ranem.

– Co ci się przydarzyło, Elliott? – spytał Malden, patrząc na leżące na tarasie odłamki szkła. – Jakiś pocisk wpadł przez okno?

– Chciałbym, żeby zjął pan odciski palców z tej zapalniczki – wyjaśnił Elliott, jakby chodziło o zwykłą formalność.

Jak pilny uczeń, Douglas wyjął swój notes i długopis.

– Było jakieś włamanie? Coś panu ukradziono? – spytał.

– Właściwie nie – odparł Matt. – To bardziej skomplikowana sprawa...

– Jeśli nie składa pan skargi, nic nie możemy dla pana zrobić!
– zauważył młody inspektor tonem, w którym zabrzmiała nuta zniecierpliwienia.

– Uspokój się, Douglas! – zmiłgował go Malden.

Elliott zaczynał rozumieć, że nie obejdzie się bez wyjaśnień. Pod pretekstem przygotowania kawy zaciągnął starego policjanta do kuchni, żeby pogadać z nim w cztery oczy.

– Teraz wytłumacz mi, Elliott, co się stało – nalegał Malden, zapalając cygaretkę.

Młody lekarz milczał, a Malden przypomniał sobie ich pierwsze spotkanie. Doskonale je pamiętał, mimo że od tego czasu upłynęło prawie dwadzieścia lat. W pewien deszczowy wieczór wezwano go, żeby stwierdził samobójstwo jakiejś kobiety, która wyskoczyła z dwunastego piętra jednego z budynków w Downtown. Przy zwłokach znalazł dokumenty – nazywała się Rose Cooper. Następnie podjął się przykrego obowiązku oznajmienia strasznej nowiny jej mężowi i synowi.

Elliott miał wówczas zaledwie dwanaście lat. Malden zapamiętał tego miłego chłopca, inteligentnego i wrażliwego. Poznał również jego ojca: człowieka interesów, który sprawiał wrażenie, jakby wiadomość o tragicznej śmierci żony nie poruszyła go szczególnie. Malden zwrócił przy tym uwagę na zadrapania i sińce widoczne na rękach chłopca.

Prawdę mówiąc, nie tyle zobaczył ślady przemocy, ile się ich domyślił. Zapewne za sprawą intuicji, dzięki której był dobrym policjantem, pewne rzeczy po prostu wyczuwał. W tym konkretnym przypadku wyczuł to tym lepiej, że sam miał ojca, który regularnie okładał go pasem po powrocie z pracy w fabryce.

Mógł oczywiście udać, że tego nie zauważył, w tamtych czasach nie przywiązywano zbyt dużej wagi do takich rzeczy. Jednak nazajutrz wrócił, żeby zobaczyć się z Elliottem. Napomknął przy okazji o ojcu,

dając do zrozumienia, że „wie” o wszystkim i że będzie miał na niego oko. Potem nadal interesował się chłopcem i jego wykształceniem. Po prostu miał taką utopijną wizję zawodu policjanta: być blisko ludzi, a nie poprzestawać na łapaniu przestępców.

Teraz wziął z rąk Elliotta filiżankę z kawą i przetarł oczy, żeby strząsnąć z siebie tamte wspomnienia. Trzeba było skupić się na teraźniejszości.

– Jeśli mi nic nie powiesz, nie będę mógł ci pomóc.

– Zdaję sobie z tego sprawę – przyznał Elliott – tylko że...

– Tylko co?

– Po śmierci mamy poprosił mnie pan, bym mu zaufał, i obiecał, że odtąd będzie do mojej dyspozycji zawsze, kiedy znajdę się w potrzebie.

– To w dalszym ciągu aktualne, synu.

– Właśnie dzisiaj potrzebuję pańskiej pomocy. Nie tylko jako policjanta, ale również jako przyjaciela. Chciałbym zidentyfikować te odciski palców, i jednocześnie pragnę, żeby mi pan zaufał, nawet jeśli na razie nie jestem w stanie nic więcej powiedzieć.

– No tak – westchnął Malden. – Pięknie mówisz, tyle tylko, że ja nie mogę ot tak sobie zarządzić identyfikacji tych śladów! Do tego potrzebne jest zezwolenie, a potem należy napisać sprawozdanie. Poza tym trzeba by także sprowadzić brygadę z laboratorium, a wszystko razem trwałoby kilka dni, a może tygodni...

– Ale ja potrzebuję tych wyników zaraz!

Malden zastanawiał się przez dłuższą chwilę, drapiąc się w głowę. Od jakiegoś czasu jego pozycja w komisariacie osłabła. Oficjalnie zarzucano mu, że nie bierze pod uwagę hierarchii służbowej, że dla osiągnięcia celu stosuje metody nie zawsze dozwolone. A zwłaszcza nie chciano mu wybaczyć zbyt gorliwego angażowania się w śledztwo dotyczące afery korupcyjnej, w którą

zamieszane były ważne w mieście osobistości. Malden wiedział, że jest uwikłany i że jego nowy zastępca został mu przydzielony po to, aby go strzegł przed zrobieniem jakiegoś fałszywego kroku. Tak więc z jednej strony powinien mieć się na baczności, a z drugiej była obietnica, której powinien dotrzymać. Obietnica dana dwadzieścia lat temu pewnemu dziecku, które właśnie straciło matkę.

– Być może mam pewien pomysł co do tych odcisków palców. Sposób na ominięcie obowiązującej procedury – oświadczył nagle Malden.

– Jak to?

– Zaraz zobaczysz – odparł z tajemniczą miną. – To wbrew regulaminowi, ale może się uda.

Wróciwszy do salonu, wysłał Douglasa po tubkę Super Glue, nowego kleju, który właśnie robił furorę na rynku.

– Ciekawe, gdzie mam go szukać o drugiej nad ranem? – zrzędził Douglas.

Malden podał mu adres sklepu fotograficznego otwartego przez całą noc, który z pewnością miał w sprzedaży ten klej produkowany przez firmę Kodak.

Kiedy Douglas się oddalił, by wykonać polecenie, policjant ukłękął obok stolika i przyjrzał się dziwnemu napisowi na zapalniczce.

– *Millenium Edition!* Co to może znaczyć? – zastanawiał się, patrząc pytającym wzrokiem na Matta.

– My również nie mamy bladego pojęcia – przyznał Matt, otwierając puszkę coca-coli.

– Mam nadzieję, że nie dotykaliście zapalniczki, bo w przeciwnym razie te odciski...

– Bierze nas pan za głupców, czy co? – zachnął się Matt. – My także czasami oglądamy serial *Starsky i Hutch*.

Malden zgromił go wzrokiem, po czym zwrócił się do Elliotta.

– Potrzebne mi będzie jakieś kartonowe pudełko.

– Jak duże?

– Takie po butach wystarczy.

Elliott poszedł do sypialni i znalazł karton po butach marki Stan Smith.

W tym czasie Malden wziął małą lampkę stojącą na niskim stoliku na tarasie, zdjął abażur i przyłożył dłoń do żarówki, żeby zbadać jej temperaturę.

Kilka minut później wrócił Douglas, z dumą wymachując tubką kleju Super Glue. Początkowo uważał Maldena za relikw z przeszłości, ale w końcu musiał przyznać, że pomysłowość starego gliniarza z każdym dniem coraz bardziej go zadziwia. Doszedł do wniosku, że w jego towarzystwie nauczył się więcej niż przez trzy lata w szkole policyjnej.

– Wszystko gotowe – oznajmił Malden – możemy zaczynać przedstawienie.

– Zamierza pan zdjąć odciski palców za pomocą kartonowego pudełka i tubki kleju? – spytał Matt z niedowierzaniem.

– Dokładnie tak. Czegoś takiego, mój chłopcze, nie widziałeś w telewizji, nawet w serialu *Starsky i Hutch*.

Malden poprosił Matta, żeby mu podał pustą puszkę po coca-coli, wyjął z kieszeni scyzoryk i odciął aluminiowe denko. W tę prowizoryczną tulejkę wlał całą zawartość tubki, po czym umieścił miksturę obok zapalniczki.

Następnie chwycił nocną lampkę i za pomocą żarówki podgrzał klej. Wkrótce mdlące opary rozeszły się w pomieszczeniu. Wtedy

Malden przykrył całość kartonowym pudełkiem, i zadowolony z siebie odwrócił się w stronę widzów.

– Trzeba poczekać kilka minut – oznajmił z uśmiechem satysfakcji.

– Właściwie, co takiego pan zrobił? – spytał niezbyt przekonany Matt.

Nie spuszczać oczu z pudełka, Malden przyjął profesorski ton:

– Chemiczna nazwa kleju Super Glue to cyjanoakrylat...

– Dzięki za informację – odburknął Matt.

Malden spojrzał na niego ponurym wzrokiem oznaczającym, że nie pozwoli, aby mu przeszkadzano w trakcie objaśniania, i ta wiadomość dotarła do Matta.

– Pod wpływem ciepła opary cyjanoakrylatu zostaną przyciągnięte przez aminokwasy i lipidy, podstawowe składniki ludzkiego potu obecne w odciskach palców.

– I wtedy nastąpi polimeryzacja – dokończył Elliott, który zaczął rozumieć.

– Poli... co? – spytał Douglas, coraz bardziej zdezorientowany.

– Polimeryzacja – powtórzył Malden. – To znaczy, że opary Super Glue osadzą się na niewidocznych gołym okiem odciskach palców, tworząc na nich coś w rodzaju ochronnej skorupki, która sprawi, że staną się wyraźne i utrwalone.

Matt i Douglas popatrzyli z niedowierzaniem na starego policjanta. A przecież byli właśnie świadkami pionierskiego eksperymentu, który za kilka lat miał zrewolucjonizować pracę śledczych na całym świecie.

Tymczasem Elliott z obawą wpatrywał się w pudełko, nie wiedząc, czego się spodziewać.

Uznawszy, że zabawa trwa już wystarczająco długo, Malden podniósł karton – biały i solidny osad odłożył się na zapalnicze w trzech miejscach, ukazując wyraźnie trzy ślady palców.

– A oto wynik – rzekł, pochylając się nad instalacją. – Na pierwszy rzut oka widać wspaniały odcisk kciuka po jednej stronie, a po drugiej chyba... odciski części palca wskazującego i środkowego.

– O ile dobrze zrozumiałem – zwrócił się do Elliotta – chcesz, żebym porównał je z odciskami, jakie mamy w naszej kartotece.

– Nie o to mi chodzi – sprostował lekarz. – Chcę, żebyście je porównali z moimi.

Nie zwlekając, wyjął pióro wieczne z kieszeni marynarki, wylał odrobinę atramentu na blat stolika, po czym umoczył po kolei wszystkie palce i przyłożył je do czystej kartki wyrwanej z notesu.

Malden chwycił kartkę i spojrzał Elliottowi prosto w oczy.

– Nie rozumiem, o co w tym wszystkim chodzi, ale zrobię to, ponieważ ja także ci ufam.

Lekarz skinął głową w milczeniu, chcąc w ten sposób podziękować policjantowi. Natomiast Matt ośmielił się wreszcie zadać pytanie:

– Ile czasu potrzeba, żeby porównać te odciski?

– Zaraz się do tego zabiorę – odparł Malden. – Są wyraźne, a zatem będę miał wynik bardzo szybko.

Elliott odprowadził policjantów na ganek. Podczas gdy Douglas poszedł przyprowadzić samochód, Malden obiecał:

– Zadzwoń do ciebie, jak tylko skończę. A po chwili wahania spytał:

– O co to ja chciałem... Już wiem. Nadal jesteś z tą swoją Brazylijką, Ileną?

– Nadal – odparł Elliott, nieco zdziwiony tym pytaniem. – Między nami jest...

Wrodzona nieśmiałość nie pozwoliła mu dokończyć, ale Malden i tak wiedział to, co chciał wiedzieć.

– Rozumiem – rzucił, spuszcżając głowę. – Kiedy ktoś zapadnie ci w serce, zostanie tam na zawsze...

Elliott popatrzył ze wzruszeniem na oddalającego się starego policjanta. Wiedział, że od kilku lat towarzyszy swojej żonie w beznadziejnej walce z chorobą Alzheimera. I o tym, że jej ostatnia godzina zbliża się nieuchronnie.

*

Była trzecia nad ranem, ale Elliott nadal nie spał. Pojechał z Mattem do jego domu i wrócił swoim garbusem. Po drodze zatrzymał się na stacji benzynowej przy Market Street. Kiedy zamyślony lał paliwo do baku, zagadnęła go jakaś bezżębna kobieta, która pchała przed sobą wózek wypełniony różnymi rupieciami i szmatami. Wyglądała na pijaną albo naćpaną. Posłała Elliottowi wiązanke przekleństw, on jednak nie zwracał na to uwagi. Przez dwa dni w tygodniu pracował jako wolontariusz we Free Clinie, miejskim centrum medycznym dla ludzi w potrzebie, wiedział więc, jak wygląda miasto w nocy. W przewodnikach turystycznych i na filmach San Francisco przedstawiane jest zawsze w najkorzystniejszym świetle. Pokazuje się malownicze dzielnice, tereny zielone, podkreśla ludzki wymiar miasta. Nieustannie przypomina się, że jest symbolem hippisowskiej wolności. To prawda, że „Frisco” przeżyło czasy swojej chwały w latach sześćdziesiątych, kiedy w ślad za Janis Joplin i Jimim Hendriksem setki dzieci kwiatów zamieszkało w wiktoriańskich domach Haight Ashbury.

Ale melodia *Summer of Love* dawno przebrzmiała, ruch hippisowski stopniowo zamarł, wycieńczony własnymi ekscesami, a Joplin i Hendrix umarli, oboje w wieku zaledwie dwudziestu siedmiu

lat. Jimi – nafaszerowany środkami nasennymi udusił się wymiocinami, a Perła przedawkowała heroinę.

Pod koniec 1976 roku wolna miłość i życie w komunach nie interesowały już ludzi. Ale narkotyki nadal siały niesłychane spustoszenie. Mając rzekomo otwierać umysły i uwalniać od codzienności, LSD, metedryna i heroina powodowały uzależnienie, po czym powoli zabijały. W klinice Elliott był świadkiem tego straszliwego spustoszenia: przedawkowanie, żółtaczka wprowadzona brudnymi igłami, zapalenie płuc i inne konsekwencje *bad trips*, takie jak choćby tragiczny w skutkach skok z okna.

Do tego należało dodać problem weteranów wojny w Wietnamie, którzy coraz liczniej powiększali szeregi bezdomnych. Oddziały amerykańskie wycofały się z Sajgonu przed rokiem, a setki byłych żołnierzy, zdruzgotanych wojennymi przeżyciami, wegetowało gdzieś na pograniczu marginesu i włóczęgostwa.

Elliott uregulował należność za benzynę i przejechał przez miasto z opuszczonymi szybami, nie przestając myśleć o niewiarygodnym wieczornym spotkaniu. Po rozstaniu z Mattem znów poczuł się samotny i bezbronny. Trudno, musiał przyznać, że wszystko, o czym mówił ten mężczyzna, było prawdą: szturchańce wymierzane przez ojca i poczucie winy, jakiego doznał w chwili samobójstwa matki.

Dlaczego nigdy dotąd nie rozmawiał o tym z Ileną? Z jakiego powodu nie odważył się przyznać do własnych słabości przed kobietą, którą kochał?

A Matt? Jemu również o niczym nie powiedział. Czyżby kierował się zwykłą męską pruderią? Po prostu tak było wygodnie. W towarzystwie Matta wszystko wydawało się lekkie i frywolne. Obcowanie z nim było komfortową ucieczką przed twardą rzeczywistością i sposobem na odzyskanie sił, kiedy trudy zawodu lekarza stawały się nie do zniesienia.

W końcu, nawet jeśli nie wymyślono nic lepszego od miłości i przyjaźni, by życie stało się bardziej znośne, zdarzały się takie sytuacje, w których trzeba było radzić sobie samemu.

*

Kilka kilometrów dalej detektyw Malden trudził się w biurze swojego komisariatu policji. Przed paroma minutami pokłócił się z podwładnym, który zarzucał mu, że w czasie służby musi pracować nad sprawą natury prywatnej. Malden wiedział, że Douglas czeka na jego rychłe odejście i ostrzy sobie zęby na własny szybki awans. Kiedy ten złamas zagroził mu raportem, Malden oświadczył bez ogródek, co o nim myśli, po czym wysłał go do pomieszczenia na drugim końcu komisariatu. Szkoda. Douglas miał zadatki na dobrego gliniarza, tylko źle się do tej roboty zabierał. W czasach młodości Maldena nie starano się robić kariery za wszelką cenę. A może Malden się starzał? Może młode pokolenie wyznawało inne wartości, było ambitniejsze, przejawiało większą inicjatywę, do czego w telewizji nawoływał czasami gubernator Reagan?

Malden opróżnił kubek kawy. Tym razem nie miał wątpliwości, że młodszy kolega spełni swoje groźby. Trudno. Jeśli policyjne lizusy w końcu go załatwią, zwolni się z pracy i przynajmniej będzie mógł spędzać więcej czasu w szpitalu przy łóżku Lizy. W każdym razie emerytura była niedaleko. Tymczasem ostatni raz pomoże Elliottowi i zrobi to, o co go poprosił.

Zabarwił odciski palców na zapalnicze fluorescencyjną farbą. Następnie wziął aparat fotograficzny i zrobił serię zdjęć, które należało wywołać i powiększyć. Dopiero potem będzie można przystąpić do właściwej analizy. Z niepokojem spojrzął na zegarek. Czekala go benedyktyńska robota. Noc mogła okazać się za krótka.

*

Zanim Elliott dojechał do mariny, zatrzymał się w małym, otwartym przez całą dobę sklepie samoobsługowym w Van Ness. Kupił paczkę papierosów i torbę suchej karmy dla psa.

– Cześć, Znajdek – zawołał, otwierając drzwi domu.

Ledwo wszedł na taras, labrador przybiegł i polizał mu palce dokładnie tak samo, jak zrobił to kilka godzin wcześniej, witając ich dziwnego gościa.

– Nie musisz się podlizywać – uprzedził go Elliott, wsypując chrupki do miski.

Przez chwilę stał i obserwował szczeniaka, zdziwiony, że lubi jego towarzystwo. Potem pozamiatał odłamki szkła i wypalił kilka papierosów, patrząc przed siebie nieobecny wzrokiem i błądząc myślami we wspomnieniach z dzieciństwa. Co pięć minut spoglądał z niepokojem na telefon w oczekiwaniu na werdykt w sprawie odcisków palców. Nawet jeśli cała ta historia nie trzymała się kupy, nie mógł opanować zdenerwowania, jakby czekał na wyniki badania lekarskiego i wiadomość o śmiertelnej chorobie.

*

Douglas podarł raport, który dopiero co napisał na maszynie. Wstał i zszedł na parter do niewielkiego pomieszczenia służącego policjantom za pokój do wypoczynku. Tej nocy w komisariacie panował wyjątkowy spokój. Przygotował więc dwa kubki kawy, po czym wdrapał się na trzecie piętro i zapukał do drzwi biura Maldena.

Malden tylko wymamrotał coś w odpowiedzi, ale Douglas postanowił uznać to za zaproszenie.

– Nie potrzebuje pan pomocy? – spytał, wsadzając głowę przez szparę w drzwiach.

– Może i tak... – odpowiedział stary policjant szorstkim tonem.

Douglas podał starszemu koledze kubek z kawą i rozejrzał się uważnie dookoła.

Na ścianie wisiało około dziesięciu kilkakrotnie powiększonych zdjęć, które zapraszały do zwiedzenia labiryntu linii papilarnych. Gliniarze uwielbiają te odciski. „To jedyni denuncjatorzy, którzy nie zawodzą i nigdy nie kłamią” – zwykło się mawiać wśród zawodowców. Powieszone jedne obok drugich, zdjęcia tworzyły dziwną tapetę przypominającą mapę topograficzną: linie łagodne, zakrętasy, wgłębienia, małe wysepki łączące się na wszystkie sposoby. Odcisk linii papilarnych każdego człowieka jest unikalnym dziełem sztuki, kształtującym się już w życiu płodowym. W łonie matki zarodek doznaje mnóstwa drobnych stresów, których efektem jest powstawanie rzeźby na opuszkach jego palców. Cały proces odbywa się przed upływem szóstego miesiąca ciąży. Następnie drobne rowki utrwalają się i pozostaną niezmienione do końca życia.

W szkole policyjnej Douglas dowiedział się, że na każdym palcu jest około stu pięćdziesięciu charakterystycznych punktów. Aby ustalić, czy dwa odciski są identyczne, wystarczy stwierdzić zgodność tych znaków. Żeby identyfikacja miała moc prawną, trzeba potwierdzić zgodność dwunastu takich punktów.

– Bierzmy się do pracy – zaproponował przełożony.

Douglas miał dobry wzrok.

Za to Malden miał więcej cierpliwości.

Dzięki temu razem tworzyli bardzo zgrany zespół.

*

Kiedy nastał świt, Elliott postanowił wziąć prysznic. Włożył czyste ubranie i wyszedł z domu, by udać się do szpitala. Na drodze musiał włączyć światła i wycieraczki. W ciągu paru godzin pogoda zmieniła się diametralnie. Niebo, tak czyste poprzedniego wieczoru,

teraz było pokryte chmurami zapowiadającymi jeden z tych deszczowych ranków charakterystycznych dla przełomu jesieni i zimy.

Włączył radio, żeby posłuchać wiadomości. Wszystkie były niepokojące: tragiczne w skutkach trzęsienie ziemi w Chinach, represje wojskowe w Argentynie, „czarny przypływ” we Francji, masakra w Soweto w Afryce Południowej, gdzie panował apartheid, a w Houston jakiś szaleniec zabarykadowany we własnym domu zabawia się strzelaniem do tłumu.

W tym samym czasie w Ameryce doby afery Watergate trwała kampania prezydencka, choć jeszcze nie było wiadomo, który z kandydatów – Carter czy Ford – przez kilka następnych lat pokieruje losami kraju.

Rozgoryczony Elliott zmienił stację i do szpitala dojechał, słuchając *Let It Be* Bitelsów.

Kiedy tylko znalazł się w hallu, zawołał go strażnik.

– Telefon do pana doktora!

Elliott chwycił słuchawkę.

– Mam już wyniki – oznajmił Malden.

Lekarz wziął głęboki wdech, po czym spytał:

– No i co wykazały?

– Odciski są identyczne.

Potrzeba było paru sekund, żeby informacja dotarła do świadomości Elliotta.

– Jesteście pewni tych wyników?

– Więcej niż pewni. Sprawdziliśmy je wielokrotnie.

Elliottowi było jednak trudno przyjąć do wiadomości tę informację.

– Statystycznie rzecz biorąc, ile jest możliwości, że dwie osoby mają identyczne linie papilarne?

– Jedna na wiele dziesiątek miliardów. Nawet bliźnięta nie mają takich samych.

Wobec braku jakiegokolwiek reakcji ze strony lekarza, Malden powtórzył jeszcze raz, starając się wyrażać jaśniej:

– Nie wiem, Elliott, jaki masz problem, ale odciski palców należą do tej samej osoby. Nie mam co do tego żadnej wątpliwości. A tą osobą jesteś ty.

7

*Oddalam od siebie śmierć, żyjąc – cierpiąc,
myląc się, ryzykując, dając i tracąc.*

Anais Nin

Wrzesień 2006

Elliott ma 60 lat

Światło przenikające przez szklane ścianki do wnętrza mieszkania powodowało, że promienie słoneczne ślizgały się po meblach i rozpryskiwały po parkiecie z kalifornijskiego orzecha.

Ubrany w stare lewisy i sweter o luźnym splocie, Elliott zszedł po metalowych schodach prowadzących do kuchni. Miał dziś dzień wolny, więc zamierzał zjeść śniadanie bez pośpiechu. Umyty i starannie ogolony, czuł nowy przypływ energii. Tego ranka choroba nie dokuczała mu zbyt, jakby widmo śmierci oddaliło się pod wpływem niezwykłych przeżyć, jakich doznał zeszłej nocy.

Dzień zapowiadał się słoneczny. Elliott przygotował sobie sok pomarańczowy i miseczkę musli, które postanowił skosztować w ogrodzie. W jego myślach przesuwano się jeszcze kilka niewyraźnych obrazów z poprzedniego wieczoru. Odczuwał raczej zakłopotanie niż egzaltację. Choć nadal nie wiedział, jaką substancją zawierały pigułki, jednego był pewien – ich działanie okazało się piorunujące! Zwłaszcza druga „podróż” pozwoliła rzucić światło na kilka spraw. Miał wrażenie, że teraz lepiej rozumie mechanizm swojego powrotu do przeszłości.

Z początku każdy skok w czasie był taki sam, Elliott cofał się dokładnie o trzydzieści lat. Pierwszego wieczoru spojrzął na datę wyświetlaną na lotnisku, a ostatnim razem informację zaczerpnął z gazety leżącej na tarasowym stoliku.

Poza tym był w stanie przenosić do przeszłości różne przedmioty, bo jego ubrania podróżowały wraz z nim. Podobnie działo się ze sprowadzaniem przedmiotów do teraźniejszości – zakrwawiona chusteczka była najlepszym tego dowodem.

Odczuwał jednak pewien niedosyt, za każdym razem pobyt w przeszłości był zbyt krótki. Trwał zaledwie około dwudziestu minut, a to stanowczo za mało. Ledwie zdążył zamienić kilka zdań ze swoim „drugim ja”, a już dostawał drgawek zapowiadających powrotną podróż.

Może było jeszcze za wcześnie na odkrycie prawdziwego sensu tych spotkań? W każdym razie jedno wydawało się pewne: podróże w czasie mógł odbywać jedynie podczas snu.

Wróciwszy do domu, usiadł przed ekranem komputera. Był chirurgiem, ale co tak naprawdę wiedział na temat snu i marzeń sennych? Prawdę mówiąc, niewiele. W czasie studiów pochłonał tony wiadomości, ale prawie nic już z tego nie pamiętał. Dla odświeżenia pamięci wszedł do sieci i przez następną godzinę studiował encyklopedię medyczną *online*.

Sen składa się z odrębnych faz, następujących po sobie i powtarzających się przez całą noc.

W porządku, to akurat pamiętał. Ale co poza tym?

Sen lekki to sen o falach powolnych, podczas gdy sen głęboki to sen o falach szybkich, zwany „snem paradoksalnym”.

Sen paradoksalny? Coś mu to mówiło...

Pojęcie to oznacza fazę snu, w czasie której mózg pracuje najintensywniej, podczas gdy ciało znajduje się w stanie całkowitego bezwładu, a wszystkie mięśnie, od karku do stóp, są rozluźnione.

No dobrze, ale gdzie jest miejsce na marzenia senne?

W ciągu naszego życia sen zajmuje nam średnio dwadzieścia pięć lat, a marzenia senne około dziesięciu. W tym czasie śni się nam od stu do pięciuset tysięcy snów.

Widząc te liczby, Elliott się zamyślił. Tak więc nasze życie składa się z setek tysięcy snów! Było to równie ciekawe, jak niepokojące. Czując, że jest na dobrej drodze, pozwolił sobie na jednego papierosa, po czym zagłębił się w dalszej lekturze, z której dowiedział się, że:

Faza snu paradoksalnego zdarza się mniej więcej co dziewięćdziesiąt minut i trwa dobry kwadrans. Właśnie podczas tej fazy najczęściej pojawiają się marzenia senne.

Ostatnie zdanie sprawiło, że zaczął się wiercić na krześle. Wszystko się zgadzało – wczoraj wieczorem zasnął około godziny 22.30. Zatem jego podróż trwała dziewięćdziesiąt minut, dokładnie tyle, żeby osiągnąć pierwszą fazę snu paradoksalnego!

A więc tak to działa! W tej fazie aktywności mózgu substancja zawarta w pigułce powodowała u niego powrót do przeszłości. Wszystko to mogło wydawać się jakimś szaleństwem, ale dożył takiego okresu w swoim życiu, że nie wierząc już w nic, gotów był uwierzyć we wszystko.

Klikając parokrotnie myszką, kontynuował eksplorację tajemniczego świata, by dojść do wniosku, że o ile naukowcy odkryli wiele rzeczy na temat sposobu powstawania marzeń sennych człowieka, to nie potrafią wyjaśnić, dlaczego marzenia senne powstają. Pod wieloma względami sny nadal stanowiły zagadkę. Jak każda inna zaprogramowana czynność ciała i mózgu, marzenie senne powinno mieć jakąś funkcję, jakiś cel...

Tylko jaki?

Nauka dotychczas nie udzieliła odpowiedzi na to pytanie.

Były oczywiście różne ezoteryczne bzdury znane od czasów starożytnego Egiptu, według których sny są znakami wysyłanymi przez bogów lub niewidzialny świat. Ale czy można w to wierzyć?

Kiedy Elliott analizował tę hipotezę, jego rozmyślenia przerwał nagle dzwonek telefonu. Gdy podniósł słuchawkę, rozpoznał głos szefa szpitalnego laboratorium, Samuela Bellowa, którego poprosił o analizę okruszków pigułek zebranych z dna flakonika.

– Mam już wyniki analizy – oznajmił Bellow.

*

Rok 1976

Elliott ma 30 lat

W tej samej chwili, trzydzieści lat wcześniej, Elliott dopijał kawę w pokoju wypoczynkowym Lenox Hospital.

Po raz dziesiąty tego przedpołudnia młody lekarz przyglądał się zdjęciom odcisków palców przekazanym przez Maldena za pośrednictwem gońca. Teraz musiał uwierzyć w to, co dotąd uważał za niewiarygodne: gdzieś w przyszłości „inny on sam” znalazł sposób na odbywanie podróży w czasie i składanie mu krótkich wizyt.

Jeśli chodzi o to, jak tego dokonał... to już całkiem inna historia.

Elliott nigdy nie przepadał za lekturą książek fantastyczno-naukowych, za to na studiach czytał Einsteina i poznał jego teorię względności. Co takiego wujaszek Albert mówił na temat podróży w czasie? A to mianowicie, że są całkiem prawdopodobne... pod warunkiem że przekroczy się prędkość światła. Nie bardzo mógł wyobrazić sobie swojego dziwnego gościa krążącego wokół Ziemi z prędkością trzystu tysięcy kilometrów na sekundę, jak jakiegoś starzejącego się Supermana.

Odpowiedzi należało zatem szukać gdzie indziej.

Elliott pomyślał o czarnych dziurach. Oglądał kiedyś w telewizji pewien reportaż na temat kresu życia gwiazd i wytwarzanego przez nie pola grawitacyjnego, które może spowodować odchylenie czasoprzestrzeni. Teoretycznie rzecz biorąc, nic nie stało na przeszkodzie, by wyobrazić sobie, że jakieś ciało wessane w czarną dziurę może pojawić się w innej epoce lub w innym świecie.

Logiczne... poza tym, że dotychczas nie zaobserwowano jeszcze żadnej czarnej dziury, i wydawało się mało prawdopodobne, by ciało

ludzkie mogło przedostać się przez taką strefę, nie rozpadając się na kawałki i nie zamieniając w pył.

Na dodatek, nie można było traktować poważnie scen, które robiły furorę w filmach z gatunku fantastyki naukowej ani opisów znajdujących się w tego typu książkach. A gdybyście, wracając do przeszłości, przeszkodzili w spotkaniu waszego ojca z waszą przyszłą matką? Gdybyście zabili swoich rodziców, zanim zdążyliby doprowadzić do waszego poczęcia? Wówczas wkroczylibyście w błędne koło bytu i niebytu:

Zabiłem swojego przodka.

A więc się nie narodziłem.

Nie zabiłem swojego przodka.

A więc przyszedłem na świat.

Zabiłem swojego przodka.

A zatem...

Elliott westchnął. Wiara w to, że podróż jest możliwa, oznaczałaby pogwałcenie wielu praw fizyki oraz negację zasad przyczynowości i spójności logicznej.

A jednak...

Jednak zdjęcia, które miał przed oczami, stanowiły dowód, że cała ta historia jest prawdziwa. Naukowy, niezbity dowód, pomyślał, patrząc na identyczne odciski palców dwóch osobników.

W zamyśleniu machinalnie potarł kamień zapalniczki marki Zippo zwróconej przez Maldena, czym wywołał snop iskier. Następnie zamknął wieczko i gwałtownie wstał z krzesła. Nie mógł usiedzieć na miejscu! W ciągu ostatnich paru godzin wypił chyba tuzin filiżanek kawy. Strach, jaki poczuł w nocy, bynajmniej nie minął, a teraz doszło do niego podniecenie wynikające z poczucia, że przeżywa coś, czego nie może ogarnąć. Był zwyczajnym człowiekiem,

któremu przydarzyła się nadzwyczajna historia. Dokąd go to wszystko zaprowadzi? Nie miał najmniejszego pojęcia. Począwszy od tej chwili, wkraczał w nieznaną, nie mając pewności, że potrafi stanąć twarzą w twarz z tym, co go czeka.

Nalał sobie kolejną filiżankę kawy i otworzył okno wychodzące na ulicę. Był w pokoju sam, więc nerwowo zapalił papierosa i wydmuchiwał niewielkie obłoczki, w obawie, że włączy się urządzenie wykrywające dym. Od paru minut nie opuszczała go pewna myśl. Czy może skontaktować się ze swoim „drugim ja” żyjącym gdzieś w przyszłości? Dlaczego nie? Tylko jak tego dokonać i jaką przesłać mu wiadomość?

Zastanawiał się na tym przez kilka chwil, ale nie widział rozwiązania. Pewien bezsensowny pomysł przyszedł mu do głowy, lecz natychmiast go odrzucił. Nie, nie należy robić byle czego. Musi się uspokoić, przestać o tym myśleć i zająć się pracą.

Z tym postanowieniem usiadł przy stole przed stertą dokumentacji z zabiegów chirurgicznych, z których trzeba było sporządzić raporty. Mimo to, po paru zaledwie minutach zrezygnował z udawania. Jak się skupić po tym wszystkim, co przeżył! Spojrzał na zegarek: kolejną operację miał przeprowadzić dopiero za dwie godziny, a przy odrobinie szczęścia znajdzie kogoś, kto zastąpi go podczas dyżuru. Zdjął fartuch, włożył marynarkę i opuścił pomieszczenie.

Pięć minut później wyszedł ze szpitala.

Wyjeżdżając z parkingu, minał jedną z charakterystycznych ciężarówek Federal-Express. Pochłonięty tym, co mu się przydarzyło, wzruszył ramionami i zrobił wyzywającą minę.

Niech FedEx i UPS się wypchają.

On, Elliott Cooper, zamierzał wysłać wiadomość trzydzieści lat w przyszłość...

Rok 2006

Elliott ma 60 lat

– Mam już wyniki analizy – oznajmił Bellow.

– I co wykazała?

– No więc, jest to coś raczej egzotycznego: jakaś mieszanina na bazie ziół, przede wszystkim liści morwy i niesplika.

Elliott nie wierzył własnym uszom.

– I nic poza tym?

– Nic. Jeśli chcesz znać moje zdanie, ten lek nie pomoże na żadną chorobę, to zwyczajne placebo.

Oślupiały Elliott odłożył słuchawkę. A zatem w pigułkach nie było żadnego magicznego składnika. Więc stary Khmer, jego prośba, żeby Elliott wyraził jakieś życzenie, nadzieja na powtórne spotkanie z Ileną... Wszystko to było bujda. Widocznie miał już przerzuty do mózgu. Spotkanie z drugim ja sprzed trzydziestu lat z pewnością miało miejsce wyłącznie w jego wyobraźni: zwyczajne złudzenie człowieka, który dotarł do kresu życia i obawia się śmierci.

Oto cała tajemnica! Po co szukać naukowego wyjaśnienia? Należy raczej spróbować psychoanalizy. Marzenia sensne są tylko projekcją ukrytych pragnień, czymś w rodzaju zaworu bezpieczeństwa, który daje ujście podświadomości, nie narażając na szwank równowagi psychicznej. Elliott zapukał do drzwi Einsteina, a otworzył mu Zygmunt Freud!

Stało się, zwykły telefon sprowadził go na ziemię. Magia znikła, a w ostrym porannym świetle to, co w nocy wydawało się rzeczywistością, okazało się ułudą. A tak chciał w to wierzyć, ale nie... Ta piękna przygoda, krótka wycieczka w czasie jest jedynie wytworem jego umysłu. Choroba i nieuchronna śmierć popchnęły go

do fantazjowania na temat możliwości powrotu do dawno minionego okresu życia.

Prawda była taka, że umierał ze strachu. Nie mógł pogodzić się z myślą, że koniec jest bliski. Wszystko minęło tak szybko: dzieciństwo, okres dorastania, młodość, wiek dojrzały... Ledwo zdążył kilkakrotnie mrugnąć powieką, a już trzeba odejść? W wieku sześćdziesięciu lat? Kurwa, chyba trochę za wcześnie! Nie czuł się staro. Przed wykryciem raka tryskał zdrowiem. Podczas misji humanitarnych przedzierał się przez góry, często zostawiając za sobą trzydziesto- i czterdziestolatków. A Sharika, jego indiańska stażystka piękna jak jutrzienka, właśnie z nim chciała pójść na kolację, a nie z jednym z tych młodzików, którzy dopiero zaczęli staż!

Wszystko się skończyło, minęło. Teraz mógł tylko czekać na śmierć i strach.

Strach, że będzie tracił siły.

Strach przed cierpieniem i utratą samodzielności.

Strach, że wreszcie zdechnie w jakiejś białej szpitalnej sali.

Strach, że będzie musiał opuścić córkę i zostawić ją samą na tym niepewnym świecie.

Strach, że całe jego życie nie miało sensu.

I jeszcze strach przed tym, co będzie czekać go potem. Kiedy już wyzionie ducha i przejdzie na tamtą stronę.

Do jasnej cholery...

Wściekły otarł łzę płynącą po policzku.

Okropny ból skręcał mu teraz wnętrzności. Poszedł do łazienki, przeszukał zawartość apteczki, żeby zażyć jakieś lekarstwo przeciwbólowe i obmyć twarz. W lustrze zobaczył twarz mężczyzny, który spoglądał na niego błyszczącymi, nabiegłymi krwią oczami.

Ile mu jeszcze zostało czasu? Kilka dni? Parę tygodni? Jak nigdy dotąd pragnął żyć, biegać, oddychać, spotykać się z ludźmi, kochać...

Nie można powiedzieć, że zmarnował życie: miał przecież córkę, którą uwielbiał, był potrzebny, podróżował, doznał wielu satysfakcji i spędził miłe chwile w towarzystwie Matta.

Jednak zawsze czegoś mu brakowało.

Ileny...

Od kiedy umarła trzydzieści lat temu, żył trochę na niby, bardziej jako widz niż aktor kreujący swoją rolę. A w ostatnich dniach z upodobaniem uczepił się myśli o podróży w czasie.

W nadziei, że przed śmiercią zobaczy Ilenę.

Teraz jednak iluzja prysła, a on cierpiał, bo dał się nabrać. „Przestaniesz cierpieć, kiedy stracisz nadzieję” – głosiła ludowa mądrość.

A Elliott nie chciał już więcej cierpieć.

Żeby zgasić ostatnią iskierkę nadziei, jaka jeszcze tliła się w jego sercu, chwycił szklany flakonik i wrzucił go do miski klozetowej.

Zawahał się przez moment...

...potem spuścił wodę.

*

Rok 1976

Elliott ma 30 lat

Elliott zaparkował garbusa w Mission District, przy Valencia Street. O tej porze dnia ta latynoska dzielnica San Francisco już tętniła życiem. Ze swoimi tanimi sklepikami, *taquerias* i kramami z owocami, Mission było jednym z najbardziej malowniczych miejsc w

mieście. Elliott ruszył pod górę aleją, torując sobie drogę w hałaśliwym, kolorowym tłumie. Fasady domów ozdobione były malowidłami w jaskrawych kolorach. Lekarz zatrzymał się na chwilę przed tymi fascynującymi freskami, w których wyczuwało się wpływ stylu Diego Rivery*. Skoro jednak nie przybył tu w charakterze turysty, po chwili poszedł dalej, przyspieszając kroku. To bezpretensjonalne miejsce, emanujące pierwotną energią, sprzyjało tym, którzy pragnęli otrzeć się o zupełnie innych ludzi, ale miało również swoje złe strony – gangi chicanos ordynarnie zaczepiające przechodniów psuły sympatyczną atmosferę dzielnicy.

Po przejściu przez skrzyżowanie z Dolores Street, obok długiego rzędu klubów salsy i sklepików z dewocjonaliami, Elliott znalazł wreszcie szyld, którego wypatrywał.

BLUE MOON: BIŻUTERIA I TATUAŻE

Pchnął drzwi sklepiku i zaraz za progiem natknął się na nieco obleśny plakat przedstawiający Freddiego Mercury'ego w damskim przebraniu. Lider zespołu Queen w przesadny sposób symulował na nim stosunek płciowy. Z gramofonu stojącego przy kasie rozbrzmiewało na cały regulator reggae w wykonaniu Boba Marleya, który zaczynał zdobywać popularność, od kiedy rok wcześniej Eric Clapton nagrał ponownie jego piosenkę: *I Shot the Sheriff*.

Elliott westchnął. Niezbyt dobrze czuł się w tym otoczeniu, ale nie zamierzał się wycofać.

– Kristina? – zawołał w stronę zaplecza sklepiku.

– Doktor Cooper! A to dopiero niespodzianka!

* Malarz meksykański, towarzysz życia Fridy Kahlo, autor kompozycji ściennych o tematyce społecznej.

Stała przed nim wysoka blondynka o niesamowitym wyglądzie: w długich butach motocyklisty, skórzanych miniszortach, z erotycznym tatuażem u dołu pleców.

Elliott poznał ją w szpitalu, kiedy operował jej synka chorego na nerki. Od tej pory regularnie widywał malca, małego Chińczyka, którego Kristina wychowywała wspólnie ze swoją przyjaciółką Leilą, pielęgniarką pracującą na jego oddziale. Już przy pierwszym spotkaniu Elliotta zaintrygował swobodny styl bycia dziewczyny, absolwentki Berkeley, specjalistki w dziedzinie cywilizacji azjatyckiej, oraz fakt, że woląca otworzyć sklepik oferujący tatuaże, niż wykładać na uniwersytecie. Kristina żyła, jak chciała, i otwarcie przyznawała się, że jest lesbijką. W San Francisco nie stanowiło to problemu: od kilku lat geje zastępowali hippisów i przejmowali palmę pierwszeństwa w mieście. Dziesiątki tysięcy homoseksualistów napłynęły tu zachęcane panującą tolerancją i zamieszkały w dzielnicach Castro i Noe Valley.

– Tylko dwie minutki i będę do pana dyspozycji – oznajmiła Kristina, zapraszając na fotel.

Lekarz usiadł obok południowoamerykańskiego transwestyty, któremu przekłuwano uszy. Nieco zakłopotany spytał, czy może skorzystać z telefonu, i zadzwonił do Matta, żeby przekazać mu ostatnie nowiny. Kiedy poinformował go o wyniku analizy odcisków palców, przyjaciel nie był specjalnie zaskoczony.

– Nikt poza tobą nie widział tego faceta. Chcesz wiedzieć, co o tym myślę? Ta historia jest wytworem twojego umysłu.

– Jak to?! Mojego umysłu? – oburzył się Elliott. – A zapalniczka z napisem *Millenium Edition*, z moimi odciskami palców, ona też jest wytworem mojego umysłu?

– Posłuchaj, stary, pewnie kupiłeś ją któregoś dnia, a potem o niej zapomniałeś, to wszystko.

Elliotta zatkało:

– A zatem nie wierzysz mi?

– Nie – przyznał Matt. – Poza tym mam nadzieję, że gdybym ja sam opowiedział ci podobną historię, ty także byś mi nie uwierzył i próbował sprowadzić mnie na drogę rozsądku.

– Dzięki za wsparcie! – warknął Elliott i rozłączył się bardzo niezadowolony.

– To co panu robimy, doktorze? – spytała Kristina. – Może tatuaż Hell's Angels albo jakiegoś wielkiego smoka na plecach?

– Ani jedno, ani drugie – odparł, podwijając rękaw koszuli. – Chciałbym jedynie pewien niewielki napis na ramieniu.

– Nie chce pan czegoś ładniejszego? – zapytała, przygotowując igłę. – Proszę spojrzeć na to.

Kristina odchyliła lekko nogę, odsłaniając rysunek przedstawiający coś w rodzaju japońskiego diabła uwięzionego w siatce jej pończochy, wspinającego się po udzie i znikającego gdzieś blisko intymnej partii ciała.

– To prawdziwe dzieło sztuki – przyznał z podziwem Elliott. – Ale niezupełnie w moim stylu.

– Szkoda, bo całkiem przystojny z pana facet, a nie ma nic bardziej seksownego od tatuażu na ciele kochanka.

– Nie sądzę, by moja partnerka była tego samego zdania.

– Czasami kobiety nas zaskakują.

– Jeśli o to chodzi, nie mam najmniejszych wątpliwości.

Wyjął pióro z wewnętrznej kieszeni marynarki i nagryzmolił kilka słów na okładce ilustrowanego pisma.

– Oto, co chciałbym mieć – rzekł, podając magazyn Kristinie.

Młoda kobieta zmarszczyła brwi:

– To wygląda mi na jakiś kod!

– Powiedzmy, że to osobiste przesłanie przeznaczone dla starego przyjaciela.

Kobieta sprawdziła igłę demografii.

– Z początku będzie trochę bolało, ale wkrótce przestanie. No jak? Nie żałuje pan swojej decyzji?

Elliott przymknął na moment oczy. Czy naprawdę można funkcjonować między teraźniejszością i przyszłością? Jakkolwiek wydawało się to absurdalne, postanowił spróbować. Aby nabrać odwagi, wyobraził sobie minę, jaką zrobi jego alter ego, kiedy po trzydziestu latach otrzyma to przesłanie.

– Nie żałuję – uciał krótko.

Podczas gdy przeraźliwy pisk aparatury wypełnił pomieszczenie, Kristina wygłosiła coś w rodzaju credo:

– Ciało jest jednym z ostatnich obszarów naszej wolności.

*

Rok 2006

Elliott ma 60 lat

Po wrzuceniu flakonika do muszli i spuszczeniu wody, Elliott wyciągnął się na kanapie stojącej w narożniku salonu. W południe miał spotkać się z Angie i nie chciał pokazać jej twarzy umarlaka. Leżąc z zamkniętymi oczami, wsłuchiwał się w swój oddech. Wolałby, żeby był czysty i regularny, ale był urywany i chrapliwy. Miał wrażenie, że się dusi, i nie mógł zaczerpnąć powietrza. Choroba pustosząca jego organizm mocno kontrastowała z łagodnym światłem przesączającym się przez zasłony. Przez okno dochodził szum morza i świergot ptaków. Na zewnątrz życie toczyło się nadal, ale Elliott nie był już jego częścią. Pomimo słonecznej pogody miał dreszcze, które z pewnością oznaczały podwyższoną temperaturę.

Jednocześnie poczuł, że wysoko na ramieniu coś mu przeszkadza. Nie był to ból, ale raczej uczucie ściągania. Potarł dłonią zdętwiały mięsień. Nic to nie dało. Wstał więc, zdjął sweter i podwinął rękaw podkoszulka.

Z początku niczego nie zauważył, poza małą ciemnozieloną plamą rozlaną na skórze. Zaintrygowany poszedł do łazienki i stanął przed lustrem. Zobaczył rząd literek biegnących jedna za drugą!

Przez chwilę zastanawiał się zdumiony, co takiego mogło się stać. Wkrótce zrozumiał...

– Ach, ty cholerny gówniarzu! – wykrztusił.

Zmęczone serce waliło jak młot, ale ulżyło mu. Nie, wcale nie oszalał. To wszystko nie zdarzyło się tylko w jego głowie. Ten smarkacz próbował przesłać mu wiadomość, każąc sobie wytatuować coś na ramieniu.

W sumie niegłupi chłopak... pomyślał, podchodząc bliżej do lustra.

Patrząc na swoje odbicie, zauważył, że błyszczą mu oczy. Może to było niemądre, ale rozplakał się z radości. Z całą pewnością niedługo umrze, ale póki co, jeszcze nie jest zgrzybiałym starcem.

Na ramieniu widniały spore litery składające się na zdanie:

**WAITING FOR
YOUR NEXT VISIT***

Oczywiście, że planował kolejne odwiedziny, chyba że... nie dojdą do skutku, skoro w przyływie głupoty wrzucił pigułki do klozetu.

* Czekam na ponowne odwiedziny.

Ogarnięty paniką klęknął i najgłębiej jak mógł, zanurzył dłoń w muszli, mając nadzieję, wprawdzie słabą, że flakonik jeszcze nie spłynął.

Nie, ta nadzieja nie miała sensu.

Wstał i spróbował spokojnie się zastanowić. Które dy spływały ścieki? Nie miał pojęcia, majsterkowanie nigdy nie było jego mocną stroną. Popędził do garażu i spojrzawszy na sufit, odkrył na nim połączenie rur kanalizacyjnych. Przebiegł wzrokiem wzdłuż głównej rury i dojrzał metalową płytkę: kolektor. Przy odrobinie szczęścia flakonik mógł tam utknąć. Podważył płytkę i zanurzył dłoń w mazi, ale niczego nie znalazł.

Oznaczało to koniec poszukiwań. Flakonik z pewnością powędrował dalej, aż do oczyszczalni ścieków, i już nigdy go nie odzyska.

Kurwa mać! Wszystko zepsuł w jednym przyływie złego humoru! Co jeszcze mógł wymyślić? Nie widząc innego rozwiązania, wyszedł na zewnątrz i postanowił zadzwonić do drzwi najbliższych sąsiadów, pary starszków w typie DHEA – viagra, bynajmniej niepomarszczonych, ogarniętych obsesyjną dbałością o własne ciała i zdrowe odżywianie.

– Dzień dobry, Nino – pozdrowił od progu sąsiadkę.

– Witaj, Elliott, co pana do nas sprowadza? – spytała, lustrując go uważnie od stóp do głów, zaintrygowana widokiem jego rąk umazanych cuchnącą mazią.

Jakby nie dość było, że mnie nie lubi, pomyślał, mnie, kryminalisty, który pali, pije prawdziwą kawę i jada mięso nafaszerowane cholesterolem...

– Czy Paul mógłby pożyczyć mi jakieś narzędzia?

– Paul poszedł popływać, ale chodź ze mną do komórki i sam zobacz, co ci się przyda.

Elliott poszedł za nią do wspomnianej komórki, gdzie faktycznie znalazł to, co mogło go uszczęśliwić: toporek strażacki.

– Hm... Jest pan pewien, że wszystko jest w porządku, Elliott?
– spytała, widząc, jak chwyta za toporek.

– W jak najlepszym, Nino – zapewnił, posyłając jej uśmiech w stylu Jacka Nicholsona z filmu *Lśnienie*.

Wyszedł z komórki i wrócił do własnego garażu. Tam zaczął systematycznie demolować wszystko, co z bliska lub z daleka przypominało rury kanalizacyjne. Zajęło mu to około pół godziny i spowodowało niezłą powódź. Rozwalając kolejne rury, sprawdzał, czy flakonik nie ugrzązł w którymś z kolanek.

Nie zdawaj się na przypadek! Nie poddawaj się tak długo, jak długo istnieje najmniejsza choćby szansa.

Tak właśnie postępował w swojej wieloletniej pracy zawodowej, dzięki czemu w ciągu trzydziestu lat parokrotnie udało mu się uratować beznadziejne przypadki.

Może więc uda się także dzisiaj?

Stojąc z siekierą w ręce, po kolana w wodzie, Elliott mógłby bez trudu zostać uznany za szaleńca. Gdyby w tej chwili zjawiała się tu policja, nie wiem, w jaki sposób uniknąłbym aresztowania, rzekł sam do siebie, rozwalając kolejną rurę kanalizacyjną.

A zresztą, może naprawdę był szaleńcem. Tylko że *szalenciec uważa się za mędrca, a mędrzec sam przyznaje, że jest szaleńcem*. Kto to powiedział? Szekspir? Jezus? Budda? Ktokolwiek to był, miał cholerną rację.

A jeśli nawet Elliott oszalał, przynajmniej czuł się żywy.

Żywy.

ŻYWY!

Ostatni cios toporka dokończył dzieła zniszczenia.

Będąc u kresu sił, Elliott upadł na kolana w lodowatą wodę.

Przez dobrą chwilę się nie ruszał, wyczerpany i pokonany.

Potem, nagle...

Pokazał się! Mały szklany flakonik pływał spokojnie na powierzchni wody.

Elliott rzucił się na niego jak na świętego Graala. Drżąc na całym ciele, wytarł ręce w koszulę, po czym zaczął otwierać hermetycznie zamknięte naczynie. Na dnie leżało osiem nienaruszonych pigułek.

Z dzikim wzrokiem, umazany ściekami zacisnął palce na małej fiołce i odetchnął z ulgą.

Być może miał przed sobą zaledwie kilka tygodni życia, ale udało mu się odzyskać to, co uważał za najważniejsze.

Nadzieję.

8

*Możecie robić, co chcecie – myśleć lub wierzyć,
posiąść całą wiedzę tego świata – lecz jeśli nie
kochacie, jesteście niczym.*

Marcelle Sauvageot

Rok 2006

Elliott ma 60 lat

Elliott stał przy oknie i czekał na zamówioną taksówkę. Po tym jak w garażu utyłał się w gnijącej wodzie, miał wrażenie, że nigdy nie pozbędzie się smrodu, który przylgnął do skóry. Ale gorący prysznic i czyste ubranie przywróciły mu cywilizowany wygląd. Żeby uniknąć powodzi, musiał odłączyć dopływ wody i skorzystać z łazienki sąsiadów. Teraz należało wezwać hydraulika, ale to zdąży zrobić później. Sprawą zdecydowaną priorytetową było spotkanie z córką, z którą umówił się w mieście. Angie miała przyjechać prosto z lotniska.

Obejrzał się w lustrze. Wygląd zewnętrzny był niezły, za to „wewnątrz” wszystko zdawało się rozpadać: czuł ból w klatce piersiowej i w mięśniach, a także pieczenie w dole pleców... Rak postępował wolno, ale pewnie.

W poszukiwaniu czegoś pobudzającego zajrzał do szuflady szafki i wyjął z niej niedopalonego papierosa, w którym był nie tylko tytoń. Sięgnął do kieszeni, lecz nie znalazł tam zapalniczki Zippo, prezentu od córki z okazji nadejścia w nowego tysiąclecia. Wkurzony poszedł do kuchni i zapalił swojego jointa zapalką. Nie zaliczał się do

grona amatorów palenia trawki i nie walczył o uznanie leczniczych właściwości marihuany. Mimo to dzisiaj zamierzał zaaplikować sobie niewielką kurację. Tylko dwa, trzy sztachnięcia, po których poczuł się raźniej. Następnie zamknął oczy, żeby się odprężyć. Z zadumy wyrwał go dopiero dźwięk klaksonu taksówki.

*

Do restauracji Loris' Diner, gdzie się umówił z córką, dojechał kilka minut przed czasem. Wszedł na piętro i zajął miejsce przy stoliku wskazanym przez kelnerkę, przy oknie, za którym rozciągał się widok na Powell Street. Siedząc na wysokim stołku, Elliott obserwował taniec kucharzy, którzy piekli steki, rozbijali jajka i smażyli plastry bekonu na ogromnej płycie. W restauracji serwowano obfite porcje klasycznych dań amerykańskiej kuchni – tej sprzed kampanii antycholesterolowej. Kuchni, którą należało głośno potępiać, ale którą wszyscy w sekrecie lubili: hamurgery, domowe frytki, lody i shaki. Z grającej szafy stojącej pośrodku sali sączyły się przeboje Elvisa, a nieco głębiej, nad rzędem flipperów, wisiał autentyczny harley davidson przymocowany do sufitu grubymi linami.

Za każdym razem, kiedy tu bywał, Elliott odnosił wrażenie, że uczestniczy w filmie *Powrót do przyszłości*. Do tego stopnia, że kiedy drzwi się otwierały, spodziewał się zobaczyć Marty'ego McFlya w towarzystwie Doca Browna i jego wiernego Einsteina*. Wyobrażając sobie tę scenę, zobaczył nowego klienta wchodzącego do restauracji, ale nie był nim Marty...

Była to młoda kobieta o prostych blond włosach, która roztaczała wokół siebie promienny blask.

Młoda, dwudziestoletnia kobieta.

Właściwie dziewczyna.

* Nazwiska bohaterów wspomnianego filmu oraz imię psa.

Jego córka.

Angie.

Z daleka widział, jak nadchodzi, i przyglądał się jej przez chwilę, sam nie będąc przez nią widziany.

Nie ma co mówić, wyglądała pięknie w długim i obcisłym kaszmirowym sweterku, aksamitnej spódnicy – jego zdaniem zbyt krótkiej – czarnych błyszczących rajstopach i wysokich skórzanych botkach. Nie tylko on na nią patrzył, przy sąsiednim stoliku jakiś gówniarz siedzący w towarzystwie swoich kumpli na głos wychwalał „seksbombę” idącą w ich stronę. Elliott zgromił go wzrokiem. Jako ojciec, przeklinał wszystkich bez wyjątku nosicieli testosteronu traktujących jego córkę jak obiekt seksualny.

Wreszcie Angie dostrzegła go i radośnie pomachała ręką.

Kiedy tak szła, promienna i lekka, uświadomił sobie w pełni, że córka jest bez żadnej wątpliwości tym, co najlepiej mu się w życiu udało. Rzecz jasna, pod tym względem nie różnił się od innych rodziców, ale jego duma nabierała innego wymiaru w chwili, gdy nękała go choroba, a śmierć toczyła z nim ostatnią walkę.

I pomyśleć, że przez długi czas nie chciał mieć dziecka!

Sam dorastał w rodzinie naznaczonej alkoholizmem ojca i chwiejną psychiką matki. Takie dzieciństwo nie zachęca bynajmniej do tego, żeby samemu zostać rodzicem. Do dzisiaj najboleśniej wspomnienia z tamtych czasów układały się w sceny przemocy i strachu. Wiedział, że to one na długo zablokowały w nim gotowość do ojcostwa. Niełatwo było sprecyzować przyczynę – zapewne obawiał się, że nie potrafi kochać i że on również mógłby przysporzyć komuś cierpień...

Jedno w tym wszystkim było pewne: myśl, że zostanie ojcem, przywracała wspomnienie tak wielu cierpień doznanych w

dzieciństwie, że odmówił jedynej kobiecie, którą kochał, a która chciała mieć z nim dziecko.

Kiedy teraz o tym myślał, serce mu pękało.

Potem Ilena umarła i przez dziesięć lat po jej śmierci trwał niekończący się koszmar. Elliott pograżył się w otchłani rozpacz, wpływając na powierzchnię tylko dzięki Mattowi oraz pracy, której uczeplił się kurczowo, jakby była jego kołem ratunkowym.

Oczywiście spotykał inne kobiety, ale przechodziły przez jego życie, nie zatrzymując się na dłużej, a on nie starał się zbudować nowego związku. Jednak pewnego dnia, podczas kongresu lekarzy we Włoszech, na jego drodze stanęła pewna kardiolożka z Werony. Przygoda trwała bardzo krótko, zaledwie przez jeden weekend, po którym kontakt się urwał. Tyle tylko, że po dziewięciu miesiącach przyszła na świat maleńka dziewczynka – jego córeczka. Tym razem stanął przed faktem dokonanym. Nie mógł się wymigać, zwłaszcza że matka nie miała instynktu macierzyńskiego i nie zamierzała samotnie wychowywać dziecka. Trzy miesiące po narodzinach Angie Elliott pojechał po nią do Włoch. Tam „zgodnie ustalili”, że mała będzie widywać matkę tylko podczas wakacji.

W ten sposób, nie będąc na to przygotowany, został ojcem i jego życie całkowicie się zmieniło. Po ciężkich latach nabrało wreszcie sensu. Odtąd każdego wieczoru przed pójściem spać upewniał się, że nic nie zakłóci snu dziecka. Od tej pory słowo „przyszłość” weszło ponownie do jego słownika, zajmując w nim miejsce w sąsiedztwie „butelki ze smoczkiem”, „paczki pieluszek” i „pudełek humanizowanego mleka”.

Wszystko to odbywało się w coraz bardziej skażonym środowisku, przy zmniejszającej się warstwie ozonowej, w świecie zmierzającym wolno ku zagładzie, w społeczeństwie nastawionym wyłącznie na konsumpcję, z czym Elliott nie mógł się pogodzić. Należy wspomnieć też o pracy, która nie pozostawiała mu dużo wolnego czasu. Jednak wszystkie te argumenty okazały się nieważne

w zestawieniu z parokilogramowym niemowlęciem, jego błyszczącymi oczkami i niewinnym uśmiechem.

Kiedy dzisiaj patrzył, jak Angie zbliża się do niego, przypominał sobie pierwsze lata, podczas których wychowywał ją sam, nie mając do pomocy żadnej kobiety. Z początku wydawało mu się, że sobie nie poradzi, i zdarzało się, że wpadał w panikę. Co się robi, żeby być ojcem? Nie miał najmniejszego pojęcia, a nigdzie tego nie uczono. Fakt, że był pediatrą, nie okazał się wcale pomocny w codziennej rzeczywistości. Gdyby chociaż zachodziła konieczność załatwienia jakiejś małej ranki albo wszycia poczwórnych bajpasów, wtedy jego umiejętności przydałyby się, ale takiej potrzeby nie było.

Wkrótce potem zrozumiał, na czym polega tajemnica: mężczyzna nie rodzi się ojcem, tylko się nim staje, kiedy musi podejmować kolejne decyzje, kierując się dobrem dziecka.

Dopiero w wieku czterdziestu lat zrozumiał, że nie ma innej odpowiedzi, lepszego rozwiązania niż miłość.

Dokładnie to samo powtarzała kiedyś Ilena, tylko że on miał zwyczaj odpowiadać: „Ba, gdyby to było takie łatwe...”.

Okazało się, że było.

*

– Cześć, tatuśku – krzyknęła Angie, pochylając się nad nim i całując go w policzek.

– Witam *wonder woman*! – odpowiedział, robiąc aluzję do krótkiej spódniczki i wysokich botków. – Jak minął lot?

– Bardzo szybko. Przez całą drogę spałam!

Angie usiadła naprzeciw niego i położyła na stoliku wielki pęk kluczy oraz miniaturowy niklowany telefon komórkowy.

– Jestem głodna jak wilk! – oznajmiła, zaglądając w kartę, żeby sprawdzić, czy nadal figuruje w niej jej ulubiony hamburger.

Upewniwszy się, że może go zamówić, zaczęła z entuzjazmem opowiadać historyjki o swoich studiach medycznych i życiu w Nowym Jorku. Była inteligentną dziewczyną, uczciwą i bezinteresowną idealistką wykonującą starannie wszystko, czego się podejmowała. Elliott nie namawiał jej specjalnie do wyboru zawodu lekarza, ale ona chciała być pożyteczna i twierdziła, że bardzo jej na tym zależy.

Teraz widział ją odprężoną, promienną, wspaniałą.

Zauroczony kaskadami jej śmiechu zastanawiał się, czy jest w stanie powiedzieć o swojej chorobie. Dziewczynie nie będzie łatwo, gdy nagle się dowie, że jej ojciec ma raka w końcowym stadium i być może dwa, trzy miesiące życia przed sobą...

Elliott znał dobrze swoją córkę. Odległość między San Francisco i Nowym Jorkiem ich nie rozdzieliła. Choć Angie wyglądała jak kobieta, była nadal wrażliwym dzieckiem. Spodziewał się, że nie zareaguje spokojnie na to, co zamierzał jej powiedzieć.

Jako lekarz kilkakrotnie w ciągu tygodnia musiał oznajmiać zapłakanym ludziom, że bliska im osoba – dziecko, współmałżonek lub krewny – nie przeżyła operacji. Za każdym razem były to trudne chwile, jednak z upływem czasu nauczył się godzić z takim wymiarem życia zawodowego.

Tak, jako lekarz codziennie obcował ze śmiercią, tyle tylko, że była to śmierć czyjaś, a nie jego własna...

Oczywiście, że trochę obawiał się tego, co miało nadejść. Właściwie nie wierzył w życie wieczne ani w reinkarnację. Wiedział, że czeka go nie tylko koniec życia na ziemi, ale po prostu koniec życia. Jego ciało zostanie skremowane, Matt rozsypie prochy w jakimś sympatycznym miejscu, i basta! Koniec partyjki!

Właśnie to pragnąłby spokojnie powiedzieć córce: żeby się nie martwiła, bo on wszystko dzielnie zniesie. Zresztą, patrząc obiektywnie, jego śmierć nie będzie niczym wyjątkowym. Wprawdzie

nie przeżyje paru dodatkowych dziesiątków lat, ale przecież zakosztował przyjemności życia, przeżywał radości, smutki oraz niespodzianki...

– A jak ty się czujesz? – spytała niespodziewanie Angie, wyrrywając go z zadumy.

Patrzył z czułością, jak odgarnia niesforną grzywkę opadającą na oczy, tak niebieskie, jak u psów rasy husky.

Poczuł ucisk w gardle i ogarnęło go wzruszenie.

Do jasnej cholery! Nie pora się rozklejać!

– Muszę ci coś powiedzieć, kochanie...

Uśmiech przygasł na twarzy Angie, jakby przeczuwała złą nowinę.

– Co się dzieje?

– Mam raka płuc.

– Co takiego? – spytała z niedowierzaniem.

– Mam raka, Angie.

Poruszona, odczekała parę sekund, i spytała zduszonym głosem:

– Ale ty... wyjdiesz z tego, prawda?

– Nie, moja kochana. Mam już przerzuty.

– O, kurwa...

Ogłuszona tą nowiną, objęła głowę rękami, po czym wstała. Łzy płynęły jej po policzkach, ale jeszcze się nie poddawała.

– Powiedz mi... czy zasięgnąłeś porady specjalistów? W dzisiejszych czasach są nowe metody leczenia rozsianych postaci raka. Może...

– Na to jest już za późno... – przerwał tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Otarła oczy rękawem swetra, ale to niewiele dało: łzy płynęły nadal, a ona nie mogła ich powstrzymać.

– A od kiedy o tym wiesz?

– Od dwóch miesięcy.

– W takim razie... dlaczego nic nie mówiłeś?

– Żeby cię chronić, żeby oszczędzić ci zmartwień...

Zdenerwowała się.

– Tak więc za każdym razem, kiedy w ciągu tych dwóch miesięcy rozmawialiśmy przez telefon, pozwalałeś mi paplać o moich problemach i nie uznałeś za stosowne powiedzieć, że masz raka?!

– Zaczynałaś pierwszy rok studiów, Angie, i miałaś z tego powodu wystarczająco dużo stresu i...

– Nienawidzę cię! – krzyknęła, wstając od stołu.

Próbował ją zatrzymać, lecz odepchnęła go i wybiegła z restauracji.

*

Kiedy Elliott opuścił lokal, deszcz lał jak z cebra. Czarne chmury wędrowały po niebie i słychać było grzmoty. Pożałował, że nie ma ani parasola, ani prochowca, bo lniana marynarka wkrótce przemokła. Zrozumiał, że trudno będzie odszukać Angie. Autobusy i taksówki utknęły na zakorkowanych ulicach.

W pierwszej chwili postanowił dojść do końcowego przystanku tramwaju linowego, na skrzyżowaniu Powell Street i Market, ale szybko z tego zrezygnował. Okazało się, że deszcz nie wystraszył turystów zgromadzonych tłumnie w tym miejscu i przyglądających się, jak operatorzy ręcznie obracają platformę z wagonami. Widząc

to, uznał, że nie ma sensu czekać bez końca, i ruszył w stronę Union Square w nadziei, że „w biegu” wsiądzie do któregoś tramwaju. Dwa pierwsze były tak zatłoczone, że nawet nie próbował się do nich dostać. Udało się mu wsiąść dopiero do trzeciego, który wjeżdżał właśnie na najwyższej położony odcinek trasy.

Tak dojechał do ostatniego przystanku, Fisherman's Wharf, dawnego portu rybackiego San Francisco, okupowanego obecnie przez restauracje dla turystów i sklepiki z pamiątkami. Drżąc z zimna, minał stragany z owocami morza, przy których pyskaci sprzedawcy oprawiali żywe jeszcze kraby, aby wrzucić je do wielkich kotłów stojących wzdłuż chodnika. Kiedy Elliott dotarł na Ghirardeli Square, deszcz przybrał na sile. Żeby dostać się do Fort Mason musiał przejść obok dawnej fabryki czekolady.

Przemoknięty do suchej nitki szedł dalej szybkim krokiem, szcękając z zimna zębami. Wiatr z ogłuszającym wyciem dołączył do deszczu i smagał go po twarzy. Wysilek fizyczny spowodował, że piekący ból w płucach i w dole pleców nasilił się, ale i tak nie mógł przeszkodzić mu w odnalezieniu córki. Wiedział, dokąd chodziła, kiedy była z jakiegoś powodu smutna.

W końcu dotarł do piaszczystej plaży między Marina Green i dawnym terenem wojskowym Crissy Field. Morze było wzburzone, olbrzymie języki fal sięgały kilkudziesięciu metrów w głąb lądu. Elliott zmrużył oczy: Golden Gate prawie zniknął we mgle i wiszących nisko chmurach. Zalana strugami deszczu plaża była opustoszała. Podszedł bliżej, krzycząc na całe gardło:

– Angie! Angie!

Z początku odpowiadał mu tylko wiatr. Łzy napłynęły Elliottowi do oczu, poczuł się słaby i bezbronny, prawie u kresu sił.

Potem raczej wyczuł jej obecność, niż wiedział, gdzie dokładnie jest, aż w końcu ją usłyszał:

– Tato!

Angie biegła w jego kierunku, przedzierając się przez grube kotary deszczu.

– Nie umieraj! – błagała. – Nie umieraj!

Przytulił ją mocno do siebie i długo tak stali, przemoczeni, wzruszeni i zdruzgotani smutkiem.

Pocieszając córkę, Elliott przysiągł sobie, że zbierze wszystkie siły do walki z chorobą i postara się odsunąć śmierć najdalej, jak to będzie możliwe.

Potem, kiedy ta nieunikniona chwila nastąpi, odejdzie w spokoju, wiedząc, że coś, jakaś jego część, będzie trwać nadal poza nicością.

Pomyślał, że może właśnie dlatego ludzie decydują się na dzieci.

9

Mieście paru przyjaciół i kilka książek, byle dobrych.

Mądrość ludowa

Rok 1976

Elliott ma 30 lat

Elliott skończył właśnie nocny dyżur i wyszedł ze szpitala. Ranek był chłodny. Zamyślony i przygnębiony zmartwieniami nie od razu zauważył tłum zgromadzony na parkingu. Między karetkami a wozem strażackim Matt wyglądał się przed grupką pielęgniarek. Elliott patrzył na niego ni to rozbawiony, ni rozdrażniony: w kremowym aksamitnym garniturze i koszuli rozchełstanej na piersiach Matt wyglądał pociesznie. Podrygiwał jak młody Travolta w rytm melodii disco płynącej z radia w jego samochodzie. Było jeszcze ciemno, ale reflektory corvetty wystarczająco oświetlały zaimprovizowane przedstawienie.

– *You Should Be Dancing!* – piszczał głosem podobnym do dyszkantu solisty grupy BeeGees.

Szeroki uśmiech odsłaniający przednie zęby przedzielone szparą – zęby szczęściarza – nadawał mu dziecięcy wygląd. Elliott nie mógł ukryć podziwu dla jego przebojowości i braku kompleksów.

– Co ty wyprawiasz? – spytał, podchodząc do samochodu.

– *You Should Be Danciiiiiiiiing!* – wrzeszczał dalej Francuz, chwytając przyjaciela za ramię.

Próbował nakłonić go do wspólnego podrygiwania, ale lekarz odmówił udziału w tej zabawie:

– Piłeś coś, czy jak? – zaniepokoił się, czując jego oddech przesycony alkoholem.

– Pozwól mi tylko złożyć pożegnalny ukłon mojej publiczności, a wszystko ci wyjaśnię.

Elliott zmarszczył brwi i wsiadł do corvetty, gdy Matt wykonywał ostatnie taneczne pas.

– Moje panie, byłem zaszczycony! – zapewniał swą widownię, kłaniając się nisko.

Pielęgniarki zauroczone sympatycznym facetem nagrodziły jego wyczyny rzęsiстыми oklaskami i oddaliły się, żeby powrócić do swoich obowiązków.

Francuz oszołomiony sukcesem przeskoczył przez zamknięte drzwi samochodu i szczęśliwie wylądował na siedzeniu.

– A teraz zapnij pas! – rozkazał przyjacielowi.

– W co ty się bawisz? – irytował się Elliott.

Nie odpowiadając na pytanie, Matt włączył wsteczny bieg i zawrócił.

– Wpadłem do ciebie i spakowałem twój bagaż – wyjaśnił, pokazując walizkę wepchniętą za przednie siedzenia. – Byłbym zapomniał, twoja butelka whisky została opróżniona...

– Co to znaczy, że spakowałeś mój bagaż?

– Dokładnie to, co mówię. Twój samolot startuje o dziewiątej.

– Jaki samolot?

Matt skręcił z piskiem opon i wyjechał z parkingu jak trąba powietrzna. Po kilku obrotach kierownicą był już na Van Ness, gdzie ponowne przyciśnięcie pedału gazu uwolniło trzysta koni

mechanicznych V8, co pozwoliło maszynie osiągnąć prędkość stu kilometrów na godzinę.

– No, no... Może słyszałeś kiedyś o ograniczeniu prędkości? – zaniepokoił się Elliott, trzymając się kurczowo siedzenia.

– Bardzo mi przykro, ale nie mamy zbyt wiele czasu...

– Mógłbym chociaż wiedzieć, dokąd jedziemy?

– Ja nigdzie nie jadę – odparł spokojnie Matt. – Za to ty jedziesz do Ileny, na Florydę.

– Co takiego?

– Masz się z nią pogodzić, poprosić, żeby za ciebie wyszła, a potem zafundować sobie dwoje albo troje dzieci...

– Ty chyba oszalałeś!

– Jak na razie sędzę, że to tobie brakuje którejś klepki, Elliott. Przyznaj, że ta historia z facetem „podróżującym w czasie” porządnie tobą wstrząsnęła.

– To dlatego, że zdarzyła się naprawdę!

Matt, który nie zamierzał kontynuować tej dyskusji, próbował działać perswazją:

– Porozmawiaj z Ileną, zrób porządek w waszym stadle, a zobaczysz, że w końcu wszystko się ułoży.

– A co z pracą? W tym tygodniu mam zaplanowanych kilka operacji i...

Matt przerwał mu natychmiast:

– Jesteś tylko chirurgiem, a nie Panem Bogiem! Szpital znajdzie kogoś na zastępstwo.

Elliottowi nagle spodobała się perspektywa spotkania z ukochaną kobietą. Czuł, że go potrzebuje i że jest konieczne, chociaż

nie był jeszcze gotów na to, żeby porywy serca przedkładać nad obowiązki zawodowe. Zwłaszcza że przeżywał teraz trudny okres – ordynator, straszliwy doktor Amendoza, surowo oceniał jego pracę i nieustannie go poniżał.

– Posłuchaj, Matt, dziękuję ci za pomoc, ale to chyba nie jest dobry pomysł. Pracuję w tym szpitalu dopiero od paru miesięcy i muszę się wykazać. Mam szefa, który traktuje mnie jak noszowego, więc jeśli opuszczę kilka dni, każe mi za to drogo zapłacić i nigdy nie otrzymam mianowania.

Matt wzruszył ramionami.

– Rozmawiałem z tym twoim Amendoza. Zgodził się dać ci wolne do przyszłego poniedziałku.

– Kpisz sobie ze mnie? Rozmawiałeś z Amendoza?

– Oczywiście.

– Co, oczywiście? To, że ze mnie kpisz, czy to, że rozmawiałeś z Amendoza?

Matt pokiwał głową.

– Ten twój sławny doktor zauważył, że ostatnio nie jesteś w sosie. Na dodatek bardzo cię ceni.

– Żartujesz chyba...

– Dowiedziałem się od pielęgniarek. W szpitalu Amendoza rozpowiada wszystkim, że jesteś doskonałym chirurgiem.

– Wszystkim oprócz mnie... – stwierdził Elliott.

– I właśnie po to tu jestem: żeby pomóc ci zrobić porządek w głowie, kiedy tego potrzebujesz.

Chmury na horyzoncie rozpraszały się powoli, przepuszczając różowe światło – zapowiedź pięknego dnia. Matt zanurzył dłoń w wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął bilet lotniczy.

– Zaufaj mi, ja wiem, co jest dla ciebie najlepsze.

Elliott poczuł, jak jego opór słabnie, ale jeszcze próbował:

– A co będzie ze Znajdkiem?

– Nie martw się o swojego kundla. Będę go karmił dwa razy dziennie.

Po wyczerpaniu wszystkich argumentów Elliott z wdzięcznością wziął wreszcie bilet, zdając sobie w pełni sprawę ze szczęścia, jakim było posiadanie takiego przyjaciela. Przez moment pomyślał o dziwnych okolicznościach ich spotkania przed dziesięcioma laty, podczas pewnego tragicznego zdarzenia, o którym nigdy potem nie wspominali. Dziś chciałby coś Mattowi powiedzieć, żeby okazać mu wdzięczność, ale jak zwykle nie znalazł odpowiednich słów. Milczenie przerwał Matt:

– Gdybym ciebie nie spotkał, wiesz gdzie byłbym teraz?

Ponieważ Elliott wzruszył ramionami i nie odpowiadał, Matt oznajmił:

– Nie żyłbym.

– Przestań gadać głupstwa, dobra?

– Przecież dobrze wiesz, że to prawda.

Elliott spojrział ukradkiem na swojego towarzysza. Pomięty garnitur i zaczerwienione oczy świadczyły o nieprzespanej nocy. Poza tym były też inne rzeczy, które niepokoiły lekarza – nadmiernie szybka i niebezpieczna jazda, pociąg do alkoholu, częste aluzje do śmierci i spraw z przeszłości...

Teraz widział to wyraźnie: Matt był w stanie depresji! Maskował cierpienie humorem, ale naturalna wesołość coraz częściej ustępowała miejsca czarnym myślom.

– Jeśli chcesz wiedzieć – zwierzał się Francuz – każdego ranka, budząc się, patrzę na niebo, na ocean, i mówię sobie, że skoro nadal żyję i mogę je podziwiać, to wszystko zawdzięczam tobie.

– Jesteś pijany, Matt!

– Masz rację, jestem pijany – przyznał. – Ty ratujesz ludzi, a ja się upijam. To dlatego, że ja nie jestem stworzony do wielkich rzeczy. Potrafię tylko podrywać dziewczyny i robić z siebie pajaca...

Przez chwilę milczał, a potem dodał:

– Ale coś ci powiem. Może właśnie taką misję mam do spełnienia na tej ziemi: opiekować się tobą i pomagać ci, jak potrafię.

Ton jego głosu był poważny. Żeby ukryć wzruszenie i przerwać męczącą ciszę, Elliott sprowadził rozmowę na nieco lżejszy temat:

– Niezła maszyna! – zauważył, podziwiając najnowszy model radiomagnetofonu, zainstalowany od niedawna w samochodzie przyjaciela.

– Też tak myślę, głośniki mają moc po pięć watów każdy! – objaśniał z dumą Matt, równie zadowolony, że rozmowa zeszła na inne tory.

– Kupiłeś już ostatniego Boba Dylana?

Matt się roześmiał.

– Dylan jest skończony, stary! Oto przyszłość – oznajmił, wyciągając ze skrytki kasetę w eleganckim czarno-białym opakowaniu.

– Bruce Springsteen? – odczytał Elliott. – Nigdy o nim nie słyszałem.

Wobec tego Matt podzielił się wszystkim, co wiedział na temat tego nietypowego muzyka rockowego, który odnosił coraz większe sukcesy, śpiewając o życiu biedoty z New Jersey.

– Posłuchaj tego – zaproponował, wkładając kasetę do kieszeni magnetofonu – to prawdziwa bomba!

Przy pierwszych akordach *Bom to Run* wyrzało słońce, i do samego końca podróży dwaj przyjaciele wsłuchiwali się w melodię, każdy zatopiony we własnych myślach, nieobecni duchem, ale razem...

W końcu na horyzoncie ukazały się pierwsze zabudowania lotniska. Matt wjechał na pełnym gazie na pas prowadzący do terminali i jak przystało na właściciela sportowego samochodu, przed samym wejściem do hali odlotów wykonał pokazowy poślizg.

– Dalej, pospiesz się!

Elliott chwycił walizkę i popędził w stronę oszklonych drzwi. Gdy przebiegł dziesięć metrów, odwrócił się i krzyknął do Matta:

– Jeśli mój samolot się rozbije, a ja pierwszy trafię do nieba, mam ci zarezerwować miejsce?

– Jasne! – odkrzyknął Matt. – Jakieś ciepłe miejsce obok Marilyn Monroe... i obok ciebie.

10

Miłość nie jest najmocniejszym spoiwem między dwiema istotami, jest nim seks.

Tanin J. Tejpal, *Daleko od Chandigarh*, str. 11

Seks nie jest najmocniejszym spoiwem między dwiema istotami, jest nim miłość.

Tanin J. Tejpal. *Daleko od Chandigarh*, str. 670.

Rok 1976

Elliott ma 30 lat

Szanowni państwo, nasz samolot zacznie wkrótce podchodzić do lądowania w Orlando. Proszę wrócić na swoje miejsca, podnieść oparcia foteli i upewnić się, że zapięli państwo pasy.

Elliott odwrócił się od okna i rozejrzał po wnętrzu samolotu. Za ledwie połowa miejsc była zajęta. Pomimo sceptycyzmu Matta nie wątpił już w to, co przeżył, i teraz bacznie przyglądał się współpasażerom, wypatrując wśród nich swojego sześćdziesięcioletniego „sobowtóra”. Odkąd analiza odcisków palców potwierdziła tożsamość dziwnego gościa, oczekiwał jego kolejnych odwiedzin z mieszaniną strachu i niecierpliwości.

Samolot wylądował miękko. Nie tracąc czasu, Elliott odebrał bagaż, wynajął samochód i ruszył w kierunku Ocean World. Po nocnym dyżurze i sześciu godzinach lotu, w czasie którego nie udało mu się nawet zdrzemnąć, był odrętwiały i ogłuszony zmęczeniem.

Opuścił szybę forda mustanga, żeby odetchnąć morskim powietrzem. Tutejszy klimat był łagodniejszy niż w San Francisco. Jesień jeszcze tu nie dotarła, na Florydzie nadal panowała letnia pogoda. Dojechał do International Drive otoczonej z dwóch stron pięknymi trawnikami i nowiutkimi hotelami. W mieście panował jak zwykle świąteczny nastrój. Wszystko wydawało się sztuczne, ale zamierzał dostosować się do reguł tej gry.

Po zaparkowaniu wozu na olbrzymim parkingu Ocean World zawahał się, czy zadzwonić z kabiny i uprzedzić Ilenę o swoim przybyciu. W końcu postanowił zrobić jej niespodziankę i, jak każdy turysta, wykupił bilet wstępu.

Park wodny był czymś w rodzaju miasteczka rozciągającego się na sześćdziesięciu hektarach i zatrudniającego kilkuset pracowników. Znajac dobrze to miejsce, Elliott domyślał się, gdzie znajdzie Ilenę. Żeby się tam dostać, przeszedł przez pagórkowaty teren otaczający akwarium tropikalne, zamieszkały przez różowe flamingi, potem wyszedł na niewielką sztuczną plażę, miejsce zgromadzeń żółwi olbrzymich. Stamtąd pomaszerował wzdłuż zagrody, w której kilka leniwych aligatorów wylegiwało się w płytkiej wodzie, i wreszcie dotarł do basenu z orkami.

To miejsce robiło wrażenie: sześć orzek należących do Ocean World żyło w basenie głębokim na dwanaście metrów i zawierającym czterdzieści pięć milionów litrów morskiej wody. Elliott trafił na przerwę między dwoma pokazami, więc trybuny były prawie puste. Chcąc pozostać niezauważony, usiadł na jednym z krzesełek i przyglądał się opiekunom krzątającym się pośród zwierząt. Wkrótce potem zobaczył Ilenę. Była jedyną kobietą w tej grupie. Wciśnięta w kombinezon do nurkowania, zabawiała się w dentystę, manipulując wiertłem w szeroko otwartej paszczy jednego z olbrzymów, który się w nią wpatrywał. Widok ten przyprawił Elliotta o dreszcze – lekarz pomyślał o treserach cyrkowych wkładających głowę do paszczy lwa. Wiedział, że Ilenie nie spodobałoby się takie porównanie.

Wysmukła, w mokrym kombinezonie, przypominała syrenę. Błyszczała jak diament leżący pośród odłamków szkła. Czasami, kiedy chodzili razem do restauracji albo do sklepów, specjalnie puszczał ją przodem, żeby przez ułamek sekundy ludzie mogli się zastanawiać, jaki facet towarzyszy tak cudownej dziewczynie. Kiedy ich wzrok padał w końcu na Elliotta, zawsze wyczuwał coś w rodzaju rozczarowania.

Przy basenie dwaj opiekunowie krążyli wokół Ileny, jakby przyciągani jej magnetyczną urodą. Ona zaś traktowała tych mężczyzn jak dobrych kumpli, śmiała się z ich żartów, ale zachowywała dystans.

Czy zasługiwał na taką kobietę? Czy był w stanie dać jej szczęście?

Długo unikał tego typu pytań, ciesząc się każdą wspólnie spędzaną chwilą, ale teraz postanowił je sobie zadać.

Nadal się kochali, to pewne, ale życie i praca zawodowa nieco ich od siebie oddaliły. Z powodu odległości i odmiennych zajęć ich związek trochę się rozluźnił.

Elliott często się zastanawiał, jakie byłoby jego życie, gdyby nie spotkał jej dziesięć lat temu. Ona uczyniła go lepszym: szanowała jego powołanie do zawodu lekarza, dodawała mu pewności siebie i otwierała oczy na rzeczywistość. A co on jej dawał? Co takiego dla niej zrobił? Może Ilena obudzi się pewnego ranka i zda sobie sprawę, że pozostając z nim, straciła mnóstwo czasu. Musi więc liczyć się z tym, że może ją stracić.

– Stracić cię... – wyszeptał w jej stronę, jakby te słowa mogły do niej dotrzeć z takiej odległości.

W każdym razie jednego był pewien – zrobi wszystko, żeby to się nigdy nie zdarzyło. Ale... co on mógł jej dać? Czy zdecydowałby się opuścić swój szpital oraz San Francisco i przenieść się do

Orlando? Nie umiał odpowiedzieć na to pytanie, chociaż gotów był oddać za Ilenę życie, co chyba miało jakieś znaczenie.

Ożywiony tą myślą wstał z krzeselka na trybunie, uznając, że nadszedł czas, by przerwać miłosny taniec dwóch lalusiów nadal kręcących się wokół Ileny.

– Hej, chłopcze! – zawołał w stronę nastolatka sprzedającego balony napełnione helem.

– Tak, psze pana?

– Po ile sprzedajesz te baloniki?

– Dwa za jednego dolara.

Elliott dał chłopcu dwadzieścia dolarów, a tym samym kupił wszystkie balony. Ukrywając się za tą zasłoną, po cichu zbliżył się do basenu.

– Publiczność nie ma wstępu do tej strefy! – zatrzymał go jeden z opiekunów.

Elliott znał paru z nich, ale tego nigdy dotąd nie spotkał. Spojrzał na niego i zauważył błysk agresji w jego oczach.

Takim jak on wydaje się, że sikają najdalej, pomyślał, lekceważąc ostrzeżenie.

Mam nadzieję, że ten palant nie popsuje mojej niespodzianki.

Tamten jednak nie rezygnował.

– Ogłuchł pan, czy co? – krzyknął, popychając go.

Elliott zachwiał się i dla zachowania równowagi wypuścił z ręki swój bukiet baloników.

– Idiota! – krzyknął rozgniewany na napastnika.

Ale młody opiekun stał przed nim twardo z zaciśniętymi pięściami.

– Co tu się dzieje? – spytała Ilena, zbliżając się do nich.

– Temu facetowi wydaje się, że jest u siebie! – wyjaśnił pracownik, wskazując na Elliotta.

Ponieważ napełnione helem baloniki uniosły się pod niebo, zdumiona Ilena zobaczyła twarz ukochanego mężczyzny i zamarła z wrażenia.

– W porządku, Jimmy, ja zajmę się tym panem – odezwała się po chwili.

Opiekun z żalem odwrócił się od Elliotta.

– Zastrany dupek! – rzucił po jego adresem, oddalając się.

– Kutas! – odpowiedział Elliott tym samym tonem.

Elliott i Ilena przyglądali się sobie w milczeniu, stojąc naprzeciw siebie w odległości dwóch metrów.

– Byłem w pobliżu, więc...

– No tak, lepiej przyznaj, że nie możesz beze mnie wytrzymać.

– A ty możesz?

– Wokół mnie kręci się wielu mężczyzn... Czy to cię nie niepokoi?

– Oczywiście, że tak, właśnie dlatego tu jestem.

Popatrzyła na niego wyzywająco.

– A propos, wywinałeś niezły numer...

– Przykro mi z powodu incydentu z tym Jimmym.

– Niech ci nie będzie przykro, lubię, kiedy o mnie walczysz...

Spojrzał w górę.

– Kupiłem je dla ciebie.

Teraz ona spojrzała w niebo: unoszone wiatrem baloniki odpływały w nieznane.

– Jeśli oznaczały twoją miłość, to ona właśnie uleciała z wiatrem.

Pokręcił głową.

– Miłość nie odlatuje w taki sposób.

– Mimo to trzeba mieć się na baczności, bo nigdy nic nie wiadomo.

Elliott podszedł do Ileny.

– Kocham cię – powiedział zwyczajnie.

Rzuciła mu się na szyję, a on obracał się wraz z nią w koło, jak wtedy, gdy mieli po dwadzieścia lat.

*

– Pomyślałem sobie o czymś... – rzekł, stawiając ją na ziemi.

– O czym? – spytała, nadal uczepiona jego warg.

– Może zrobilibyśmy sobie dziecko?

– Tutaj, tak od razu? – powtórzyła te same słowa, które kilka dni temu on wypowiedział na lotnisku. – Na oczach orek i delfinów?

– A dlaczego nie?

*

Ilena zaparkowała swojego thunderbirda na końcu żwirowej alejki prowadzącej do uroczego domku z różowej cegły, z białymi kolumnami i krytym tarasem. Od paru miesięcy wynajmowała w nim pierwsze piętro. Właścicielka, miss Abbot, była zgorzkniałą starszą damą, spadkobierczynią majątku bostońskiej rodziny. Większość czasu spędzała na Florydzie, której łagodny klimat i słońce działały dobroczynnie na jej reumatyzm. Nie należała do osób

postępowych i pragnęła, by w jej domu mieszkali wyłącznie „ludzie z dobrego towarzystwa”. Wielokrotnie przypominała Ilenie o absolutnym zakazie sprowadzania „mężczyzn”, ponieważ – jak mówiła – „jej dom nie jest hotelem na godziny”.

Ilena położyła palec na ustach, nakazując w ten sposób Elliottowi, żeby zachowywał się cicho. Wprawdzie wydawało się, że dom pogrążony jest we śnie, a miss Abbot miała problemy ze słuchem, ale lepiej było zachować ostrożność. Wysiedli z samochodu, starając się nie trzaskać drzwiami, potem jedno za drugim zaczęli wspinać się po zewnętrznych schodach, którymi można było dostać się na piętro, omijając główne wejście.

Elliott szedł przodem niezbyt zachwycony odgrywaniem roli nastolatka łamiącego przepisy godziny policyjnej. Jego pomruki niezadowolenia bawiły idącą za nim Ilenę do czasu, aż...

– Czy to pani, Ileno?

Drzwi wejściowe otworzyły się i miss Abbot wyszła na ganek.

– Witam panią, piękny mamy dziś dzień, nieprawdaż? – odpowiedziała wesołym głosem młoda kobieta.

– Co pani tam robi, Ileno? – spytała miss Abbot, marszcząc brwi.

Będąc z natury podejrzliwa, przesunęła się w bok, żeby obejrzeć całe schodki, ale na szczęście Elliott zdążył już wśliznąć się do mieszkania.

– Ja... ja myślałam, że pani śpi, więc nie chciałam przeszkadzać – tłumaczyła się Ilena.

Miss Abbot wzruszyła ramionami i spytała łagodniejszym tonem:

– Napije się pani ze mną herbaty?

– Hm... właściwie...

– Upiekłam magdalenki, są pyszne, sama pani zobaczy. Właśnie wyjęłam je z piekarnika.

– Tylko że ja...

– Według starej receptury, którą podała mi moja własna babcia. Przepiszę ją na karteczce, jeśli ciasteczka będą smakować.

– Nie chciałabym pani objadać.

– Skądże znowu, moja droga – odparła miss Abbot, wciągając Ilenę do salonu. – Cała przyjemność będzie po mojej stronie.

Z tonu zaproszenia Ilena domyśliła się, że starsza pani chyba coś podejrzewa.

*

Skazany na samotność w małym mieszkanku Elliott zaczynał się niecierpliwie. Stąpając na palcach, wystawił głowę na klatkę schodową, chcąc sprawdzić, co dzieje się piętro niżej. Zły jak diabli doszedł do wniosku, że Ilena została z pewnością zaanektowana przez właścicielkę domu. Siedząc w bujanym fotelu z filiżanką herbaty w dłoni, słuchała w roztargnieniu, jak miss Abbot wylicza składniki niezbędne do przygotowania sławetnych magdalenek.

Pewny, że Ilena ugrzęzła na dole na dłuższą chwilę, Elliott wrócił do mieszkania i kręcił się teraz po dużej sypialni pachnącej kadzidłem i cynamonem, starając się opanować zniecierpliwienie. W przytulnym pomieszczeniu pełno było świec, kolorowych poduszek i indyjskich bibelotów. W kącie, obok tamburyna, stała gitara, a przy niej leżał zeszyt z nutami piosenek Joan Baez i Leonarda Cohena. Na ścianie w głębi pokoju wisiał plakat francuskiego filmu *Mes i Jim* przywieziony przez Matta z ostatniej wyprawy do Paryża. Na stoliku nocnym, między książkami z dziedziny psychologii zwierząt, Elliott zauważył ostatni kryminał Agathy Christie oraz jakąś powieść w rzucającej się w oczy obwolucie: *Carrie*, niejakiego Stephena Kinga, którego nazwisko nic mu nie mówiło.

Jeszcze jeden pisarz, o którym za pięć lat nikt nie będzie pamiętał...

Kontynuując inspekcję, Elliott zwrócił uwagę na jakieś dziwne urządzenie: wbudowaną w drewno koa skrzynkę podłączoną do telewizora. Ilena kupiła to w ubiegłym roku w Byte Shop w San Francisco za okrągłą sumkę sześciuset dolarów. Miała żyłkę naukowca i pasjonowała ją nowości, które nazywano mikrokomputerami. Elliott nie znał się na tym. W niedalekiej przyszłości – jak zapewniano – komputer znajdzie się w każdym domu, podobnie jak lodówka czy pralka. Na myśl o tym wzruszył ramionami.

Mimo wszystko z ciekawości zajrzał do leżącej obok instrukcji obsługi. Urządzenie wydawało się proste, dzięki klawiaturze i magnetofonowi kasetowemu, ale Elliott i tak nic nie zrozumiał. Prawdę mówiąc, nie miał pojęcia, do czego takie coś mogło służyć. Zapamiętał jedynie dziwną nazwę urządzenia nadaną przez konstruktorów: Apple Computer.

Czy coś, co nosi taką nazwę, może działać? – pomyślał, nie mając nawet odwagi włączyć urządzenia.

Zamiast tego rzucił się na łóżko, chwycił książkę Stephena Kinga i czekając na Ilenę, zaczął przerzucać kartki. W ciągu pół godziny przejrzał ponad sto stron.

W sumie książka nie jest wcale taka zła... przyznał, aczkolwiek niechętnie. W tej samej chwili otworzyły się drzwi sypialni.

Drzewa za oknem zaczęły już ubierać się w kolory jesieni, które zabarwiały światło wlewające się do wnętrza mieszkania.

Stojąca w drzwiach Ilena uśmiechała się i spoglądała na Elliotta w milczeniu, jakby lekko rozbawiona. Miała na sobie wytarte dżinsy rozszerzone u dołu, bawełnianą koszulę w jasnym kolorze i skórzane sandały, a na przegubie dłoni bransoletkę wysadzaną turkusami.

– Mam nadzieję, że przyniosłaś dla mnie kilka ciasteczek – zażartował. – Właśnie zdałem sobie sprawę, że jestem głodny.

– Ja natomiast mam nadzieję, że porządnie odpocząłeś – odparła bez zastanowienia, rozpinając koszulę.

– A to po co?

– Bo za chwilę będziesz potrzebował dużo sił.

Ilena zamyka drzwi, podchodzi do okna, żeby zasunąć zasłony, Elliott chwyta ją i próbuje zaciągnąć na łóżko. Najpierw go odpycha, ale tylko po to, by zaraz przyciągnąć do siebie i przycisnąć do ściany.

Otacza dłońmi jej twarz. Włosy Ileny są jeszcze mokre i pachną morzem. Dziewczyna rozpiną mu spodnie, które zsuwają się na podłogę. Elliott ściąga z niej koszulę, nie zwracając uwagi na guziki. Kiedy ich wargi się spotykają, ona rozpoznaje smak jego języka i zarzuca mu ramiona na szyję. On unosi ją lekko, żeby mogła opleść go nogami.

Po krótkiej walce z zapięciem stanika jego palce mogą wreszcie pieścić jej piersi, potem przesuwają się niżej, coraz niżej. Jęk rozkoszy. Jej imię szeptań do ucha. Chłodne dłonie muskające plecy i schodzące wzdłuż kręgosłupa.

Wciskają się w oparcie fotela, przewracają go, klękają na dywanie, by na koniec wylądować pod ścianą. Ona góruje nad nim, ale on przyciąga ją do siebie. Ona wstrzymuje oddech, napręża się i ulega. Najpierw czuje lodowaty dreszcz, po nim zalewającą falę gorąca, skurcz w brzuchu i odprężenie w całym ciele.

Na dworze zerwał się wiatr. Podmuchy uderzają w szybę tak mocno, że jedno skrzydło okna otwiera się, strącając gliniany wazon, który rozbija się na podłodze. Gdzieś z oddali dobiega szczekanie psa i słychać czyjeś krzyki. Ale wszystko na zewnątrz, ludzie i psy, jest im obojętne.

Nic się nie liczy, poza upojeniem, zawrotem głowy, wrażeniem spadania w przepaść i obawą, żeby nie przerwać łączącej ich więzi.

Teraz ona chwyta go za włosy, wdycha zapach jego skóry, odnajduje smak ust. Jej serce bije szybko, aż do bólu, ale dziewczyna nie pozwala uciec tej chwili.

Potem pojawia się uczucie próżni, łaskotanie w żołądku, wreszcie Ilenia wydaje się, że coś pęka w jej wnętrzu.

Teraz ma wrażenie, że przenosi się w inny wymiar, traci kontakt z ziemią i staje się nieśmiertelna.

Jakby odpływała gdzieś bardzo daleko.

Gdzie indziej.

W inny świat...

*

Leżeli potem bez słowa w ciemnym pokoju, przytuleni do siebie, spleceni nogami. Zapadła już noc i zrobiło się chłodniej, ale tu było ciepło i bezpiecznie.

Prawie zasypiali, kiedy nagle zadzwonił telefon. Ilena zerwała się na równe nogi, owinęła prześcieradłem i podeszła do aparatu wiszącego na ścianie.

Po chwili ciszy usłyszał, jak mówi:

– Zgoda, już jadę.

Rozłączyła się i spojrzała na Elliotta.

– Tak mi przykro, kochanie...

– Tylko mi nie mów, że musisz gdzieś iść!

– To pilna sprawa.

– A kto to był? Jakiś delfin? Orka, która domaga się kołysanki na dobranoc?

– Zabrakło jednej osoby do udziału w spektaklu i tylko ja mogę ją zastąpić.

Podeszła do łóżka, usiadła i pogłaskała Elliotta po ramieniu.

– Jakiego znowu spektaklu? O siódmej wieczorem?

– Do końca sezonu robimy również nocne pokazy.

– Przecież mamy już październik! Sezon się skończył!

– Mylisz się, kochanie, jesteś na Florydzie, gdzie nadal jest ciepło.

Zanim wstała, dała mu jeszcze ostatniego całusa.

– Jeśli chcesz, możesz tu zostać. Nie obawiaj się miss Abbot, kładzie się spać wcześniej, a moim zdaniem i tak wie, że tu jesteś...

– Wolę pójść z tobą – odparł bez wahania.

– Boisz się, że ktoś mnie poderwie?

– Wcale nie, ale w sklepiku z pamiątkami zauważyłem bardzo ładną sprzedawczynię. Dotrzymam jej towarzystwa podczas twojego spektaklu.

– Tylko spróbuj, a zginiesz z mojej ręki – ostrzegła, rzucając w niego poduszką.

W mgnieniu oka zebrała swoje ubrania i uczesała się w pośpiechu.

– Widzisz tylko radykalne rozwiązania... – stwierdził Elliott, wkładając koszulę.

– Taka już jestem. I nie wyobrażaj sobie, że w miłości można być wszystkiego pewnym do końca. Może kochaliśmy się dzisiaj po raz ostatni...

– W każdym razie było niezłe.

– Ale to było do niczego.

– Co?

– To, co przed chwilą powiedziałaś!

– Nie mam prawa mówić, że było dobrze?

– Nie.

– Dlaczego?

– Bo czar pryska!

Ach, te kobiety...

– Wszystkie chwile, które spędzamy razem – powiedział Elliott, wkładając marynarkę – przechowuję w pamięci jak krótkie filmy.

– O, to było miłe – odparła, zamykając za sobą drzwi.

Nie rezygnując z roli w teatrze miss Abbot, Elliott wy dostał się z domu schodami awaryjnymi. Ilena nie mogła już słyszeć tego, co mruknął sam do siebie żartobliwym tonem:

– Te krótkie filmy będę przeglądał w myślach, kiedy znajdę się w domu opieki, stary i bezsilny. I będę sobie przypominał, jacy oboje byliśmy szczęśliwi.

Mówiąc to, nawet nie podejrzewał, jak dalece miał słuszność...

11

Spotkanie trzecie

*Wczoraj jeszcze dwadzieścia miałem lat, i
śmiał się do mnie cały świat.*

Charles Aznavour

*Yesterday, love was such an easy game to
play.*

John Lennon – Paul McCartney

Rok 1976

Elliott ma 30 lat

Panoramiczna sala Aquatic Café umożliwia widzom sączenie napojów, oferując im jednocześnie fantastyczny widok na położony kilka metrów niżej basen z orkami. Za niecały kwadrans miał się rozpocząć show, połączenie choreografii z widowiskowymi czynami.

Elliott usiadł przy stoliku i obserwował, jak prawie puste dotąd trybuny zaczynają się stopniowo zapełniać widzami przybywającymi na ostatni wieczorny spektakl. Kelner podał mu zamówioną butelkę budweisera. Lekarz podziękował gestem ręki.

Bar tonał w miłym półmroku. W pobliżu kontuaru, duet złożony z gitarzysty i piosenkarki wykonywał instrumentalne wersje

przebojów folkowych z repertuaru Carole King, Neila Younga, Simona i Garfunkela...

Kołysany dźwiękami gitary i jeszcze świeżym wspomnieniem upojnych chwil spędzonych z Ileną, Elliott nie zauważył mężczyzny, który usiadł przy sąsiednim stoliku.

Wypił łyk piwa i machinalnie zapalił papierosa.

– A więc to ty zwinąłeś moją zapalniczkę!

Jak złapany na gorącym uczynku, Elliott odwrócił się gwałtownie w stronę człowieka, który wypowiedział te słowa. Siedzący obok na skórzanej kanapie mężczyzna – który był starszym wydaniem jego samego – patrzył z błyskiem rozbawienia w oczach.

Jego pojawienie się nie zaskoczyło Elliotta. Był na nie przygotowany, a ponowne spotkanie tylko go upewniło, że to, co się mu przytrafia, nie jest snem.

– Wiem o wszystkim... – powiedział drżącym głosem.

– A o czym? – spytał mężczyzna.

– Wiem, że mówił pan prawdę. Wiem, że jest pan... mną.

Mężczyzna wstał z kanapy, zdjął marynarkę i usiadł naprzeciw Elliotta.

– Niezły pomysł z tym tatuażem – przyznał, podwijając wysoko rękaw koszuli, aż do miejsca, na którym widniał napis.

– Wiedziałem, że się panu spodoba.

Zauważywszy nowego klienta, kelner podszedł do stolika.

– Co mogę szanownemu panu podać? – spytał.

– To samo – odpowiedział mężczyzna, pokazując butelkę z piwem. – Mój przyjaciel i ja mamy jednakowe upodobania.

Uśmiechnęli się do siebie równocześnie, i po raz pierwszy wydawało się, że w przytulnym świetle kawiarni nastąpiło między nimi jakieś porozumienie. Jednak milczenie się przedłużało. Każdy z nich na swój sposób delektował się tą chwilą. Trzeba przyznać, że spotkanie „dawno niewidzianego członka własnej rodziny” było uczuciem co najmniej dziwnym.

Elliott pierwszy przerwał ciszę.

– Do jasnej cholery! Jak pan to robi?

– Jak podróżuję w czasie? Zapewniam cię, że jest to dla mnie tak samo zdumiewające jak dla ciebie.

– To jakieś szaleństwo!

– Owszem – przyznał stary lekarz – to jest szaleństwo.

Elliott zaciągnął się dymem z papierosa. Nie mógł zebrać myśli.

– Jak tam jest?

– Masz na myśli rok dwa tysiące szósty?

– Dokładnie.

– A co chciałbyś wiedzieć?

Pytań było całe mnóstwo: dziesięć, dwadzieścia, sto, tysiąc... Najlepiej zacząć od pierwszego:

– Co słyhać na świecie?

– Jest niewiele lepiej niż obecnie.

– A co z zimną wojną?

– Nie ma jej od dawna.

– A kto wygrał? Rosjanie czy my?

– To nie takie proste...

– Nie było trzeciej wojny światowej?

– Nie, za to pojawiły się inne problemy: zagrożenia dla środowiska, globalizacja, terroryzm i różne następstwa zamachu z jedenastego września...

– Z jedenastego września?

– Dokładnie tak. Tego dnia wydarzyło się coś w World Trade Center w Nowym Jorku.

– Ale co takiego?

– Posłuchaj, nie jestem wcale pewien, czy powinienem ci o tym wszystkim opowiadać...

Żądza uzyskania dalszych informacji spowodowała, że Elliott pytał dalej: – A jak ja się czuję?

– Jakoś sobie radzisz.

– Czy stałem się dobrym lekarzem?

– Ty już jesteś dobrym lekarzem, Elliott.

– Nie to miałem na myśli. Chciałem spytać, czy zrobiłem się bardziej pewny siebie. Czy oswoiłem się ze śmiercią pacjentów? Czy nauczyłem się nabierać dystansu?

– Nie, bo do śmierci pacjentów nie można się przyzwyczaić. I właśnie dlatego, że nie zgodziłeś się na ten dystans, zostałeś dobrym lekarzem.

Przez kilka sekund Elliott był tak wstrząśnięty, że poczuł gęśią skórę na całym ciele. Nigdy nie podchodził do tego w taki sposób.

Potem, zdawszy sobie sprawę, że nie zdąży zadać wszystkich pytań, skupił się na tym, co uznał za najistotniejsze:

– Czy mam dzieci?

– Jedną córkę.

– Ach tak... – bąknął, niepewny, czy ten fakt powinien go cieszyć. – Czy jestem dobrym ojcem?

– Sądzę, że tak.

– A Ilena? Dobrze się czuje?

– Zadajesz za dużo pytań.

– Łatwo panu mówić, bo zna pan wszystkie odpowiedzi.

– Gdyby istotnie tak było...

Mężczyzna upił łyk piwa i wyjął z kieszeni paczkę marlboro.

– Oddać panu zapalniczkę? – spytał Elliott, przypalając papierosa staremu lekarzowi.

– Możesz ją zatrzymać. I tak prędzej czy później będzie twoja.

W głębi sali dwoje muzyków zaczęło grać *Yesterday* Bitelsów. Elliott skorzystał z okazji, by sprowadzić rozmowę na mniej poważny temat.

– A jakiej muzyki słuchamy w przyszłości?

– Wcale nie lepszej od tej – zapewnił jego rozmówca, wystukując butami rytm melodii.

– Czy oni znowu są razem?

– Kto? Bitelsi? Gdzie tam! I myślę, że to się nigdy nie zdarzy: Lennon został zamordowany, a Harrison zmarł dwa czy też trzy lata temu.

– A McCartney?

– Ten nadal się trzyma.

Nagle w pomieszczeniu zapanowała cisza zwiastująca początek pokazu. Obaj odwrócili się jednocześnie w stronę ogromnego basenu z orkami, bo właśnie pojawili się przy nim treserzy, głośno oklaskiwani przez bardzo teraz liczną publiczność.

– To ona, prawda? To Ilena? – spytał starszy mężczyzna, mrużąc oczy.

– Tak, zastępuje dziś jednego z treserów.

– Posłuchaj, nie mogę zostać tu długo i za parę minut z pewnością „zniknę”, więc nie miej mi za złe, jeśli skupię uwagę wyłącznie na niej.

Nie bardzo wiedząc, o co chodzi, Elliott patrzył, jak jego drugie ja wstaje, opuszcza kawiarnię i kieruje się w stronę najwyższych rzędów widowni.

*

Elliott ma 60 lat

Chcąc zająć miejsce w pierwszych rzędach, Elliott zszedł środkowym przejściem. Basen należał do największych na świecie i był podzielony na trzy części. Główny zbiornik przechodził w dwa mniejsze, z których jeden przeznaczony był do przeprowadzania różnych zabiegów, a drugi służył do treningów. Wysoka i długa na sześćdziesiąt metrów szklana ściana umożliwiała oglądanie podwodnych ewolucji sześciu orek.

Sam spektakl robił ogromne wrażenie. Wążące wiele ton zwierzęta poruszały się z zadziwiającą gracją, wykonywały skoki, po czym z wielkim pluskiem wpadały do wody. Jednak Elliott patrzył wyłącznie na Ilenę dyrygującą tym podwodnym baletem i kierującą olbrzymi pod szklaną ścianę.

Na jej widok, po tylu latach, doznał gwałtownego szoku. Wydawała się niewiarygodnie piękna, prawie nierealna, podobna do anioła widzianego we śnie. Przez trzydzieści lat tysiące razy oglądał nieliczne zdjęcia, jakie po niej zostały. Ale one nie były w stanie oddać jej niezwykłej urody.

Nagle pod wpływem emocji powróciły wszystkie wspomnienia naraz oraz żal, że nie potrafił jej bardziej kochać, że nie starał się jej lepiej zrozumieć, że nie umiał uchronić jej przed niebezpieczeństwem. Jednocześnie poczuł się bezsilny i wściekły, że musi poddać się upływowi czasu, który wszystko niszczy...

*

Elliott ma 30 lat

Elliott osłupiał po tym, co przed chwilą przeżył, siedział nadal przy stoliku, jakby ktoś przykuł go do krzesła.

Wszystko, czego przed chwilą się dowiedział, nie tylko nie zaspokoilo jego ciekawości, ale jeszcze ją podsycilo.

Skoro starszy pan zostawił na oparciu krzesła swoją marynarkę, Elliott postanowił zapoznać się z zawartością kieszeni. O dziwo, czynność ta nie wzbudziła w nim ani poczucia wstydu, ani winy – w sytuacjach nadzwyczajnych dopuszczalne są nadzwyczajne środki. W efekcie tych poszukiwań trafił na portfel i dwa pudełeczka.

W portfelu nie było niczego ciekawego poza fotografią pięknej i młodej, może dwudziestoletniej kobiety.

Czyżby moja córka? – zastanawiał się bez emocji.

Próbował doszukać się podobieństwa do Ileny, ale go nie znalazł. Mocno zbulwersowany włożył zdjęcie tam, skąd je wyjął, i skupił uwagę na dwóch pozostałych przedmiotach.

Pierwszy był maleńką, czarną i posrebrzaną skrzyneczką z małym ekranem i guzikami pokrytymi cyferkami. Nad ekranem widniał napis NOKIA, który nie kojarzył mu się z niczym. Była to z pewnością nazwa firmy produkującej takie urządzenia. Obejrzał skrzyneczkę ze wszystkich stron, ale nie odkrył, do czego może

służyć. Nagle dziwne pudełko zaczęło dzwonić. Zaskoczony, położył urządzenie przed sobą, nie mając pojęcia, jak je wyłączyć.

W miarę jak dźwięk się nasilał, wszyscy klienci kawiarni odwrócili się w jego stronę, a na ich twarzach pojawił się wyraz zdziwienia i dezaprobaty. Elliott nagle uświadomił sobie, że ma do czynienia z telefonem, w związku z czym – nawet jeśli połączenie nie było przeznaczone dla niego – odruchowo nacisnął guzik z zieloną słuchawką.

– Halo? – odezwał się, przykładając telefon do ucha.

– No, nareszcie! Ile mam czekać, aż odbierzesz?

Głos, który go opieprzał i zdawał się dochodzić z bardzo daleka, wydał mu się znajomy. Przecież to głos...

– Matt!! To ty Matt?

– Jasne, że ja.

– Ale gdzie ty jesteś?

– W naszej posiadłości, a gdzieżby indziej? Chyba ktoś musi pracować, żeby interes się kręcił.

– Interes? Masz na myśli naszą plantację? Czy już ją kupiliśmy?

– O rany! Stary, przecież kupiliśmy ją trzydzieści lat temu! Czy z tobą wszystko w porządku?

– Matt?

– Co znowu?

– Ile lat masz teraz?

– W porządku, dobrze wiem, że nie mam dwudziestu. Nie musisz mi o tym bez przerwy przypominać!

– Ale powiedz ile, żebym wiedział.

– Tyle samo, co ty, staruszk: stuknęła mi sześćdziesiątka...

Elliott zamilkł na chwilę, żeby zebrać myśli.

– Nigdy nie zgadniesz, co mi się przytrafiło...

– Z tobą mogę spodziewać się wszystkiego. A gdzie ty właściwie jesteś?

– Jestem w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym szóstym roku, i... mam trzydzieści lat.

– Rozumiem... W takim razie cześć. Mam dużo roboty. Jeśli chcesz wiedzieć, chodzi o skrzynie z winem przeznaczone na eksport do Francji, które nie mogą być wysłane na czas z powodu tamtejszych cholernych strajków – powiedział Matt i się rozłączył.

Elliott nie mógł powstrzymać uśmiechu. Ta abstrakcyjna rozmowa wzruszyła go i zdumiała. Ale na tym niespodzianki się nie skończyły. Biorąc do ręki drugi przedmiot, zauważył, że jest owinięty plastikowym przewodem. Odwinął go i odkrył dwie kapsułki zwisające na końcach. Umieszczone na nich napisy „lewy” i „prawy” naprowadziły go na właściwy trop:

Słuchawki?

Wcisnął je do uszu, zanim porządnie przyjrzał się urządzeniu. Pudełeczko niewiele większe od monety wyposażone było w kolorowy ekran oraz coś w rodzaju gałki. Odwrócił je i odkrył napis:

iPod

Designed by Apple in California – Made in China

Kiedy pokręcił gałką, na ekranie pokazały się dziwne, zupełnie mu nieznane nazwy: U2, R.E.M., Coldplay, Radiohead...

Po chwili znalazł coś ciekawego – The Rolling Stones.

Uśmiechnął się zadowolony, ten teren był znajomy. Podkreślił dźwięk do oporu, po czym nacisnął guzik z napisem *play*...

Pierwsze gitarowe akordy melodii *Satisfaction* niemal rozerwały Elliottowi bębrenki, jakby jakiś boeing przeleciał mu przez głowę.

Wrzasnął, odłożył aparat i wyjął słuchawki. W popłochu włożył portfel, telefon i odtwarzacz mp3 do kieszeni marynarki, przeświadczony, że nie powinien był ich stamtąd wyjmować.

Przyszłość zdecydowanie będzie bardzo skomplikowana...

*

Elliott ma 60 lat

Pokaz dobiegał końca. Pośrodku basenu dwie olbrzymie orki śmigające jak torpedy przecinały lustro wody z zawrotną szybkością. Dotarwszy do końca zbiornika, zawróciły, wyskoczyły nad powierzchnię, po czym z wielkim pluskiem opadły płasko, rozbryzgując fontannę piany, która ochlapała widzów siedzących w pierwszych rzędach.

Kilka kropeł wody morskiej spadło na twarz Elliotta, ale on nie zwrócił na to uwagi, wpatrując się jak zahipnotyzowany w Ilenę.

Dla końcowego efektu dopełniającego widowisko Ilena wspięła się na sam szczyt bramki wznoszącej się nad basenem. W zębach trzymała rybę. Publiczność wstrzymała oddech do momentu, w którym gwiazda pokazu – Anuszka – wynurzyła z wody swoje olbrzymie cielsko, wyskoczyła w górę i delikatnie rybę chwyciła.

Przy salwie ogłuszających oklasków Ilena kłaniała się publiczności. Przesuwając wzrok po widowni, natrafiła na starszego widza i zmieszana się.

To podobieństwo...

W spontanicznym odruchu serca posłała mu promienny, pełen ufności i ciepła uśmiech. Na chwilę czas stanął w miejscu. Elliott zatonął cały w tym uśmiechu i zdał sobie sprawę, że zabierze z sobą właśnie to wspomnienie.

Tak więc stało się. Dostał to, o co poprosił starego Khmera: przed śmiercią jeszcze raz zobaczył jedyną kobietę, którą kochał. Jego życzenie zostało spełnione i powinien się tym zadowolić.

W gardle poczuł pulsującą krew, a zaraz po tym jej metaliczny smak w ustach. Nagle zabrakło mu tchu, a całe ciało ogarnęło drżenie zapowiadające powrót do własnej epoki. Nie zwlekając, opuścił amfiteatr i wrócił do kawiarni.

Dochodząc do stolika, ledwie zdążył uprzedzić Elliotta.

– Tym razem odchodzę na dobre. Zapomnij o wszystkim, co ci powiedziałem i co widziałeś. Żyj dalej swoim życiem, jakbyś mnie nigdy nie spotkał.

– Już więcej pan nie wróci?

– Nie. To był ostatni raz.

– Dlaczego?

– Dlatego, żeby twoje życie powróciło do normy. A także dlatego, że dostałem to, po co tu przyszedłem.

Trząsł się coraz bardziej, chociaż zdawał sobie sprawę, że nie może tak po prostu wyparować pośrodku tej sali. Elliott pomógł mu włożyć marynarkę i odprowadził do drzwi toalety.

– A właściwie po co pan tu przyszedł?

– Chciałem zobaczyć Ilenę, to wszystko.

– Dlaczego?

– Nie zawracaj mi dupy tymi swoimi pytaniami!

Jednak młody lekarz nie zamierzał odpuścić. Chwycił mężczyznę za poły marynarki, jakby próbował go jeszcze zatrzymać.

– Dlaczego chciał pan zobaczyć Ilenę? – krzyczał, przyciskając go do ściany.

– Bo ona niedługo umrze – wyznał tamten niechętnie.

– Jak to, niedługo umrze? Kiedy?

– Wkrótce.

– Przecież ona ma dopiero dwadzieścia dziewięć lat! Nie umiera się w tym wieku!

– Przestań wygadywać te swoje pierdoły! Jesteś lekarzem, więc dobrze wiesz, że to może zdarzyć się w każdym wieku.

– Ale dlaczego ona ma umrzeć tak młodo?

Mężczyzna milczał z oczami pełnymi łez. Potem, tuż przed zniknięciem, wypowiedział to trudne do zniesienia zdanie:

– Dlatego że ty ją zabijesz.

12

Wszyscy szukamy tej jedynej osoby która da nam to, czego brak nam w życiu. Ale kiedy nie zdołamy jej znaleźć, pozostaje nam tylko modlić się, żeby to ona znalazła nas...

Desperate Houswives

Floryda, rok 1976

Elliott ma 30 lat

Wyruszyli w drogę o wschodzie słońca.

Silny wiatr wiejący w kierunku południowym rozpraszał chmury i porywał pierwsze jesienne liście. Elliott, siedząc za kierownicą thunderbirda, pędził do Miami, Ilena dosypiała obok na siedzeniu pasażera.

Udało jej się dostać dwa dni urlopu, wobec czego postanowili spędzić przedłużony weekend w Key West, gdzie mieszkał stryj Ileny. Od dawna planowali tę wyprawę, ale bez przerwy ją odkładali. Sądziła, że kiedyś znajdą na nią czas...

Po raz dziesiąty w ciągu pięciu minut Elliott spojrzął na śpiącą dziewczynę, chcąc się upewnić, że nic nie zakłóca jej snu. Patrzył na nią jak na kruchy drogocenny przedmiot powierzony jego opiece. Jej oddech był spokojny i regularny w przeciwieństwie do burzy szalejącej w jego głowie.

Powinien w pełni wykorzystać ten urlop i zacieśnić związek z kobietą, którą kochał. Tymczasem nieustannie myślał o tym, czego

dowiedział się od swojego alter ego. Wciąż słyszał jego słowa zawierające groźbę: „Ilena wkrótce umrze”... i „dlatego, że ty ją zabijesz”. Wydawały się absurdalne, ale musiał niestety przyznać, że jak dotąd wszystko, co tamten mu powiedział, było zgodne z prawdą.

Rozmyślał o tym przez całą noc i jedno nie dawało mu spokoju – skoro Ilena miała umrzeć, dlaczego „podróżnik w czasie” nie podsunął mu czegoś, co by mu pomogło ją uratować? Poza tym, dlaczego twierdził, że przybył, by zobaczyć ją po raz ostatni?

– Zamiast patrzeć na mnie, lepiej patrz na drogę! – ostrzegła Ilena, otwierając oczy i przeciągając się.

– Problem w tym, że ty jesteś piękniejsza...

Kiedy pochyliła się w jego stronę, żeby dać mu buziaka, nagle ogarnęła go chęć opowiedzenia jej o wszystkim: *wiesz, spotkałem kogoś, kto przybył z przyszłości i kto powiedział mi, że wkrótce umrzesz; ale to nie wszystko, bo wyobraź sobie, że ten ktoś jest mną starszym o trzydzieści lat.*

Już otworzył usta, ale nie wydostał się z nich żaden dźwięk. Przecież nie mógł powiedzieć jej czegoś, co nie miało sensu. Można oczywiście poprosić przyjaciela lub ukochaną kobietę, żeby uwierzyli w coś niewiarygodnego, jednak pod warunkiem, że to coś mieści się w granicach rozsądku. W tym wypadku granice te zostały przekroczone. Ilena, podobnie jak Matt, nie mogła być jego sojuszniczką w walce, którą – choć nie czuł się na siłach – będzie musiał stoczyć samotnie. Ciężar tego wszystkiego przytłaczał go tak bardzo, że znów zaczął się zastanawiać, czy jest przy zdrowych zmysłach.

Na szczęście chwila przygnębienia nie trwała długo. Przypomniał sobie, że sojusznikiem może być... właśnie jego drugie wcielenie! Trzeba tylko znaleźć jakiś sposób, żeby zmusić alter ego do powrotu i udzielenia pomocy. Ostatnim razem doprowadził do tego, przesyłając mu wiadomość za pomocą tatuażu. Tym razem musi wymyślić coś innego.

Tylko co?

*

San Francisco, rok 2006

Elliott ma 60 lat

Po dwóch długich deszczowych dobach słońce w końcu zaświeciło nad San Francisco.

Elliott i jego córka postanowili spędzić ten dzień razem. Wypożyczyli rowery, przejechali przez Golden Gate i przez wiele godzin włączyli się po Marin County. Ani razu nie wspomnieli o chorobie Elliotta. Odtąd pospiesznie cieszyli się każdą chwilą, chcąc w pełni korzystać z tego cholernego życia, które ukazuje swoją wartość właśnie wtedy, kiedy trzeba się z nim pożegnać.

W południe zatrzymali się w Sausalito i rozłożyli na plaży koc, żeby urządzić piknik nad samym brzegiem oceanu. Niewiele mówili. Po prostu cieszyli się, że są razem. Tylko to się liczyło.

Po posiłku ruszyli w dalszą drogę i pojechali wzdłuż wybrzeża, aż do miejscowości Tiburon, gdzie zatrzymali się przy wypożyczalni skuterów wodnych. Angie miała ogromną ochotę na przejażdżkę, ale nie potrafiła przełamać strachu. Podobnie jak wtedy, gdy była małą dziewczynką, czekała na zachętę ze strony ojca.

Patrząc, jak wsiada na jeden z pojazdów i ostrożnie oddala się od brzegu, Elliott rozmyślał o wydarzeniach z poprzedniego dnia.

Dzięki trzeciej pigułce mógł zobaczyć Ilenę na kilka tygodni przed jej śmiercią... Do tego momentu wszystko wydawało się proste. Wracał do przeszłości, widział Ilenę i wszystko było w porządku, ale zamiast go uspokoić, ta ponowna podróż w czasie otworzyła stare rany, wzbudziła poczucie winy i żal. Zarzucał sobie

zwłaszcza, że za dużo powiedział, i teraz obawiał się konsekwencji. Nie powinien był uprzedzać swojego drugiego wcielenia o śmierci Ileny! Nie powinien był ulec pokusie powrotu do przeszłości, żeby zmienić bieg rzeczy. Tymczasem pokusa była wielka. Gdyby zażył jeszcze jedną pigułkę, mógłby uratować Ilenę.

Tyle tylko, że nie można bezkarnie zmienić przeszłości. Tego jednego był pewien. Dotychczas udawało mu się ograniczyć szkody dzięki temu, że zachowywał się jak widz przybyły z przyszłości, ale sprawy skomplikowały się z chwilą, gdy nabrał ochoty, by wywierać wpływ na przeszłe życie. Obecnie wszyscy znają efekt motyla i teorię chaosu: dzięki reakcji łańcuchowej jakieś wydarzenie bez znaczenia może spowodować katastrofę na wielką skalę; zwyczajny ruch skrzydełek motyla w Japonii może wywołać burzę na Florydzie...

Miał jeszcze siedem pigułek, ale postanowił nie zażywać ich więcej.

Bo gdyby Ilena nie umarła, Elliott z 1976 roku nadal by z nią żył. Kupiliby dom, z pewnością mieliby dzieci. Tyle tylko, że Elliott nigdy nie spotkałby matki Angie, co oznaczało, że córki nie byłoby na świecie. Takie ryzyko nie mogło wchodzić w grę.

*

Elliott ma 30 lat

Słońce znajdowało się wysoko nad horyzontem, kiedy wjechali na Overseas Highway, słynną „autostradę nadmorską” biegnącą wzdłuż południowego krańca Florydy w kierunku Kuby.

To miejsce przywodziło na myśl kraniec świata. Na ponad dwustukilometrowej przestrzeni ciągnął się różaniec wysepek skąpanych w wodzie o barwie turkusowej, przypominającej polinezyjskie laguny. Prosta jak strzała droga biegła nad

krystalicznie czystymi wodami, przeskakując z wyspy na wyspę po dziesiątkach mostów wzniesionych na palach.

Elliott i Ilena byli w siódmym niebie – zachwycali się widokiem krążących nad ich głowami pelikanów, mieli wrażenie, że znajdują się pośrodku oceanu. Opuścili dach thunderbirda i znaleźli w radiu stację nadającą przeboje rockowe. Jechali szybko, upajając się prędkością i mijanymi widokami podobnymi do tych ze snów.

Dotarłszy do Key Largo, zatrzymali się przy rybackiej budzie zamienionej w restaurację. Mając przed oczami rafy koralowe, delektowali się krabami smażonymi w cieście, małżami i krewetkami.

Już mieli ruszyć w dalszą drogę, kiedy Elliott postanowił zatrzymać się przy poczcie.

– Zadzwoń do Matta, żeby nie zapomniał nakarmić psa.

– W porządku, *handsome*. Ja tymczasem pójdę kupić jakiś krem do opalania.

Elliott wszedł do budynku obwieszanego morskimi mapami, sieciami rybackimi i makietami łodzi. Przez cały ranek się nad tym zastanawiał i wreszcie wymyślił nową wiadomość, którą zamierzał wysłać w przyszłość. Przy okienku oznajmił, że chce nadać dwa telegramy do San Francisco.

Tekst pierwszego był następujący:

Matt,

dzięki za wszystko, ale nadal potrzebuję twojej pomocy.

Tylko nie doszukuj się sensu w tym, o co cię poproszę.

Kiedyś wszystko ci wytłumaczę. Tymczasem po prostu mi zaufaj.

...

*

San Francisco, rok 1976

Matt ma lat 30

Złociste promienie zachodzącego słońca przebijały się przez lniane zasłony. Matt grał na gitarze balladę własnej kompozycji przeznaczoną dla Tiffany: kilka akordów zapożyczonych od Eltona Johna i słowa wyszukiwane na poczekaniu po to, by włączyć w nie imię swojej obecnej przyjaciółki i w ten sposób nadać piosence osobisty charakter.

– Myślisz, że to na mnie działa? – spytała Tiffany najwidoczniej niezbyt wrażliwa na tego typu zaloty.

Wyciągnięta swobodnie na kanapie, sączyła swój koktajl i patrzyła na Matta rozbawiona.

Francuz odłożył gitarę i podszedł do niej, uśmiechając się.

– Przyznaję, że nie ma się czym chwalić.

Wypiła kolejny łyk alkoholu i odpowiedziała jedynie uśmiechem.

Ten facet, nawet kiedy skruszony bije się w piersi, nie przestaje wypróbowywać na mnie swojego uroku, pomyślała, podnosząc się do pozycji siedzącej. Najgorsze w tym wszystkim... że to na mnie działa.

Tiffany była na takim etapie życia, kiedy nie oczekuje się już niczego od mężczyzn, chociaż to wcale nie przeszkadza im nadal kochać.

Matt usiadł obok niej, zahipnotyzowany widokiem jej wspaniałych nóg i oszalamiającym dekoltem.

Ta dziewczyna ma nie tylko cudowne ciało, ale na dodatek całkiem niezłe poukładane w głowie, pomimo wyglądu uroczej kretynki.

Szybko odsunął od siebie tę myśl, jakby intelektualny wymiar związku z kobietą miał w sobie coś przerażającego. Matt zawsze się obawiał, że może nie dorównać komuś na tej płaszczyźnie. Nie skończył studiów i miał z tego powodu kompleks, choć niezbyt chętnie się do tego przyznawał.

Pochylił się nad Tiffany i pocałował ją w usta.

Dobra, mój mały, nie rozpraszaaj się. Lepiej skoncentruj się na jednym: na seksie.

Wysilał się mocno, żeby Tiffany dała mu jeszcze jedną szansę. Nie było to łatwe, ale właśnie dochodził do celu. Przedłużał słodycz tej chwili, kładąc rękę na udzie dziewczyny i przesuwając ją w stronę...

– CZY JEST TU KTOŚ?

Matt skoczył na równe nogi. Chyba nigdy nie dopnie swego...

– Poślaniec! – krzyczał jakiś głos za drzwiami. – Mam dwa telegramy do pana Matta Delluki.

Podczas gdy Tiffany poprawiała sukienkę, Matt otworzył drzwi i klnąc pod nosem, odebrał dwie przesyłki, po czym wręczył napiwek posłańcowi.

– Te telegramy są ponumerowane – dodał tamten. – Trzeba przeczytać je w kolejności.

Matt rozerwał nerwowo pierwszą kopertę. Telegramy zawsze kojarzyły się mu ze złymi wiadomościami, czyjąś śmiercią, chorobą, wypadkiem...

Rozłożył kartkę, żeby odczytać parę linijek wydrukowanych na paseczkach niebieskiego papieru.

Była to wiadomość od Elliotta, dość długa i zagmatwana. Szczególną uwagę zwrócił na dwa zdania:

„Zaufaj mi” i poniżej „Pojeźdź do mojego domu najszybciej jak to możliwe”.

– Bardzo mi przykro, ale muszę gdzieś pojechać – oznajmił Tiffany.

Jakby spodziewając się takiej wiadomości, dziewczyna wstała z kanapy, włożyła pantofelki i stanęła przed Mattem.

– Jeśli przejdiesz przez te drzwi, wiedz, że już nigdy się ze mną nie prześpisz...

Spojrzał na nią badawczo. Ostatnie promienie słońca wpadające do pokoju sprawiły, że jej sukienka prześwitywała, nie ukrywając oszłamiających kształtów.

– To coś bardzo pilnego – wyjaśnił.

– A ja nie jestem niczym pilnym? – spytała bez wahania.

Teraz ona patrzyła na niego badawczym wzrokiem, domyślając się, że Matt, na pozór playboy, jest typem wrażliwszym, niż na to wygląda. Najchętniej by go zatrzymała, ale nie miała zamiaru ustępować po raz drugi.

– Będiesz tego żałował do końca życia – oznajmiła, rozpinając niby przypadkiem jeden z guzików bluzki.

– Jestem tego więcej niż pewien – przyznał Matt.

– W takim razie tym gorzej dla ciebie.

Pozbierała swoje manatki i wyszła.

– Palant! – krzyknęła, trzaskając drzwiami.

*

Floryda, rok 1976

Elliott ma 30 lat

Elliott i Ilena znaleźli się w Key West w chwili, gdy słońce dopalało się nad horyzontem. Dotarli wreszcie do celu podróży, do wysuniętego najdalej na południe skrawka Stanów Zjednoczonych. Do miejsca, w którym zaczyna się i kończy Ameryka...

Ze swoimi wąskimi uliczkami, tropikalnymi ogrodami i kolonialnymi willami to miejsce miało w sobie coś ponadczasowego. Zaparkowali samochód nad brzegiem oceanu i przeszli się po plaży, spacerując wśród czapli i pelikanów, a potem udali się do małej kafejki uczęszczanej przez stałych bywalców rozprawiających na patiu o naprawie świata. Mieli spotkać się tu z Robertem Cruzem, stryjem Ileny, od dawna mieszkającym na wyspie. W latach trzydziestych Hemingway często przebywał w Key West, a Cruz był jego człowiekiem do wszystkiego. Od kiedy miasto odkupiło dom wielkiego pisarza, żeby urządzić w nim muzeum, Roberto pełnił w nim funkcję dozorca. Ubrany w hawajską koszulę, z siwiejącą brodą, celowo upodabniał się do sławnego Ernesta. Mieszkał w niewielkim domku przylegającym do domu mistrza i nalegał teraz, żeby Ilena i Elliott zamieszkali u niego zamiast zatrzymywać się w którymś z hoteli. Młodzi nie mieli nic przeciwko temu.

– Witajcie w domu Hemingwaya! – rzekł Roberto, otwierając bramę z kutego żelaza, za którą ukazała się piękna kolonialna willa w stylu hiszpańskim.

Wchodząc do ogrodu, Elliott zastanawiał się, czy Matt otrzymał jego telegram.

*

San Francisco, rok 1976

Matt ma lat 30

– Cześć, Znajdek! – krzyknął Matt, otwierając drzwi domu Elliotta.

Młody labrador przybiegł natychmiast, radosnym szczekaniem okazując radość z nieoczekiwanego towarzystwa. Matt napełnił mu miskę, podrapał go po głowie i zaprosił psa do ogrodu. Błądząc myślami gdzie indziej, przez parę dobrych minut stał oparty o pień drzewa i ponownie czytał telegram od przyjaciela.

Był bardzo zaniepokojony. Od kilku dni zachowanie Elliotta wydawało mu się pozbawione wszelkiej logiki. Matt wyrzucał sobie, że nie potrafił uwolnić przyjaciela od ewidentnych przywidzeń. Sądził, że wystarczy wsadzić go do samolotu, żeby zszedł z obłoków na ziemię, ale nic to nie dało. Od samego początku ta historia o „przybyszu z przyszłości” niczego dobrego nie wróżyła. W miarę upływu czasu złe przeczucia skłaniały go do refleksji, że Elliotta spotka niebawem coś bardzo groźnego.

Pomimo swego sceptycyzmu skrupulatnie wypełnił instrukcje zawarte w telegramie. Możliwe że Elliott tracił głowę, ale Matt postanowił pozostać lojalny wobec przyjaciela, którego traktował jak rodzinę i jedyną gwarancję stabilności. Matt był dzieckiem z sierocińca. Okres dzieciństwa i dorastania spędził w kilku rodzinach zastępczych mieszkających w okolicach Paryża. W wieku piętnastu lat opuścił szkołę i na tym zakończył swoją edukację. Chwytał się potem różnych prac niedających żadnych perspektyw na przyszłość, czasami nawet nie bardzo uczciwych. Parokrotnie wmieszał się w uliczne rozróbki, co kończyło się noclegiem w komisariacie. Kiedy stał się zbyt „znany służbom porządkowym”, zdecydował się wyjechać z Francji i spróbować szczęścia w Ameryce. Nie mając nic do stracenia, spieniężył wszystko, co posiadał, i w ten sposób mógł

kupić bilet w jedną stronę do Nowego Świata. Wielu innych na jego miejscu dawno spuściłoby z tonu, ale on był zaradny i miał szczęście do ludzi. Mieszkał najpierw w Nowym Jorku, a potem w Kalifornii i od razu poczuł się dobrze w tym otwartym społeczeństwie, które nie przywiązywało zbytnej wagi do dyplomów ani pochodzenia.

Zgodnie ze wskazówkami zawartymi w telegramie Matt znalazł w bibliotece opasły atlas. Stare, wspaniałe wydanie opatrzone pięknymi ilustracjami pieczołowicie oddzielonymi bibułą. Między sześćdziesiątą szóstą i sześćdziesiątą siódmą stronice wsunął – nie otwierając go – drugi telegram, po czym odłożył księgę na półkę.

Następnie udał się do garażu i pogrzebał w skrzynce na narzędzia. Znalazł w niej starą lutownicę, którą zabrał do mieszkania. Włączył ją na chwilę do prądu, potem wziął ostrożnie do ręki i zbliżył rozżarzoną końcówkę do blatu masywnego biurka Elliotta.

*

San Francisco, rok 2006

Elliott ma 60 lat

Była już późna noc, kiedy Elliott dojechał do mariny. Wracał z lotniska, z którego Angie odleciała ostatnim samolotem do Nowego Jorku. Otwierając drzwi swojego domu, poczuł się przybity i bardzo osamotniony. Zatopiony w myślach podszedł do oszklonej ściany gabinetu i w roztargnieniu patrzył na błyszczące w mroku światła portu. Dom był podobny do niego – smutny i lodowaty. Drżąc z zimna, rozcierał ręce dla rozgrzewki. Zbliżając się do grzejnika, zatrzymał się na chwilę. Na blacie jego biurka widniał topornie wypalony napis:

WIELKI ATLAS

STRONA 66

Zdumiony podszedł bliżej. Rano nie było tu jeszcze tego potwornego graffiti. A jednak wydawało się pokryte patyną czasu.

Kto mógł zabawić się w ten sposób i...?

Szybko znalazł odpowiedź na to pytanie. Po numerze z tatuażem ten młody palant próbował przesłać mu nową wiadomość. Należało zatem ją rozszyfrować.

Wielki atlas? Skojarzył dopiero po chwili. Jedyne atlas, jaki posiadał, był prezentem ofiarowanym przez matkę zaledwie kilka dni przed jej samobójstwem. Przechowywał go z pietyzmem na jednej z półek biblioteki, ale nigdy go nie otworzył. Podszedł do regałów i podstawił krzesło, żeby dosięgnąć książki.

Strona 66?

Niecierpliwie przerzucał kartki.

Czy to możliwe, żeby po tylu latach...

Bładoniebieska koperta wypadła na podłogę.

Telegram?

Czegoś takiego nie widział od wieków.

Podniósł kopertę i nie przyglądając się jej dłużej, drżącymi rękami oderwał brzegi.

W środku zobaczył kilka linijek napisanych na maszynie, które czekały trzydzieści lat, żeby ktoś je odczytał:

No i co? Zaskoczony?

Myśli pan, że może wszystko, prawda? Dlatego że znalazł pan sposób na podróżowanie w czasie tam i z powrotem, sądzi pan, że ma prawo wmieszać się w życie innych, przestraszyć ich, a potem odejść, nie troszcząc się o to, co będzie dalej?

Ale tak nie może być, stary...

Bo kiedy się dobrze zastanowić, to zna pan moją przyszłość, ale ja kontroluję pańską przeszłość. Pan nie może mi nic zrobić, za to konsekwencje moich czynów wpływają na pańskie życie.

Odwróciłem role i teraz ja dowodzę w tej grze.

Domagam się wyjaśnień i chcę otrzymać je natychmiast. Czekam na Pana.

Dziś wieczorem.

Przerażony tym, co przeczytał, Elliott odłożył telegram na biurko. Otworzył puszkę Pandory i najgorsze obawy właśnie się urzeczywistniały... Odczekał kilka sekund, zastanawiając się nad sytuacją, potem, zrezygnowany, chwycił flakonik, który zawsze nosił przy sobie, i zmusił się, by zażyć jedną pigułkę.

Na dworze błysnęło i rozległ się grzmot. Oszklona ściana salonu niczym lustro pokazała mu twarz najgorszego wroga – jego własne odbicie.

13

Spotkanie czwarte

Przechodzimy przez terażniejszość z zawiązanymi oczami. (...) Dopiero później, kiedy zdejmemy opaskę i spojrzymy w przeszłość, rozumiemy to, co przeżyliśmy.

Milan Kundera

Key West, Floryda, rok 1976

Godzina druga rano

Elliott ma 30 lat

Burza szalejąca nad Key West pozbawiła elektryczności wszystkich mieszkańców wyspy. Elliott nie mógł zasnąć. Starając się nie obudzić śpiącej obok niego Ileny, zapalił lampę naftową i postanowił zwiedzić siedzibę Ernesta Hemingwaya.

W świetle błyskawic dom zdawał się targany deszczem i wichurą, na podobieństwo statku zaskoczonego przez burzę. Kiedy Elliott skierował się ku głównym schodom, od potężnego grzmotu zadrżały wszystkie szyby. Dreszcz przebiegł mu po plecach i przez moment pomyślał, żeby zawrócić, ale tylko wzruszył ramionami.

Mimo wszystko miał pietra.

Znalazłszy się na górze, przeszedł po trzeszczącej podłodze i dotarł do gabinetu pana domu. Po cichu otworzył drzwi i wtedy coś z piskiem skoczyło mu na głowę.

Kot!

Kiedyś gdzieś przeczytał, że Hemingway uwielbiał koty i miał ich kilkadziesiąt. Dotknął ręką twarzy – zwierzak zadrapał go porządnie, przecinając pazurami policzek.

Zdecydowanie, ja i zwierzęta...

Postąpił kilka kroków do przodu i patrzył zachwycony na przedmioty należące do wielkiego pisarza: na jego starą maszynę do pisania, która towarzyszyła mu w Hiszpanii podczas wojny domowej, ceramikę podarowaną przez Picassa, kolekcję piór ze stalówką, groźną afrykańską maskę, mnóstwo wycinków z gazet i zdjęcia...

Pomieszczenie przesycone było magią. Trzeba wiedzieć, że dzieląc czas między łowienie ryb i picie, papcio Hemingway zdołał napisać w Key West kilka arcydzieł takich jak: *Pożegnanie z bronią* czy *Śniegi Kilimandżaro*.

Całkiem nieźle, pomyślał Elliott w chwili, gdy zapaliło się światło.

Zdmuchnął lampę i podszedł do starego gramofonu. Ostrożnie położył na nim pierwszą płytę, jaka wpadła mu w ręce, i po chwili w pokoju rozległy się dźwięki skrzypiec i gitary: Django Reinhardt i Stephane Grapelli – najlepsi jazzmani lat trzydziestych...

Nagle płyta zgrzytnęła, żarówki przygasły i pokój pograżył się ponownie w ciemnościach.

Ale mam szczęście, pomyślał, po jaką cholere zgasilem lampe?

Chciał ją zapalić, ale zapalniczkę zostawił w sypialni.

Teraz niczego już nie widział, oprócz strug deszczu spływających po szybach. Przez chwilę stał nieruchomo w ciemnościach, nie tracąc nadziei, że za moment może włączy światło.

Nagle poczuł czyjaś obecność, usłyszał oddech i jakiś metaliczny dźwięk.

– Kto tu jest? – spytał niepewnym głosem.

Zamiast otrzymać odpowiedź, tuż obok siebie zobaczył płomień zapalniczki. Rozpoznał błyszczące oczy swojego alter ego, spoglądające na niego w mroku.

– Żadasz wyjaśnień, chłoptasiu? Zaraz ci ich dostarczę...

*

Stary lekarz zapalił knot lampy naftowej, usiadł w skórzanym fotelu i odwrócił się w stronę Elliotta.

– Musi mi pan powiedzieć, co się przydarzy Ilenie! – krzyknął trzydziestolatek zapalczywym tonem właściwym młodemu człowiekowi.

– Lepiej usiądź i przestań się drzeć.

Zniecierpliwiony Elliott chcąc nie chcąc zajął miejsce po drugiej stronie biurka. Jego rozmówca pogrzebał w wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął z niej jakieś zdjęcie.

– Ma na imię Angie – wyjaśnił, podając fotografię. – Ma dwadzieścia lat i jest osobą, na której zależy mi najbardziej na świecie.

Elliott popatrzył uważnie na zdjęcie.

– Czy jej matką...

– Nie, jej matką nie jest Ilena – przerwał mu starszy pan, uprzedzając jego pytanie.

– Dlaczego?

– Dlatego że kiedy moja córka przyszła na świat, Ilena od dziesięciu lat nie żyła.

Elliott nawet nie mrugnął.

– Dlaczego miałbym panu wierzyć?

– Dlatego że nie mam żadnych powodów, by kłamać.

W tej sytuacji młody lekarz postanowił zadać pytanie, które go dręczyło:

– Zakładając, że to prawda, dlaczego twierdzi pan, że ja ją zabiję?

Siedzący naprzeciwko mężczyzna zdawał się ważyć każde słowo:

– Zabijesz Ilenę, ponieważ nie potrafisz jej kochać.

– Podobne bzdury słyszałem już wiele razy! – odparł z wściekłością Elliott, wstając.

– Kochasz ją, jakbyście mieli przed sobą całe życie... Tymczasem nie tak trzeba kochać Ilenę.

Na krótko Elliott przyjął ten argument, aby odrzucić go już po chwili. Jednak nie na tym polegał problem. Teraz potrzebował możliwie jak najwięcej informacji, a nie filozoficznych wywodów poświęconych miłości. Skierował zatem rozmowę na jedyny naprawdę interesujący go temat:

– W jaki sposób Ilena ma umrzeć?

– Ulegnie wypadkowi.

– Wypadkowi? Jakiemu? I kiedy?

– Co to, to nie! Nie mam zamiaru ci tego powiedzieć.

– A to dlaczego?

– Ponieważ nie chcę, żebyś ją uratował.

*

Elliott milczał przez kilka sekund, stojąc bez ruchu i wpatrując się w zasłone deszczu spływającego po szybie. Czuł, że dyskusja wymyka mu się spod kontroli, że przestaje rozumieć jej sens.

– Ależ okazja jest teraz albo nigdy... Znalazł pan sposób, żeby cofać się w czasie i chce pan pozwolić umrzeć kobiecie swojego życia?

– Nie wyobrażaj sobie, że przychodzi mi to łatwo! – zdenerwował się starszy pan i wałnął pięścią w stół. – Od trzydziestu lat nie myślę o niczym innym! Gdybym tylko potrafił cofnąć czas, gdybym mógł ją uratować, gdybym tak...

– W takim razie niech pan przestanie o tym myśleć i niech pan to zrobi!

– Nie!

– Dlaczego nie?

– Dlatego że gdybym uratował Ilenę, ty żyłbyś z nią nadal.

– No i co w związku z tym?

– To mianowicie, że nie spłodziłbyś Angie...

Elliott nie bardzo rozumiał.

– W czym problem? – spytał, wzruszając ramionami. – Miałbym inne dzieci...

– Inne dzieci? Ja mam gdzieś twoje inne dzieci! Ja nie chcę stracić swojej córki! Nie chcę świata bez Angie!

– Ja natomiast nie pozwolę umrzeć Ilenie – odparł Elliott zdecydowanym tonem.

Zacietrzewieni jak koguty podnieśli się jednocześnie. Stali teraz naprzeciw siebie gotowi rozegrać ostatnią rundę.

– Może wydaje ci się, że to ty prowadzisz w tej grze, bo jesteś młody, ale beze mnie nigdy się nie dowiesz, jak umrze Ilena i nie będziesz mógł nic zrobić, żeby ją uratować.

– W każdym razie, jeśli Ilena umrze, niech pan nie liczy na to, że zostanę ojcem pańskiej Angie!

– Kiedy nim zostaniesz, zrozumiesz mnie, Elliott. Nie opuszcza się własnego dziecka, nawet wtedy, gdy chce się uratować ukochaną kobietę...

Trwali tak przez dłuższą chwilę, patrząc sobie w oczy i twardo obstając przy swoim. Porozumienie, jakie zapanowało między nimi podczas poprzedniego spotkania, ustąpiło miejsca konfrontacji. Każdy był gotów walczyć do końca: jeden, aby ratować swoją kobietę, drugi – żeby nie stracić córki.

Kiedy dyskusja utknęła w martwym punkcie, starszy z mężczyzn zaproponował rozwiązanie:

– Jak daleko jesteś w stanie się posunąć, żeby uratować Ilenę?

– Tak daleko, jak będzie trzeba – odparł Elliott, nie spuszczać z tonu.

– Z czego jesteś gotów zrezygnować?

– Ze wszystkiego.

– W takim razie być może mam pewien pomysł...

*

Deszcz lał nadal.

Obaj mężczyźni usiedli w końcu obok siebie na ławeczce stojącej przy biurku. Przez okno znajdujące się za ich plecami do pokoju wpadały w regularnych odstępach błyski latarni Key West, której światło rzucało cienie na ścianę i podłogę.

– Chcesz uratować Ilenę i masz do tego prawo, ale będziesz mógł tego dokonać tylko wtedy, gdy zgodzisz się spełnić trzy warunki...

– Trzy warunki?

– Po pierwsze, nikomu nie powiesz o naszym spotkaniu. Przede wszystkim Ilenie, ale również Mattowi.

– Mam zaufanie do Matta – zaprotestował Elliott.

– Tu nie chodzi o zaufanie, bo w grę wchodzi niebezpieczeństwo. Posłuchaj, jestem przekonany, że popełniamy błąd, usiłując działać przeciw przeznaczeniu, i pewnego dnia być może drogo za to zapłacimy. Ja jestem gotów podjąć to ryzyko razem z tobą, pod warunkiem że nikogo w tę sprawę nie wtajemniczysz.

– A jaki jest drugi warunek?

– Jeśli uda się nam uratować Ilenę, będziesz musiał ją opuścić...

– Jak to opuścić? – spytał Elliott z coraz większym niedowierzaniem.

– Opuścisz ją i nigdy więcej jej nie zobaczysz. Ona pozostanie przy życiu, ale ty będziesz zmuszony postępować tak, jakby umarła.

Kiedy Elliott zrozumiał, co to oznacza, skamieniał z przerażenia. Chciał coś powiedzieć, lecz z otwartych ust nie wydostał się żaden dźwięk.

– Zdaję sobie sprawę, że proszę cię o coś okropnego – przyznał stary lekarz.

– Ciekaw jestem, jaki jest trzeci warunek – zdołał wykrztusić Elliott.

– Za dziewięć lat, dokładnie szóstego kwietnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego roku, na kongresie chirurgów w Weronie poznasz pewną kobietę, która się tobą zainteresuje. Odpowiesz na jej zaloty i spędzisz z nią weekend, w czasie którego zostanie poczęta moja córka. Właśnie tak będziesz musiał postąpić, bo to jedyny sposób, żeby jednocześnie uratować Ilenę i Angie.

Na zewnątrz ponownie rozległy się groźne grzmoty.

Ponieważ Elliott nie odpowiadał, tamten dodał:

– To cena, jaką trzeba zapłacić za to, że chcemy zmienić bieg wypadków. Możesz jednak odmówić.

Starszy pan wstał i zapiął płaszcz, jakby szykował się do wyjścia.

Elliott zrozumiał, że nie ma wyboru i że musi zgodzić się na ten układ. W ułamku sekundy ujrzał szczęśliwe chwile dopiero co spędzone z Ileną. Uświadomił sobie jednocześnie, że to szczęście wkrótce się skończy, a on musi przygotować się na trudne lata.

Kiedy jego alter ego zamierzał opuścić pokój, Elliott wyciągnął ku niemu rękę, chcąc go zatrzymać.

– Zgadzam się! – krzyknął.

Tamten odwrócił się i zanim zamknął za sobą drzwi, rzekł po prostu:

– Niedługo wrócę.

14

Spotkanie piąte

Wszystko, co ma się zdarzyć, zdarzy się, mimo wysiłków podjętych, by się nie zdarzyło. Wszystko, co ma się nie zdarzyć, nie zdarzy się, mimo wysiłków podjętych, by się zdarzyło.

Râmana Mahârshi

Zauważyłem, że nawet ludzie, którzy twierdzą, że wszystko jest przeznaczeniem i że niczego nie możemy zmienić, rozglądają się na boki, chcąc przejść przez ulicę.

Stephen Hawking

San Francisco, rok 1976

Elliott ma 30 lat

Październik,

listopad,

grudzień...

Trzy miesiące bez wieści z przyszłości!

Na pozór życie wróciło do normy. Elliott leczył chorych w szpitalu; Ilena troszczyła się o swoje orki; Matt nie spotkał się

ponownie z Tiffany, za to pracował teraz wydajnie na terenie winnicy, którą kupili razem z Elliottem.

Pomimo prób zmylenia tropów, Elliott żył w nieustannym napięciu, niepokojąc się najdrobniejszymi ruchami i gestami Ileny, czyhając bez przerwy na ponowne pojawienie się swojego drugiego ja.

Ale tamten się nie zjawiał...

Bywały dni, kiedy Elliottowi wydawało się, że wszystko to mu się przyśniło. Może te spotkania mu się przywidziały? Właściwie było to możliwe: stres powodował, że coraz więcej osób padało ofiarą *burn-out*, doznawało wypalenia zawodowego prowadzącego do depresji, a nawet do utraty poczucia rzeczywistości. Być może on także zapadł na tę chorobę. Może wszystko wróciło do normy i wkrótce ten epizod będzie już tylko złym wspomnieniem?

Gorąco pragnął w to wierzyć...

*

Zima na dobre zagościła w San Francisco, spowijając miasto chłodem i szarugą rozświetlaną jedynie iluminacją z okazji świąt Bożego Narodzenia.

W ten wigilijny poranek Elliott przyszedł do szpitala w dobrym humorze. To był jego ostatni dyżur przed urlopem. Ilena miała przylecieć wieczorem, a nazajutrz zamierzali wyjechać do Honolulu, żeby spędzić beztroski tydzień w cieniu palm kokosowych.

Dzień nie wstał jeszcze na dobre, kiedy przed szpital zajechała karetka na sygnale. Przywiozła ciężko poparzoną kobietę.

Wypadek zdarzył się niecałe pół godziny wcześniej, kiedy strażacy zostali wezwani do niewielkiego pożaru na Haight Ashbury. Płonął stary, rozwalający się budynek zamieszkiwany czasem nielegalnie przez ćpunów. Około piątej nad ranem, w najgorszej

porze heroinowego odjazdu, pewna młoda kobieta wylała na siebie kanister benzyny i podpaliła się.

Nazywała się Emily Duncan, miała dwadzieścia lat i zaledwie cztery godziny życia przed sobą.

*

Na ostrym dyżurze potrzebny był chirurg, więc na pomoc natychmiast wezwano Elliotta. Kiedy pochylił się nad pacjentką, na widok jej obrażeń doznał gwałtownego szoku.

Całe ciało dziewczyny pokrywały rozległe rany oparzeniowe trzeciego stopnia, które zniekształciły nogi, plecy i klatkę piersiową... Spłonęły prawie wszystkie włosy, a twarz była niemal niewidoczna. Najgorzej przedstawiały się obrażenia klatki piersiowej. Ogromna, ściągająca się rana ścisnęła ją do tego stopnia, że groziła uduszeniem.

Żeby ułatwić dziewczynie oddychanie, Elliott zdecydował się zrobić dwa poziome nacięcia, ale zbliżając skalpel, poczuł, że jego ręka się cofa. Starając się opanować, na moment zamknął oczy. W końcu doświadczenie wzięło górę nad emocjami, i mógł bez drżenia dłoni przystąpić do zabiegu.

Przez większą część przedpołudnia cała ekipa krzątała się wokół Emily, robiąc wszystko co możliwe, aby zapewnić jej jak najlepsze warunki i uśmierzyć potworny ból.

Jednak wkrótce okazało się, że nie będzie można jej uratować. Rany były zbyt rozległe, wydolność oddechowa za słaba, a nerki przestały funkcjonować. Nie pozostało nic innego, jak ustabilizować oddech i czekać...

*

Wczesnym popołudniem, kiedy Elliott otworzył drzwi sali, w której położono Emily, znalazł ją zawiniętą w bandażę i podłączoną do kilku kroplówek. Zdziwił go spokój panujący w pomieszczeniu,

podobny do żałobnego czuwania zakłócanego jedynie odgłosem bicia serca dochodzącym z aparatury.

Elliott podszedł do łóżka i popatrzył na dziewczynę. Ciśnienie było niepokojące, pomimo ustąpienia działania heroiny i powrotu świadomości. Odzyskała ją na tyle, by zrozumieć, że nie ma żadnych szans...

Przysunął taboret i usiadł cicho przy nieznajomej, dla której nie mógł już nic zrobić. Nie zdołano ustalić, czy ma jakąś rodzinę lub choćby jedną bliską osobę, która mogłaby towarzyszyć jej w ostatnich godzinach beznadziejnej walki ze śmiercią. Elliott wolałby być w innym miejscu, ale nie uciekał przed wzrokiem dziewczyny rozpaczliwie szukającym jego oczu. Czytał w nim przerażenie, ale również pytania, na które nie znajdował odpowiedzi...

W pewnym momencie spróbowała coś do niego wyszeptać. Pochylił się nad nią, podniósł maskę tlenową i wydało mu się, że słyszy „boli mnie”. Żeby ulżyć jej cierpieniu postanowił podwoić dawkę morfiny. Już miał ją wstrzyknąć, kiedy zrozumiał, że Emily nie powiedziała „boli mnie”, tylko „boję się”.

Nie wiedział, jak zareagować. Powiedzieć, że on także się boi i przykro mu, że nie może jej pomóc? Że w dniu takim jak ten myśli, że życie nie ma żadnego sensu?

Pragnął jednocześnie wziąć ją w objęcia i wykrzyzczyć swoje oburzenie. Dlaczego to zrobiła? Z jakiego powodu znalazła się w tym obrzydliwym squacie, naćpana do granic wytrzymałości? Jakie cierpienie mogło doprowadzić ją do tego, że oblała się benzyną i podpaliła? Przecież miała dopiero dwadzieścia lat!

Chciałby jej to wszystko wykrzyzczyć, ale lekarz nie ma prawa tak postępować...

Zatem pozostał przy niej, okazując całe współczucie, na jakie było go stać. Nikt poza nim nie mógł dać jej odrobiny ciepła. W

wigilię Bożego Narodzenia połowa personelu szpitala była nieobecna, a system przewidywał leczenie, a nie dotrzymywanie towarzystwa.

Emily oddychała coraz słabiej, jej ciałem wstrząsały dreszcze.

Elliott wiedział, że mimo dużej dawki morfiny potwornie cierpi. Wiedział również, że nigdy nie zapomni jej oczu wpatrujących się w niego rozpaczliwie.

Mogłoby się здаwać, że w tym zawodzie widziało się już wszystko, ale to nieprawda. Wydaje się, że zna się najgorsze, ale to co najgorsze jest nadal przed nami. A zdarza się, że po najgorszym następuje jeszcze gorsze.

*

Tak minęła jedna godzina, a po niej druga. O piętnastej Elliott kończył dyżur.

– Wróć jeszcze do ciebie – obiecał Emily.

Wyszedł na korytarz i ściągnął windę. Musiał powiadomić Ilenę, że nie będzie mógł przyjechać po nią na lotnisko i że prawdopodobnie pojawi się w domu dopiero po północy.

W kabinie telefonicznej wybrał numer Ocean World w nadziei, że jeszcze Ilenę zastanie. Poprosił centralę o połączenie z jej biurem.

– Halo? – odezwał się głos Ileny.

– Cześć... – zaczął, po czym natychmiast zdał sobie sprawę, że mówi w próżnię.

Odwrócił się: ktoś położył dłoń na widełkach i przerwał połączenie.

Jego drugie ja.

– To już dzisiaj... – oznajmił starszy mężczyzna.

– Co dzisiaj?

– Dzisiaj Ilena ma umrzeć.

*

Wyszli na taras znajdujący się na dachu szpitala. W różnych okresach życia każdy z nich przychodził tu na papierosa, nie narażając się na pełne dezaprobaty spojrzenia kolegów. Przynajmniej tutaj mieli święty spokój.

Podczas gdy Elliott krążył niecierpliwie tam i z powrotem, chcąc szybko usłyszeć coś więcej, jego towarzysz położył mu dłoń na ramieniu.

– Nie powinieneś do niej dzwonić.

– Dlaczego?

– Bo ona nie zrozumie.

– Czego?

– Tego, że ją zaniedbujesz, żeby zostać przy jakiejś pacjentce, mimo że skończyłeś dyżur. Nie widzieliście się od trzech tygodni, ona oczekuje, że przyjedziesz po nią na lotnisko i że spędzicie ten wieczór razem.

Elliott próbował się tłumaczyć:

– Ale ta dziewczyna... Zdarzyło się jej coś strasznego. Ona nie ma nikogo i...

– Wiem – przerwał mu starszy mężczyzna. – Trzydzieści lat temu czuwałem przy niej przez całą noc i nigdy tego nie zapomniałem.

Jego głos drżał ze wzruszenia.

– Jednak rano, gdy wychodziłem ze szpitala, czekała na mnie straszna wiadomość: kobieta, którą kochałem umarła.

Elliott rozłożył ręce na znak zdziwienia.

– Jaki związek ma ta pacjentka ze śmiercią Ileny?

– Wszystko ci opowiem – obiecał starszy mężczyzna. – Przedtem jednak chcę mieć pewność, że nasza umowa nadal obowiązuje.

– Oczywiście – zapewnił go Elliott.

– A zatem dowiedz się, co się zdarzy, jeśli do niej zadzwonisz.

I stary lekarz zaczął swoją opowieść. Mówił długo, był bardzo wzburzony, a w jego głosie brzmiał żal.

Kiedy Elliott zamknął oczy, żeby wysłuchać go w skupieniu, pod powiekami przesuwaly mu się obrazy przypominające sceny z filmu.

*

Ilena: Halo?

Elliott: Cześć, to ja.

Ilena: Nie nalegaj, i tak nie dowiesz się, co ci kupiłam. Zobaczysz prezent dziś wieczorem.

Elliott: Posłuchaj, kochanie, jest pewien problem...

Ilena: Co takiego ci się przytrafiło?

Elliott: Nie będę mógł przyjechać po ciebie na lotnisko...

Ilena: Byłam pewna, że kończysz dyżur o trzeciej.

Elliott: To prawda, właśnie go skończyłem, tylko że...

Ilena: Tylko że co?

Elliott: Muszę zostać przy pacjentce. To dziewczyna, która dziś rano w jednym ze squatów próbowała popełnić samobójstwo...

Ilena: Jakaś narkomanka?

Elliott: A co to ma do rzeczy?

Ilena: Jeśli dobrze zrozumiałam, chcesz mi powiedzieć, że spędzisz wigilię Bożego Narodzenia w szpitalu z jakąś ćpunką, którą znasz od paru godzin?

Elliott: Taką mam pracę.

Ilena: Twoja praca! Myślisz, że tylko ty pracujesz?

Elliott: Posłuchaj...

Ilena: Nie mam już siły na ciebie czekać, Elliott.

Elliott: Dlaczego reagujesz w taki sposób?

Ilena: Bo czekam na ciebie już dziesięć lat, ale ty najwidoczniej tego nie zauważyłeś.

Elliott: Porozmawiamy o tym jutro rano...

Ilena: Nie, Elliott. Nie przyjadę do San Francisco. Zadzwoń do mnie, kiedy będziesz pewien, że chcesz ze mną spędzić resztę życia.

Elliott stał przed kabiną dobrych kilka minut. Trzykrotnie zdejmował słuchawkę z widełek, gotów zadzwonić do Ileny, żeby ją przeprosić i spróbować jakoś załagodzić sytuację. Jednak nie zrobił tego, ponieważ nie potrafił opuścić biednej dziewczyny leżącej w agonii dwa piętra wyżej.

Ilena czekała przy telefonie pół godziny, zanim zrozumiała, że Elliott nie zadzwoni. Z wściekłości podarła i wyrzuciła do kosza bilet lotniczy. W koszu wylądował również prezent. Elliott nigdy nie zobaczy zegarka ze swoimi inicjałami.

Wyszła z biura doszczętnie zdruzgotana i zaszyła się w ogródku należącym do parku wodnego, gdzie wyplakała całe morze łez skulona pośród flamingów i aligatorów, które zupełnie nie przejmowały się jej zmartwieniem.

Następnie postanowiła odwołać urlop i resztę popołudnia spędziła jak zwykle w pracy. Było już bardzo późno, kiedy kończąc swój obchód, zajrzała do ulubionej orki.

– Hej, Anuszka! Z tobą też nie jest najlepiej, co? Od kilku dni najstarsza w Ocean World orka miała depresję: odmawiała przyjmowania jedzenia, nie chciała uczestniczyć w pokazach. Jej płetwa zwiotczała, a łagodność zamieniła się w agresję w stosunku do opiekunów i pozostałych orek, z którymi dzieliła basen. Przyczyny takiego stanu nie trzeba było daleko szukać – rozdzielono ją z córką, ośmioletnią Ericą, którą zabrano do Europy, gdzie miała uczestniczyć w programie rozmnażania walen. Ericę wysłano w dwudziestogodzinną podróż samolotem, w metalowej skrzyni, bez żadnego opiekuna!

Jakiś obłąd...

Ilena robiła, co mogła, żeby przeciwstawić się podróży. Podkreślała katastrofalne skutki tej decyzji, tłumaczyła, że zwierzęta żyjące w tym samym stadzie w warunkach naturalnych nigdy się nie rozdzielają. Jednak powody finansowe były dla dyrekcji ważniejsze od jej argumentów. Poza tym, uprzedzając zapowiadany zakaz połowu walen, parki wodne dążyły do rozmnażania tych zwierząt w niewoli.

– Come on, baby!

Ilena pochyliła się nad lustrem wody, żeby zachęcić orkę do podpłynięcia do brzegu, ale Anuszka nie odpowiedziała na jej wołanie. Zdezorientowana, pływała w kółko, wydając z siebie żałosne gwizdy.

Ilena podejrzewała obniżenie odporności zwierzęcia. Wbrew pozorom, te olbrzymy były wrażliwe i podatne na zakażenia bakteryjne. Infekcje nerek i płuc zdarzały się nagminnie. Joachim, dominujący samiec, przed sześcioma miesiącami zmarł nagle na

sepsę. Tak czasami bywa, że te wielkie zwierzęta giną zaatakowane przez maleńkie mikroby.

Ilena coraz gorzej znosiła niewolę orki i delfinów. Zwierzęta trzymane w oceanariach – uwięzione między czterema ścianami basenu, pływające w wodzie pełnej środków chemicznych, karmione witaminami i antybiotykami – naprawdę nie miały łatwego życia. Czy pokazy z ich udziałem, skądinąd imponujące, nie były swoistą obrazą dla przedstawicieli gatunku odznaczającego się inteligencją podobną do ludzkiej?

Nagle, nie wiadomo z jakiego powodu, Anuszka zaczęła szarżować i walić głową w metalową ścianę basenu.

– Przestań! – krzyknęła Ilena, zanurzając w wodzie tyczkę, za pomocą której starała się zawrócić zwierzę.

Nieraz zdarzyło się jej widzieć orki mające samobójcze skłonności, więc teraz zrozumiała, że Anuszka sama postanowiła zadać sobie rany. Mocno tym zaniepokojona, wrzuciła do wody kilka ryb, chcąc odwieść ją od tego zamiaru.

– Spokojnie! Tylko spokojnie, moja ślicznotko!

Ataki zwierzęcia stopniowo osłabły i wydawało się, że Anuszka się uspokoiła.

– Teraz dobrze – przemawiała łagodnie Ilena. Jednak jej spokój trwał do momentu, kiedy zobaczyła strużkę krwi rozplywającą się na powierzchni wody.

– Tylko nie to!

Ilena pochyliła się ponownie nad basenem. Na pierwszy rzut oka oceniła, że rana musi znajdować się gdzieś na szczęce zwierzęcia. Anuszka tyle razy uderzała głową, aż wreszcie się zraniła!

Ilena powinna była pamiętać o najważniejszej zasadzie opiekunów: nie zbliżać się do orki, kiedy przejawia agresję, i

przebywać z nią w wodzie tylko wtedy, gdy ma się pewność, że będzie współpracować.

Powinna była włączyć sygnał alarmowy.

Trzeba było zawołać kolegów.

Trzeba było...

Jednak po niedawnej sprzeczce z Elliottem Ilena zapomniała o środkach ostrożności.

Wskoczyła do wody w chwili, gdy Anuszka podjęła swoją szaleńczą rundę.

Widząc Ilenę płynącą w jej kierunku, rzuciła się na nią niespodziewanie, otwierając paszczę, jakby zamierzała ją złapać i pociągnąć na dno basenu.

Ilena próbowała się bronić, ale orka była silniejsza. Za każdym razem, kiedy kobiecie udawało się wypłynąć na powierzchnię, zwierzę wciągało ją pod wodę, nie pozwalając zaczerpnąć powietrza.

Ilena była doskonałą pływaczką i mogła przez jakiś czas przebywać pod wodą bez oddechu, ale nie można długo walczyć z czterotonowym olbrzymem mającym sześć metrów długości...

Tymczasem, kiedy już prawie przestała wierzyć w możliwość ratunku, udało jej się wydostać na powierzchnię i zaczerpnąć powietrza. Rozpaczliwie ruszając rękoma, zaczęła płynąć do brzegu basenu. Była tuż-tuż, kiedy...

Odwróciła się.

I wtedy, w ułamku sekundy, przerażona zobaczyła, jak olbrzymia boczna płetwa orki spada na nią z błyskawiczną szybkością.

Uderzenie było tak potężne, a następujący po nim ból tak silny, że niemal od razu straciła przytomność. Już nie walczyła i dała się wciągnąć na dno zbiornika. W ostatnich momentach świadomości, w chwili gdy jej płuca wypełniały się słoną wodą, zdążyła jeszcze zadać sobie pytanie: dlaczego Anuszka, którą opiekowała się od wielu lat, zareagowała tak gwałtownie. Nie znalazła jednak odpowiedzi. Przyczyną takiego zachowania zwierzęcia było bez wątpienia zbyt długie przebywanie w zamkniętym basenie.

Ostatnia myśl pobiegła w stronę ukochanego. Zawsze sądziła, że zestarzeją się razem, a tymczasem ona odchodziła pierwsza, w wieku niespełna trzydziestu lat.

Widocznie nie można mieć wpływu na swoje przeznaczenie. Ono za nich zadecydowało.

Ogarnięta paniką i zanurzona w ciemności, poczuła uścisk śmierci. Czując, że nieodwołalnie przechodzi na drugą stronę, pożałowała, że rozstali się poróżnieni i że ostatni obraz, jaki Elliott zachowa w pamięci, pozostanie zabarwiony goryczą i urazą.

*

Lodowate podmuchy wiatru przetaczały się po dachu szpitala.

Elliott otworzył oczy w chwili, gdy przerażająca opowieść jego alter ego dobiegła końca. Miał wrażenie, że przebudził się z koszmarne snu.

Obaj milczeli. Jeden przejęty tym, co właśnie usłyszał, drugi z powodu emocji wywołanych opowiadaniem.

Potem Elliott otrząsnął się i po chwili wahania otworzył usta. Spodziewając się protestów z jego strony, stary lekarz wyjął z kieszeni kartkę.

– To na wypadek, gdybyś mi nie wierzył... – zaczął.

Elliott wyrwał mu z ręki kawałek papieru. Był to artykuł wycięty ze starego numeru „Miami Herald”.

Mimo iż skrawek gazety pożółkł ze starości, odczytał na nim jutrzejszą datę: 25 grudnia 1976 roku!

Trzymając kartkę w drżących dłoniach, Elliott przebiegł oczami tekst opatrzony dużą fotografią Ileny.

Młoda lekarka weterynarii zabita przez orkę!

Straszliwy wypadek zdarzył się ostatniej nocy w Ocean World w Orlando. Z nieznanych powodów orka zabójczynie zaatakowała swoją opiekunkę.

W ciągu zaledwie paru minut zwierzę utopiło młodą kobietę, która starała się jedynie przyjść mu z pomocą. Ofiarą napaści była Ilena Cruz, lekarz weterynarii pracujący w ośrodku.

Mimo iż okoliczności wypadku nie są jeszcze dobrze znane, podejrzewa się, że młoda lekarka nie zachowała wszystkich środków ostrożności. Do czasu uzyskania dokładniejszych informacji dyrekcja delfinarium odmówiła komentarzy.

Kiedy Elliott podniósł oczy znad gazety, zobaczył tylko, jak stary lekarz oddala się we mgle.

– Teraz kolej na twój ruch! – rzucił na odchodne, zanim otworzył metalowe drzwi i zniknął.

Wytracony z równowagi, zeszywniały z zimna i niezdolny do podjęcia jakiegokolwiek decyzji Elliott stał na dachu jeszcze przez kilka sekund. Potem przestał zadawać sobie pytania, na które było już za późno. Teraz należało przystąpić do działania.

Pospiesznie opuścił taras i zbiegł schodami, żeby czym prędzej dotrzeć do telefonu.

Nieważne, co stanie się jutro.

Nieważna cena, jaką przyjdzie mu zapłacić.

Uratuje kobietę, którą kocha.

Nic poza tym nie ma znaczenia.

*

Jak burza wpadł do holu, potrafił kilku kolegów, chwycił słuchawkę telefonu i wybrał numer Ileny.

Sygnał... Po nim następne... Sekundy zdawały się minutami, aż wreszcie usłyszał jej głos:

Ilena: Halo?

Elliott: Cześć, to ja.

Ilena: Nie nalegaj, i tak nie dowiesz się, co ci kupiłam. Zobaczysz prezent dziś wieczorem!

Elliott: Posłuchaj, kochanie...

Ilena: Co się z tobą dzieje?

Elliott: Nic takiego... Przyjadę po ciebie na lotnisko, tak jak ustaliliśmy.

Ilena: Nie mogę się już doczekać...

Elliott: Ja też nie.

Ilena: Masz jakiś dziwny głos. Jesteś pewien, że z tobą wszystko w porządku?

Elliott: Teraz już tak.

*

Kiedy Elliott odwiesił słuchawkę, nie był w stanie pójść do sali i popatrzeć w oczy Emily, której agonia nadal trwała. Poprosił tylko jedną z dyżurujących pielęgniarek, żeby zaglądała do niej regularnie. Następnie włożył płaszcz i wyszedł na parking.

Czy to, co zrobił, miało jakiś sens? Czy naprawdę zdoła zmienić przyszłość swoją i Ileny? Czy wystarczy wypowiedzieć to zdanie zamiast tamtego, żeby zmienić przeznaczenie?

Wszystkie te pytania kłębiły mu się w głowie, kiedy szedł w stronę samochodu. Machinalnie zapalił papierosa i żeby ogrzać ręce, włożył je do kieszeni. W jednej z nich wyczuł, wepchnięty głęboko, artykuł z gazety, i wtedy coś sobie uświadomił. Gdyby zmienił przyszłość, Ilena nie uległaby wypadkowi, żaden dziennikarz nie napisałby tego artykułu, a zatem nie byłoby go!

Zaintrygowany, wyjął z kieszeni poźółkłą kartkę, rozłożył ją i obejrzał ze wszystkich stron. Jakkolwiek dziwne mogło się to wydawać, treść nie była taka sama. Jak za sprawą jakiejś magii zdjęcie Ileny znikło, artykuł zaś nie donosił o jej śmierci, ale o innym zdarzeniu.

Ocean World: śmierć jednej z orki

Anuszka, najstarsza orka w Ocean World w Orlando, zmarła tej nocy wskutek ran szczęki odniesionych w wyniku zderzenia z metalową ścianą basenu.

Wszystko zdaje się wskazywać, że zwierzę zadało je sobie umyślnie.

Dyrekcja delfinarium przypuszcza, że mogła to być rozpaczliwa reakcja orki na rozdzielenie z

córką, która została sprzedana do innego parku wodnego.

Pomimo to, w dniu dzisiejszym Ocean World będzie jak zwykle otwarty dla zwiedzających.

Nikt z personelu nie został ranny.

15

Spotkanie szóste

*Był moją północą, moim południem, moim
wschodem i moim zachodem...*

Wystan Hugh Auden

San Francisco, rok 1976

Elliott ma 30 lat

Boże Narodzenie.

W ten świąteczny ranek 25 grudnia łagodny kalifornijski klimat ustąpił miejsca szarudze i chładowi. San Francisco tak bardzo przypomina dziś Nowy Jork, aż wydaje się, że za chwilę zaczniesz padać śnieg.

Cichy dom spowity jest bladym światłem poranka. Ilena śpi spokojnie wtulona w zagłębienie ramienia Elliotta. Tymczasem on nie zmrużył oczu przez całą noc i teraz wygląda jak ekshumowany.

Elliott odwraca głowę w stronę Ileny, całuje ją leciutko, żeby jej nie obudzić, i przez kilka minut wpatruje się w nią, świadomy, że są to ich ostatnie chwile. Raz jeszcze wdycha zapach włosów dziewczyny, przesuwając wargami po jedwabistej skórze i wsłuchuje się w bicie serca.

Kiedy zauważa własne łyż spadające na prześcieradło, wkłada sweter i spodnie, po czym wychodzi na palcach z sypialni.

Nadal nie może uwierzyć, że będzie musiał się rozstać z ukochaną. Nie zapomniał o pakcie zawartym ze swoim alter ego, ale teraz, gdy Ilena jest uratowana, co stoi na przeszkodzie, żeby był z nią nadal? Jakie środki represyjne może zastosować tamten, żeby zmusić go do dotrzymania warunków umowy?

W kuchni Elliott ciężko siada na krześle. Pod oknem stoją ich walizki gotowe do podróży na Hawaje, której żadne z nich nie odbędzie, bo on dobrze wie, że opuści Ilenę. Czuje jakiś wewnętrzny przymus, jakiś głos mówi mu, co ma robić. Jest jak marionetka, której sznurkami porusza zza kulis nieznana siła.

W szklanym blacie stołu widzi odbicie swojej twarzy, wychudłej i brzydkiej. Czuje w sobie pustkę i rozbicie, jakby stracił do siebie całe zaufanie, zgubił wszystkie punkty orientacyjne dotyczące funkcjonowania świata.

Od czasu kiedy spotkał swoje drugie ja, ma wrażenie, że jego życie nie podlega żadnym prawom. Zdany na łaskę nieznanego nie może już spać ani jeść, tylko bez przerwy zadręcza się pytaniami, na które nie znajduje odpowiedzi. Dlaczego coś takiego zdarza się właśnie jemu? Czy to spotkanie jest szansą czy przekleństwem? Czy nadal jest przy zdrowych zmysłach? Na domiar złego nie może o tym nikomu powiedzieć.

Teraz słyszy hałas. Najpierw trzeszczy parkiet w sypialni, a wkrótce potem w kuchni zjawia się Ilena ubrana tylko w majteczki i krótką koszulkę przewiazaną w talii.

Uśmiecha się do niego bez słowa, nucąc melodię jednej z piosenek Abby. Elliott wie, że po raz ostatni widzi ją tak szczęśliwą. Jest piękna, wręcz nieprzepisowo, i oboje są w sobie zakochani bardziej niż kiedykolwiek.

Tymczasem za kilka sekund wszystko to się zawali...

*

Ilena podchodzi do Elliotta, zarzuca mu ramiona na szyję, ale natychmiast orientuje się, że coś jest nie tak.

- Co się dzieje?
- Musimy porozmawiać. Już dłużej nie mogę grać tej komedii.
- Jakiej znowu komedii?
- Z udziałem nas dwojga...
- O... o czym ty mówisz?
- Poznałem inną kobietę.

No i po wszystkim! Zajęło mu to zaledwie dwie sekundy. Dwie sekundy, żeby zachwiać budowanym przez dziesięć lat uczuciem. Dwie sekundy, żeby postawić między nimi mur...

Ilena przeciera oczy, siada przed Elliottem, przez chwilę myśli, że to jakiś kiepski żart albo że jeszcze śpi lub może źle zrozumiała...

- Żartujesz, prawda?
- Czy wyglądam na kogoś, kto żartuje?

Patrzy na niego zdezorientowana. Widzi czerwone oczy i ściągnięte rysy twarzy. Od wielu miesięcy wyczuwała, że coś go dręczy: jakiś strach czy niepokój. Więc pyta:

- Kim jest ta kobieta?
- Nie znasz jej, to pielęgniarka pełniąca ze mną dyżury we Free Clinic.

W dalszym ciągu mu nie wierzy. To na pewno sen. Zresztą nie po raz pierwszy śni się jej ten koszmar. Na szczęście zaraz się skończy. Ale pyta dalej:

- Od kiedy się z nią spotykasz?
- Od paru miesięcy.

Teraz nie wie, co powiedzieć. Zdaje sobie tylko sprawę, że to, co budowała od dziesięciu lat, nagle legło w gruzach. Tymczasem Elliott kontynuuje dzieło zniszczenia:

– Między nami od jakiegoś czasu się nie układa – stwierdza.

– Nigdy mi o tym nie mówiłeś...

– Nie wiedziałem, jak ci o tym powiedzieć... Staralem się dać ci stopniowo do zrozumienia, że...

Chciałaby zatkać sobie uszy, żeby tego nie słyszeć. Jeszcze ma nadzieję, że ta rozmowa zakończy się tylko przyznaniem się do zdrady.

Ale Elliott postanowił skończyć ją w inny sposób:

– Musimy się rozstać, Ileno.

Chciałaby coś odpowiedzieć, ale to wszystko jest zbyt bolesne. Nie mówi więc nic, czując łzy spływające po policzkach.

– W końcu przecież się nie pobraliśmy, nie mamy dzieci... – ciągnie Elliott.

Chciałaby, żeby przestał wreszcie mówić, bo każde jego słowo jest jak sztylet wbijany w serce i długo tego nie wytrzyma. Zapomina jednak o dumie i wyrzuca z siebie jednym tchem:

– Ale ty jesteś dla mnie wszystkim, Elliott, moim kochankiem, przyjacielem, moją jedyną rodziną...

Podchodzi do niego, by rozplakać się w jego objęciach, ale on się cofa. Wtedy dziewczyna patrzy na niego wzrokiem, który rozdziera mu serce. Pewien, że nic więcej nie może dodać, nagle otwiera usta i udaje mu się wykrztusić:

– Widzę, że nic nie rozumiesz... Ja cię już nie kocham, Ileno.

*

To świąteczny poranek i jest jeszcze bardzo wcześnie.

Po dłuższym niż zwykle wylegiwaniu się w łóżku San Francisco budzi się powoli. W tym zawsze ruchliwym mieście ulice są dziś prawie puste, a większość sklepów zamknięta.

W wielu domach obchodzi się święta: dzieci już wstały i szybko otwierają paczki z prezentami, słysząc muzykę i okrzyki radości. Gdzie indziej wprost przeciwnie, to dzień trudny do przeżycia. Dzień, w którym samotność ciąży bardziej niż kiedykolwiek. W pobliżu Union Square bezdomni tłoczą się na parkowych ławkach. W Lenox Hospital, po niespokojnej nocy, pewna dwudziestoletnia dziewczyna umiera z powodu oparzeń. A gdzieś w marinie pewna para właśnie się rozstała...

Pod oszklony dom podjeżdża taksówka, zabierając Ilenę na lotnisko.

Również Elliott opuszcza swoją dzielnicę. Doszczętnie zdruzgotany jedzie przez miasto i o mały włos nie powoduje wypadku. W chińskiej dzielnicy sklepy są otwarte. Elliott parkuje wóz, wchodzi do pierwszej z brzegu kawiarni i rusza prosto do toalety.

Kiedy wymiotuje pochylony nad miską klozetową, nagle czuje za sobą czyjaś obecność. Nauczył się już ją rozpoznawać i obawiać się jej...

Odwraca się gwałtownie i wymierza potężny cios pięścią, który odrzuca tamtego na ścianę.

– To pan jest wszystkiemu winien!

Stary lekarz, ogłuszony, osuwa się na podłogę. Wstaje z trudem, łapie oddech, ale Elliott nie przestaje krzyczeć:

– Ona odeszła! To wyłącznie pana wina!

Dotknięty do żywego starszy mężczyzna rzuca się na młodszego, chwytając go za kark i wali kolanem w podbrzusze.

Potem obaj stoją obok siebie i wyrównują oddech, dysząc ciężko ze złości i wzajemnej urazy.

Eliott pierwszy przerywa ciszę i wyrzuca z siebie, szlochając:

– Ona była całym moim życiem...

– Wiem o tym doskonale... Dlatego właśnie ją uratowałeś.

W geście pocieszenia starszy pan kładzie mu dłoń na ramieniu i dodaje:

– Gdyby nie ty, umarłaby.

Eliott podnosi głowę i patrzy na swoje drugie ja stojące naprzeciw. To dziwne, ale nadal nie potrafi traktować go inaczej niż jak kogoś zupełnie obcego. W przeciwieństwie do tego mężczyzny, w którym z trudem rozpoznaje samego siebie, przeżył dopiero połowę życia. Tamten ma nad nim trzydzieści lat przewagi: trzydzieści lat doświadczeń, spotkań i różnych znajomości...

Może również trzydzieści lat przykrości i wyrzutów sumienia?

Przeczuwa już, że jego podróżnik w czasie zamierza go opuścić. Poznaje to charakterystyczne drżenie i krwawienie z nosa.

I faktycznie, stary lekarz chwytą papierową chusteczkę, by zatamować krwotok. Tym razem chciałby zostać dłużej, ponieważ zdaje sobie sprawę, że jego młodsze wydanie czekają trudne lata. Żałuje, że nie potrafił znaleźć właściwych słów pocieszenia, choć dobrze wie, że słowa są niczym w zetknięciu z cierpieniem i przeciwnościami losu.

Żałuje zwłaszcza, że każde z ich spotkań kończyło się starciem i że nie zdołali się zrozumieć, a ich relacja tak bardzo przypomina pełną zatwardziałego uporą walkę ojca z synem.

Nie chce odejść, nie dawszy mu czegoś innego poza kopem w genitalia. Przeświadczony, że ostatni raz widzi siebie samego w tym

wieku, i przypominając sobie smutek, jaki wówczas przeżywał, raz jeszcze podejmuje próbę pocieszenia:

– Przynajmniej będziesz miał świadomość, że Ilena gdzieś żyje. Bo ja przeszedłem przez te wszystkie lata, mając jej śmierć na sumieniu. A uwierz mi, że to zasadnicza różnica...

– Odpierdol się!

Oto jedyna odpowiedź, jaką otrzymał.

Widzę, że niełatwo jest rozmawiać z samym sobą, pomyślał, przenikając w labirynt czasu.

16

*Ludzie nie dysponują wystarczającą ilością ... czasu, żeby coś poznać. Kupują gotowe wyroby u sprzedawców, a ponieważ nie ma sklepów z przyjaciółmi, ludzie już ich utracili.**

Antoine de Saint-Exupéry

San Francisco, rok 1976

Elliott ma 30 lat

Elliott wyszedł z toalety z sercem przepelnionym wściekłością.

Czym sobie na to wszystko zasłużył?

Od kiedy rozstał się z Ileną, nie mógł zapomnieć spojrzenia, jakie mu rzuciła w chwili, gdy oznajmił, że już jej nie kocha. Widział, że jest zrozpaczona, a mimo to postanowił ją upokorzyć.

Zrobił to oczywiście dla jej dobra, ale przecież ona nigdy się o tym nie dowie! I resztę życia spędzi, nienawidząc go...

Zresztą podobne uczucie żywił teraz do samego siebie: nienawidził siebie do tego stopnia, że wolałby nie być sobą.

Przygnębiony usiadł przy barze i zamówił kieliszek ryżowej wódki, którą wypił jednym haustem. Pragnął śmierci. Zapalił papierosa, zamówił drugi kieliszek, a potem trzeci.

* Antoine de Saint-Exupéry, *Mały Książę*; tłum. E. Łozińska-Małkiewicz, ALGO, Toruń 1997.

Postąpi tak samo jak kiedyś jego ojciec – upije się tak, że nie będzie mógł wstać o własnych siłach!

Zazwyczaj Elliott pił niewiele, jeden kieliszek przy różnych okazjach, najczęściej, żeby sprawić przyjemność Mattowi, wytrawnemu znawcy win. Jako syn alkoholika, był naocznym świadkiem spustoszenia wywołanego nadmiarem alkoholu, a szczególnie dobrze pamiętał burdy wszczynane przez ojca, który po kilku głębszych tracił nad sobą kontrolę.

Tymczasem dzisiaj on sam właśnie tego chciał: stracić kontrolę, stać się kimś innym. Kiedy poprosił o kolejny kieliszek, chiński barman zawahał się, widząc, że jego klient nie jest dziś sobą.

– Dawaj tę wódkę! – krzyknął Elliott, wrywając mu butelkę z ręki i rzucając na bar banknot dziesięciodolarowy.

Wybiegł na ulicę, przyciskając swą zdobycz do piersi. Dobiegł do samochodu, usiadł za kierownicą i pociągnął kolejny łyk.

– Popatrz, tato! Jestem taki jak ty! – ryknął, włączając silnik. – Jestem taki sam jak ty!

Ale to był dopiero początek...

*

Znalezienie narkotyków w San Francisco nie stanowiło żadnego problemu. Mając często do czynienia z narkomanami w szpitalu albo we Free Clinic, Elliott poznał ich zwyczaje i miejsca, gdzie przebywali.

Wziął więc kurs na Tenderloin, dzielnicę niezbyt godną polecenia, ale w której dostanie to, czego szuka. Przez dziesięć minut krążył po ulicach tego ponurego sektora, po tej prawdziwej ludzkiej kloace, aż wreszcie dostrzegł znajomego dealera: pewnego czarnego o wyglądzie Jamajczyka, zwanego Yamda.

Kiedyś Elliott zaskarżył go dwukrotnie, ponieważ Yamda próbował sprzedawać towar bezpośrednio w klinice chorym

odbywającym kurację odwykową. Parokrotnie obaj mężczyźni starli się z sobą dość gwałtownie, a ostatnim razem doszło nawet między nimi do rękoczynów.

Wprawdzie Elliott mógłby poszukać innego handlarza, bo nie brak ich w tej dzielnicy, ale kiedy postanowiło się zejść na samo dno, należy liczyć się z upokorzeniem.

Widząc Elliotta, dealer najpierw nieco się przestraszył, lecz zaraz się zorientował, że lekarz znalazł się w tym miejscu w charakterze klienta.

– I co, doktoru, szukamy mocnych wrażeń? – zagadnął go z kpina w głosie.

– Co masz do zaoferowania?

– A ile dasz?

Elliott pogrzebał w portfelu: miał siedemdziesiąt dolarów, kwotę wystarczającą, by zafundować sobie sporą porcję obojętnie jakiego świństwa.

– W takim razie *choose your poison* – zaproponował Yamda wesołym tonem – haszysz, metedryna, LSD, hera...

*

W okresach spokoju zawsze wierzymy, że je pokonaliśmy.

Wyobrażamy sobie, że mamy je z głowy na dłużej.

Że pokonaliśmy je na dobre.

Na zawsze.

Ale to rzadkie przypadki.

Najczęściej Nasze Demony są nadal w pobliżu, przyczajone gdzieś w cieniu.

Czyhające niestrudzenie na moment, w którym opuścimy gardę.

A kiedy miłość odchodzi...

*

Gdy tylko Elliott dotarł do mariny, wbiegł po schodach do domu i skierował się prosto do łazienki. Mały labrador uradowany pojawieniem się pana przydreptał go powitać, ale...

– Spieprzaj! – warknął Elliott i posłał mu kopniaka, którego wymierzył niezbyt dokładnie. Z powodu zbyt dużej ilości wypitego alkoholu z trudem utrzymywał równowagę.

Znajdek zaskamlał cieniutko, lecz mimo wrogiego powitania podjął kolejną próbę i pobiegł za Elliottem. Źle trafił, bo pan złapał go za kark i wyrzucił na dwór.

Zostawszy sam, Elliott zabarykadował się w łazience i otworzył apteczkę, z której wyjął strzykawkę i igłę. Drżącymi rękami wyciągnął z kieszeni kulki heroiny zakupione od Yamdy.

Wstrzyknąć szybko obojętnie co, byle się nawalić! Nie zamierzał wprawić się w narkotyczny trans, żeby uwolnić umysł, jak robią to ci cholerni hippisi. On pragnął prawdziwego, wielkiego kopa, do utraty świadomości. Byle zapomnieć. Byle odjechać daleko. Tam, gdzie nie będzie nawiedzało go jego drugie ja ani wspomnienie Ileny.

Tam, gdzie przestanie być sobą.

Umieścił kulkę na szklanym spodeczku, do którego wlał odrobinę wody. Następnie, za pomocą zapalniczki podgrzał dno spodka i przefiltrował ciecz przez kawałeczek waty. Wbił igłę w tamponik i wciągnął narkotyk do strzykawki, po czym wstrzyknął całą zawartość w żyłę na przedramieniu.

Kiedy poczuł falę gorąca rozlewającą się po całym ciele, wydał z siebie okrzyk i odpłynął w mroczną otchłań, w głąb samego siebie,

gotów na spotkanie z tym, co najbardziej posępne i najtrudniejsze do zniesienia.

*

San Francisco, rok 1976

Kilka godzin później...

Matt ma lat 30

W ten świąteczny dzień Matt był w stanie euforii.

W ciągu ostatnich tygodni pracował bez wytchnienia na terenie swojej winnicy, dzięki czemu wyprowadził interes na dobre tory. Tymczasem, kiedy obudził się tego ranka, życie, którego z nikim nie dzielił, wydało mu się puste. Chowając dumę do kieszeni, zdjął słuchawkę z widełek, zamierzając zrobić to, co dotąd odkładał na później: zadzwonić do Tiffany i przeprosić ją za swoje zachowanie. Niestety, numer, jaki mu podała, był nieaktualny. Prawdopodobnie dziewczyna wyjechała z miasta, nie uprzedzając go i nie szukając okazji do spotkania.

Tak to już bywa, kiedy odkłada się coś na jutro...

Wczesnym popołudniem wyprowadził z garażu swojego roadstera i postanowił zafundować sobie przejażdżkę po marinie. Elliott odleciał już z pewnością na Hawaje, mimo to wstąpi do niego, żeby nakarmić Znajdka i przejść się z nim po plaży.

Dojeżdżając do bulwaru biegnącego wzdłuż oceanu, zauważył auto Elliotta zaparkowane w poprzek chodnika.

Dziwna sprawa...

Wysiadł z samochodu i wszedł po schodkach na ganek. Zadzwonił do drzwi i czekał.

Nikt nie odpowiedział.

Na szczęście miał przy sobie klucz, który Elliott zostawił mu przed wyjazdem. Wkładając go do zamka, zauważył, że drzwi nie są zamknięte.

– Halo! – krzyknął, anonsując swoje przybycie. – Jest ktoś w domu?

Wchodząc do pokoju i widząc wystraszonego psiaka, Matt wyczuł natychmiast, że stało się coś złego.

– Jesteś sam w domu, Znajdek?

Gdy piesek szczekał, patrząc w kierunku piętra, u szczytu schodów pojawił się Elliott. Wyglądał jak naćpany włóczęga.

– Co ty tu robisz? – spytał Matt, nie dowierzając własnym oczom. – Nie wyjechałeś na Hawaje?

– To raczej ja powinienem spytać, co robisz w moim domu.

– No, no, coś jest chyba nie tak – stwierdził spokojnym głosem Matt. – Co się stało?

– Nie jesteś w stanie tego zrozumieć – odpowiedział Elliott i zszedł kilka stopni niżej.

– Dlaczego? Bo jestem za głupi?

– Może.

Tym razem Matt przyjął cios. Ten agresywny ton nie pasował wcale do Elliotta, który najwidoczniej nie był sobą.

– Gdzie jest Ilena?

– Nie ma już Ileny! Wszystko skończone!

– Co ty wygadujesz, do jasnej cholery?

– Rozstałem się z nią.

Matt stał jak ogłuszony. To była ostatnia rzecz, jakiej się spodziewał.

Elliott opadł ciężko na kanapę. Narkotyki jeszcze działały. Kręciło mu się w głowie i miał ochotę wymiotować. Potworny ból rozsadał mu czaszkę i czuł się tak, jakby niewidzialne wiertła przebijały mózg.

– Zaczekaj, Elliott, nie możesz tak po prostu rozstać się z Ileną.

– Najwidoczniej mogę.

– Ta kobieta jest całym twoim życiem... To twój punkt orientacyjny, najlepsze, co cię w życiu spotkało.

– Daj spokój, nie używaj tych górnolotnych słów!

– Ty sam je wypowiadałeś. Mówiłeś też, że dzięki niej odnalazłeś swoje miejsce.

Bo to była prawda.

– Jeśli pozwolisz jej odejść, będziesz tego żałował aż do śmierci.

– Zostaw mnie w spokoju, dobra?

– Pokłóciliście się?

– Nie wtrącaj się w nie swoje sprawy!

– Ale to są moje sprawy, bo jestem twoim przyjacielem i nie pozwolę, żebyś zmarnował sobie życie!

– Posłuchaj mnie, wracaj pieprzyć się ze swoimi dziwkami i odwal się ode mnie!

Elliott zamknął oczy przygnębiony tym, co powiedział. Nie ma prawa dłużej obrażać przyjaciela. Powinien opowiedzieć Mattowi o wszystkim, co mu się przydarzyło, i wyrzucić z siebie całą rozpacz.

Jednak nie mógł tego zrobić. To była cena, którą musiał zapłacić – nikomu o niczym nie opowiadać.

Mimo że obelgi Elliotta zraniły go do żywego, Matt znów spróbował doprowadzić do zgody:

– Nie rozumiem, co się z tobą dzieje, Elliott, ale wnioskuję, że musisz być bardzo nieszczęśliwy, skoro mówisz takie rzeczy. Sądzę również, że sam sobie z tymi problemami nie poradzisz.

Elliott poczuł, jak pęka mu serce. Miłość Ileny i przyjaźń okazywana przez Matta były tym, co miał najcenniejszego. Od dziesięciu lat dopełniali się, podtrzymywali na duchu i rozumieli...

Dziś jednak Elliott znalazł się w sytuacji, z której nie mógł się wydostać. Niezdolny dłużej odgrywać komedii przed przyjacielem, podjął bolesną decyzję: musi rozstać się także z nim.

– Czy możesz coś dla mnie zrobić, Matt?

– Oczywiście.

– W takim razie wynoś się z mojego życia...

Młody Francuz zawahał się przez moment, jakby nie był pewien, czy dobrze usłyszał. Potem zeszywniał i odezwał się nie swoim głosem:

– Skoro tego sobie życzysz.

Spuścił głowę i skierował się do drzwi. Stanąwszy w progu, odwrócił się w stronę Elliotta, mając jeszcze nadzieję, że może nie wszystko stracone. Ale Elliott powiedział tylko:

– Zostawiam ci moje udziały w winnicy. I nie musisz tu wracać. Nigdy.

Nie uczymy się niczego z książek. Uczymy się tylko wtedy, gdy otrzymujemy razy.

Swami Prajnimpad

San Francisco, rok 2006

Elliott ma 60 lat

Kiedy Elliott otworzył oczy, był rozgorączkowany i trzął się, jakby dopadła go grypa. Ale to nie była grypa. To ten cholerny rak odezwał się za sprawą efektów ubocznych podróży w czasie. Wstał z trudem, powłókł się do łazienki i zwymiotował do umywalki. W końcu kiedyś zdechnie, ale widocznie jeszcze nie teraz. Jak to miał od pewnego czasu w zwyczaju, sprawdził ponownie liczbę pigułek: zostały cztery. Już kilkakrotnie przysięgał, że nie będzie ich zażywał, i teraz był tego pewien – jego noga nigdy więcej nie postanie w przeszłości!

Wszedł pod prysznic i stopniowo odzyskiwał jasność umysłu. Przed kilkoma minutami rozstał się ze swoim drugim ja, po gwałtownym starciu w toalecie pewnej chińskiej restauracji. Tamten nie wyglądał najlepiej, a on żałował, że nie potrafił znaleźć odpowiednich słów pocieszenia.

Ubrał się szybko przed lustrem w sypialni.

Mam nadzieję, że nie zrobisz żadnych głupstw, pomyślał, przyglądając się swojemu odbiciu, choć zwracał się do siebie sprzed trzydziestu lat.

Spojrzał przez okno: w to świąteczne przedpołudnie garstka biegaczy przemieszczała się wzdłuż plaży, a na trawnikach Marina Green jakaś dziewczyna bawiła się z psem, rzucając mu frisbee.

Wsiadł do samochodu i choć ranek był chłodny, opuścił szyby, upajając się powietrzem i ciesząc się życiem. Odkąd wiedział, że zbliża się koniec, czuł w sobie dziwną mieszaninę euforii i przygnębienia. Stał twarzą w twarz ze śmiercią, lecz także z prawdą. Po raz pierwszy udawało mu się w pełni korzystać z chwili obecnej, wykorzystywać każdą sekundę, jakby była tą ostatnią.

Przejeżdżając z dużą prędkością przez North Beach, skierował się w stronę Coit Tower. Miał się tam spotkać z Mattem i odbyć z nim małą wycieczkę jachtem – spokojną, krótką przejażdżkę wokół zatoki. Zamierzał powiedzieć mu o tym, co zbyt długo zachowywał dla siebie: o swojej chorobie i rychłym odejściu.

Szykuje mu piękny prezent gwiazdkowy, nie ma co...

Prawdę mówiąc, jeszcze nie wiedział, jak Matt na to zareaguje. Ich trwająca od niepamiętnych czasów przyjaźń nigdy żadnego z nich nie zawiodła. Była, niczym dziwny alchemiczny stop, mieszaniną przywiązania, koleżeństwa i odrobiny wstydu, spowodowanego pewnym szczególnym zdarzeniem sprzed czterdziestu lat, które zadecydowało o jego życiu.

Jadąc w kierunku północnych dzielnic miasta, Elliott przypomniał sobie ten dzień w 1965 roku, w którym jednocześnie poznał Matta i... Ilenę.

*

Nowy Jork, rok 1965

Elliott ma 19 lat

Jest środek zimy, wczesny wieczór w Mieście Światła. Nagła i niespodziewana ulewa spada w jednej chwili na Manhattan...

Młody człowiek przemoknięty do suchej nitki schodzi po schodach prowadzących do metra. Nazywa się Elliott Cooper. Ma dziewiętnaście lat i nie bardzo wie, co zrobić ze swoim życiem. Dwa miesiące temu przerwał studia i postanowił wyruszyć w podróż przez Stany Zjednoczone. Prosty sposób, żeby zwiedzić własny kraj, zastanowić się nad przyszłością, a przede wszystkim być daleko od ojca żyjącego w Kalifornii.

W tym samym czasie Ilena Cruz, osiemnastoletnia Brazylijka wraca z zoo znajdującego się w Bronksie, gdzie latem odbędzie staż, dzięki któremu zrealizuje największe marzenie swojego życia: będzie opiekować się zwierzętami. Lekka i zwiewna jak piórko przebiega przez ulicę, omijając kałuże i samochody, po czym schodzi do metra. Promienieje dobrym humorem i uśmiecha się.

Elliott zatrzymuje się na chwilę przed żebrzącym w metrze czarnoskórym gitarzystą, który gra repertuar Otisa Reddinga i jednocześnie walczy o prawa obywatelskie oraz większy szacunek dla swoich współbraci. Elliott uwielbia muzykę. Jest dla niego ucieczką do lepszego świata. Był dalej od innych. Dlaczego nikomu nie ufa? Dlaczego nie ma

prawdziwych przyjaciół? Z jakiego powodu czuje się niepotrzebny? Jeszcze tego nie wie, ale za niecałe pięć minut się dowie, że chłopiec staje się mężczyzną w wirze nowych zdarzeń.

Migając jak płomień, Ilena przebiega długim korytarzem prowadzącym na peron. Deszcz zmoczył jej włosy i koszulkę na cienkich ramiączkach. Czasami, przez ułamek sekundy, jacyś spieszący się przechodnie mimowolnie patrzą jej w oczy – przejrzyste i zielone. Taka już jest: przyciąga uwagę ludzi i wzbudza w nich zaufanie.

Jedenaście minut po piątej na stację wjeżdża pociąg. Jest dzień powszedni, pora, o której ludzie kończą pracę. Na peronie panuje tłok. Elliott przesuwa się do przodu, żeby wsiąść do któregoś z pierwszych wagonów. Nagle dostrzega tę dziewczynę... Ledwie się o niego otarła. Poczł muśnięcie, zauważył spojrzenie, obecność. A wokół tłum... Skąd ten zawrót głowy? To uczucie pustki w żołądku? Wrażenie, że nikt dotychczas nie patrzył na niego w taki sposób?

Zainteresowanie ze strony tego ładnego dzieciaka najpierw sprawia Ilenie przyjemność. Potem sama nie wiedząc dlaczego, czuje się skrępowana. Jest cała mokra: poci się. Poprawia ramiączko, które opadło, i odwraca wzrok, żeby uniknąć spojrzeń chłopca. Skąd to nagłe uczucie, że w powietrzu wisi jakieś niebezpieczeństwo?

Elliott przesuwa się do przodu i wsiada do drugiego wagonu. Ale Ilena wsiada do trzeciego. Chłopak waha się przez

moment, potem, jak przyciągany magiczną siłą, przebija się przez tłum i w ostatniej chwili się przesiada. Do trzeciego wagonu... Oto w czym kryje się przeznaczenie: w jednym dłuższym spojrzeniu, mrugnięciu powiek, lekkim dotyku...

Pociąg rusza. Ilena usiadła na jednym z nielicznych wolnych miejsc, z którego widzi Elliotta stojącego w drugim końcu wagonu. Ma nadzieję i jednocześnie obawia się, że ją zagadnie. Czuje, jak mocno, prawie do bólu, bije jej serce.

On nie spuszcza z niej wzroku i stara się podejść bliżej. Zastanawia się, jak zacząć rozmowę, chciałby powiedzieć coś zabawnego, ale nic nie przychodzi mu do głowy. Nie, nie odważy się podejść. Nigdy nie był w tym dobry. Zresztą taka dziewczyna nie może zwrócić na niego uwagi. Spadaj, Elliott, ona jest dla ciebie za dobra. Lepiej przestań marzyć! Pociąg zatrzymuje się na pierwszej stacji. No, wysiadaj, kretynie! To nie jest teren dla ciebie. Waha się. Pociąg rusza, mija kolejną stację, potem jeszcze jedną. Ilena wstaje. Za późno. Wsiądzie na następnej. Dalej, zrób coś, stary! Teraz albo nigdy. Potrąca kilka osób. Chce podejść bliżej. Nie czuje nóg, a w głowie ma pustkę. Udało się. Dziewczyna jest blisko, zaledwie parę centymetrów od niego. Widzi doskonałą linię jej ust. Wtedy pochyła się ku niej lekko i mówi...

Nagle w sąsiednim wagonie, zaledwie parę metrów od nich, rozlega się huk eksplozji. Ogłuszający wybuch ma niewyobrażalną siłę, po nim pojawia się potężny podmuch, od którego trzęsie się cały pociąg, a pasażerowie upadają na podłogę.

O dziwo, dopiero po jakimś czasie ludzie uświadomili sobie, co się stało. Dopiero po krótkiej chwili zdumienia w wagonie rozległy się wrzaski.

Jeszcze przed sekundą to był zwykły wieczór: skończył się dzień pracy, nastąpiło zwyczajne codzienne odrętwienie.

Wkrótce potem pociąg wykoleił się w tunelu, światło zgasło, a wagony rozpadły się na kawałki.

Jeszcze przed sekundą pewien chłopak zamierzał zaczepić pewną dziewczynę.

Potem były huk, przerażenie i horror.

Elliott i Ilena podnoszą się z trudem. W przedziale kłębi się gęsty pył, który piecze w oczy i nie pozwala oddychać. Oboje rozglądają się wokół: pasażerowie są w szoku, wszędzie leżą zakrwawione ciała, ludzie mają poszarpane ubrania i twarze zniekształcone strachem. Większa część dachu wpadła do przedziału, przygniatając swoim ciężarem pasażerów.

Teraz zewsząd słychać krzyki. Jakaś kobieta wrzeszczy przerażona: „Pomóż nam, Panie Boże!”, a wszyscy przepychają się, szukając jakiegoś wyjścia. Ilena, której udaje się zachować spokój, pociesza stojącą obok niej szlochającą dziewczynkę.

Elliott ma odłamki szkła we włosach i krew na koszuli. On także jest poraniony, ale nie zwraca na to uwagi. Razem z innymi pomaga rannym przygnięcionym kawałkami blachy. Kilkoro z nich udaje się uwolnić, ale niektórzy odnieśli poważne rany cięte.

– Musimy się stąd wydostać!

To zdanie brzmi jak ultimatum. Wszyscy pragną tego samego: opuścić czym prędzej to piekło. Jednak automatyczne drzwi są pocięte i nie dają się otworzyć. W końcu ci, którzy przeżyli, mają tylko jedno wyjście – wyskakiwać przez okna.

Elliott rozgląda się wokół, choć prawie nic nie widać. Płomienie otaczające skład powodują, że w środku robi się gorąco jak w piecu. Pot spływa mu po całym ciele. Jeszcze nigdy w życiu tak bardzo się nie bał. Coraz gęstszy dym uniemożliwia oddychanie, a z podłogi unosi się mdlący zapach. Smród, który później Elliott nauczy się rozpoznawać i będzie się go bał: odór śmierci.

Zamierza się oddalić, ale czy ma prawo? Dobrze wie, że w tym pociągu jest jeszcze wielu rannych. Żeby ułatwić sobie oddychanie, czołga się w tył wagonu. Tam natrafia na ludzkie szczątki – jakąś rękę, urwaną nogę, czyjaś stopę w bucie... – i zaczyna płakać. Co może zrobić? Nic.

– Chodź!

To Ilena go woła. Już siedzi okrakiem na oknie i chce się tylko upewnić, że on pójdzie za nią. Jednak tuż obok niego, przygnieciony kawałkami dachu, leży bez ruchu chłopak w jego wieku. Elliott pochyła się nad nim, żeby zobaczyć, czy jeszcze oddycha. Wydaje mu się, że słyszy bicie jego serca. Wprawdzie nie jest pewien, ale chce w to wierzyć. Usiłuje wydobyć go spod sterty żelastwa. Na próżno. Chłopiec ma piersi przygniecione metalową sztabą.

– Chodź! – powtarza Ilena.

Ma rację: za dużo tu dymu, jest zbyt gorąco... Jednak Elliott waha się przez chwilę, po czym energicznie ponawia próbę ratowania chłopaka.

– Nie umieraj! – wrzeszczy do ucha rannego.

Przez całe późniejsze życie będzie się zastanawiał, w jaki sposób zdołał rozgiąć metalową sztabę i przeciągnąć ją w swoją stronę. Ale udało się! Dokonał tego! Teraz podnosi chłopca, przyciska do siebie i wyciąga z ciemnego wagonu.

Za przykładem Ileny, przeskakuje wzniesienie między pociągami i szynami i idzie za dziewczyną tunelem. Przed nimi jakiś

mężczyzna z urwaną ręką posuwa się chwiejnym krokiem i omal nie upada. Elliott czuje ciepłą ciecz spływającą mu po twarzy. To krew rannego chłopca, którego niesie na plecach. Nie ma pojęcia, jak zatamować krwotok. Zatrzymuje się na kilka sekund, rozdziera koszulę, zwija w kłębek i z całych sił przyciska prowizoryczny tampon do rany, żeby powstrzymać krwawienie.

Mąci mu się w głowie. Traci siły. Ma wrażenie, że ranny chłopak waży tonę, ale chce zapomnieć o własnym bólu. By tego dokonać, próbuje skupić wzrok na czymś przyjemnym.

Patrzy więc na idącą przed nim dziewczynę. Nie zdążyli zamienić z sobą ani słowa, lecz już zostali połączeni. Idzie za nią krok w krok, przekonany, że nic mu się nie stanie. Przecież gdyby nie ona, wsiadłby do wagonu, w którym nastąpiła eksplozja.

Po chwili dostrzegają światło na końcu tunelu: to stacja. Zostało zaledwie parę metrów, tyle że najtrudniejszych do pokonania. Elliott głuchnie i ma wrażenie, że zaraz upadnie...

W tym momencie podchodzi do niego strażak, zdejmuje z pleców rannego i układa na noszach.

Uwolniony Elliott odwraca się do Ileny.

I natychmiast mdleje.

Tymczasem w dusznym brzuchu tunelu rozerwany pociąg pali się nadal, by wkrótce zamienić się w dymiący szkielet.

W jednym z wagonów, na ławce zdeformowanej pod wpływem temperatury, leży paląca się książka, w której można jeszcze przeczytać takie oto dziwne słowa:

*Sami dla siebie jesteście schronieniem
Innego schronienia nie ma
Nie możecie uratować nikogo innego*

Tylko samych siebie.*

Kiedy kilka godzin później Elliott otwiera oczy, leży na szpitalnym łóżku. Jest już dzień. Na ramieniu ma gruby opatrunek i czuje dotkliwy ból w okolicy szyi. Obok siedzi dziewczyna z metra i czuwa przy nim w milczeniu.

– Wszystko w porządku? – pyta, pochylając się w jego stronę.

Elliott przytakuje i próbuje się podnieść, ale przeszkadza mu wbita w rękę rurka od kroplówki.

– Nie ruszaj się, zaraz coś z tym zrobię.

Ilena naciska jakiś guzik i górna część łóżka powoli się unosi.

Na ekranie telewizora umieszczonego wysoko w kącie sali przesuwają się czarno-białe obrazki z Manhattanu, po czym z ust prezentera Elliott dowiadyuje się, że:

Nowy Jork przeżył najgorszą w swojej historii awarię prądu. O godzinie 17.16 dziewiątego listopada 1965 roku wszystkie światła zgasty w Ontario i wzdłuż Wschodniego Wybrzeża Stanów Zjednoczonych. Zapaliły się ponownie dopiero po około dziesięciu godzinach. Pierwotne podejrzenie o sabotaż okazało się mylne. Awaria nastąpiła na linii przesyłowej elektrowni wodnej wNiagara Falls...

Po tym komunikacie pojawia się jeszcze kilka innych obrazków, a po nich komentarz na temat wypadku w metrze, spowodowanego – zdaniem dziennikarza – przerwą w dostawie prądu, mimo że

* Siddhartha Gautama zwany Budda.

sytuacja ogólna w kraju nie należy do spokojnych: przed dwoma laty został zamordowany prezydent Kennedy, a przed rokiem w Los Angeles w następstwie rozruchów na tle rasowym zginęły dziesiątki ludzi. Na dodatek, w związku z masowym wysyłaniem oddziałów amerykańskich do Wietnamu, niepokój panuje w kampusach uniwersyteckich, gdzie rozwija się ruch studencki przybierający gwałtowne formy.

Ilena wyłącza telewizor.

– Czy on umarł?

– Kto taki?

– Ten chłopak, którego próbowałem ratować. Umarł?

– Myślę, że lekarze właśnie go operują. Może nie zdajesz sobie z tego sprawy – Ilena dodaje ze łzami w oczach – ale on był w okropnym stanie...

Elliott tylko kiwa głową. Przez chwilę nic nie mówią. Oboje są ogłuszeni i każde z nich szuka schronienia we własnym świecie wypełnionym chaosem.

Dziewczyna pierwsza przerywa milczenie:

– Chciałeś mi coś powiedzieć?

Elliott nie bardzo rozumie.

– Na chwilę przez wybuchem nachyliłeś się w moją stronę, żeby mi coś powiedzieć...

– Faktycznie... – bełkoce Elliott.

Pierwsze promienie słońca wypełniają salę kojącym światłem. Przez moment wydaje się, że nie było żadnego wypadku. Jest tylko ten zmieszany chłopak i dziewczyna, która mu się podoba.

– Po prostu chciałem zaprosić cię na kawę...

– Ach tak – odpowiada nieco onieśmielona.

Z zakłopotania wybawia ich donośny głos lekarza, który właśnie wszedł do sali.

– Jestem doktor Doyle – oznajmia, podchodząc do łóżka.

Gdy lekarz bada go dokładnie ze wszystkich stron, Elliott stwierdza z żalem, że dziewczyna wychodzi. Słucha więc cierpliwie, choć niezbyt uważnie, dziwnych terminów w rodzaju „uraz klatki piersiowej z wgnieceniem mostka” czy „uszkodzenie okolic podstawy mózgu”. Wreszcie doktor Doyle kończy swoją wizytę, poprzestając na zaaplikowaniu maści o działaniu przeciwzapalnym i założeniu kołnierza ortopedycznego.

Elliott pyta go jeszcze o stan chłopca przywiezionego do szpitala w tym samym czasie co on. Dowiaduje się, że operacja właśnie się skończyła, i „trzeba poczekać, aż pacjent się obudzi, żeby stwierdzić, w jakim jest stanie”.

Kilka lat później Elliott będzie wielokrotnie wypowiadał to zdanie...

Kiedy zostaje sam, kuli się na łóżku do chwili, gdy drzwi uchylają się cichutko, a w szparze pokazuje się śliczna twarzączka dziewczyny.

– Zgadza się – oznajmia Ilena.

– Co takiego?

– Zgadza się na kawę – mówi, pokazując dwa kartonowe kubeczki.

Chłopak uśmiecha się szeroko i chwyta kubek.

– Chyba zapomniałem się przedstawić. Nazywam się Elliott.

– A ja Ilena.

Tego dnia, na szóstym piętrze pewnego szpitala, w samym środku zimy na Manhattanie, dwie drobne sylwetki połączone przeznaczeniem dyskutują do późnej nocy.

*

Spotykają się nazajutrz, potem w kolejne dni, spacerują po ulicach, urządają sobie pikniki w Central Parku i zwiedzają muzea. Każdego wieczoru wracają do szpitala, żeby zapytać o zdrowie rannego, który nadal jest w stanie śpiączki.

Pewnego dnia pocałują się po raz pierwszy, wychodząc z Amsterdam Café, gdzie wstąpili na filiżankę czekolady i sernik z cynamonem.

Ten pocałunek wszystko zmieni.

Bo Elliott nigdy nie był tak szczęśliwy, jak w towarzystwie tej zabawnej dziewczyny, jednocześnie statecznej i zwariowanej, która zmieniała świat nawet wtedy, gdy zajadała pizzę.

Ilena zaś nigdy nie czuła się tak piękna, jak w obecności tego tajemniczego i miłego chłopca, z którym los zetknął ją w dziwnych okolicznościach.

Popołudnia spędzają w wielkim parku położonym wśród drapaczy chmur.

Tu uczą się siebie nawzajem.

Ona mówi mu, że studiuje biologię i ma zamiar zostać lekarzem weterynarii. On interesuje się naukami ścisłymi, zwłaszcza matematyką. Ilena chciałaby wiedzieć, dlaczego przerwał studia, chociaż całkiem dobrze mu szło. Elliott przyznaje, że jest bardzo zdolny, ale to jedynie zasługa liczby 166 przypisanej jego IQ.

Kiedy chłopak nie wie, co odpowiedzieć na pytanie o plany na przyszłość, Ilena podejrzewa, że brak mu wiary we własne siły, a nadwrażliwość powoduje, iż jest tak bardzo zamknięty w sobie.

Któregoś dnia, jakby mimochodem, dziewczyna zapyta: „A może zostałbyś lekarzem?”. Elliott najpierw uda, że nie dosłyszał, a potem tylko wzruszy ramionami.

Pytanie to przetrwa ukryte głęboko w zakamarkach jego umysłu aż do tego pamiętnego wieczoru w szpitalu, kiedy dowie się, że chłopiec, którego uratował, odzyskał przytomność i chce go poznać.

Elliott wchodzi do sali i zbliża się do łóżka.

Leżący w nim chłopak jest Francuzem. Mimo iż przez dziesięć dni pozostawał w śpiączce, teraz jego oczy patrzą wesoło z sympatycznej gęby okraszonej miłym, nieco ironicznym uśmiechem.

– Tak więc to ty jesteś moim wybawcą! – żartuje z lekkim cudzoziemskim akcentem.

– Na to wygląda – odpowiada Elliott.

Mimo niewielu słów nić sympatii nawiązała się niemal od razu.

– Teraz tak łatwo się mnie nie pozbędziesz – oznajmia Francuz.

– Naprawdę?

– Przynajmniej do czasu, kiedy będę miał okazję się odwdziżyć i uratować ci życie...

Elliott się uśmiecha. Podoba mu się optymizm bijący od chłopaka. Widząc w nim jednocześnie swoje przeciwieństwo i doskonale dopełnienie własnej osobowości, wyciąga do niego rękę i przedstawia się.

– Nazywam się Elliott Cooper.

– A ja Matt Delluca.

Kiedy później Elliott będzie wspominał ten dzień, zda sobie sprawę, do jakiego stopnia na zawsze zmienił jego życie.

Pewnego razu w metrze, idąc za pewną dziewczyną, wsiadł do tego wagonu zamiast do innego.

Ten wybór uratował mu życie i sprawił, że znalazł...

...miłość,
przyjaciela
i powołanie.

Właśnie wtedy, w ciągu zaledwie kilku chwil stał się mężczyzną.

*

San Francisco, rok 2006
Elliott ma 60 lat

Jeszcze oszłomiony wspomnieniami z przeszłości, Elliott zaparkował samochód na szczycie Telegraph Hill i poszedł pieszo do Filbert's Steps. Zbiegł lekko po kilku ukwieconych schodkach w stronę eleganckiej garsoniery w stylu art deco. Pchnął furtkę prowadzącą do ogródka, ale widząc otwarte okno, zapukał w okiennicę:

– To ja! Czekam przed domem.

Prawie natychmiast w drzwiach pojawił się Matt, nie dowierzając własnym oczom.

– Elliott?

– Przestań się guzdrać, stary! Musimy jeszcze wpaść do Chez Francis i kupić kanapki. Jeśli się nie pospieszymy, zostaną tylko „koszyczki smakosza” i będziesz marudził, że nie ma nic dobrego do jedzenia.

– Co ty tu robisz?

– Jak to? Czy nie mieliśmy dzisiaj popływać łodzią?

– Czyją łodzią?

– Papieża!

– Co to za historia?

– Przestań! Przecież wczoraj wieczorem zostawiłeś mi na sekretarce wiadomość, że...

– To ty przestań, Elliott! Nie zostawiłem ci żadnej wiadomości z tej prostej przyczyny, że nie odzywaliśmy się do siebie przez trzydzieści lat!

Tym razem to Elliott otworzył szeroko oczy ze zdumienia i zdębiał. Patrząc na Matta, nabrał pewności, że ten nie żartuje.

– Posłuchaj – podjął Matt – nie bardzo wiem, o co chodzi w twojej zabawie, ale dziś nie mam czasu. A zatem wybacz, ale...

– Zaczekaj, Matt, zaczekaj! Przecież jesteśmy przyjaciółmi! Codziennie gadamy przez telefon i widzimy się kilka razy w tygodniu!

Francuz zmarszczył brwi, jakby chciał przywołać jakieś wspomnienie z odległej przeszłości.

– Byliśmy przyjaciółmi, to prawda, ale bardzo dawno temu...

Już miał zamknąć drzwi, kiedy lekarz spytał go błagalnym tonem:

– Co się z nami stało? Czy się pokłóciliśmy?

– Popieprzyło ci się w głowie, czy co? Nie udawaj, że niczego nie pamiętasz!

– To przypomnij mi, co się wydarzyło. Matt zawahał się, a potem odpowiedział:

– To było trzydzieści lat temu. Wszystko między nami grało do momentu, kiedy zaczęło ci odbijać.

– Jak to?

– Zacząłeś opowiadać bardzo dziwne rzeczy na temat jakiegoś typu, który znalazł sposób na podróżowanie w czasie i który rzekomo miał być tobą, tyle że starszym... Krótko mówiąc, przestałeś być sobą. Starąłem się pomagać ci, jak umiałem, aż do chwili, kiedy przebrałeś miarę.

– Kiedy to było, Matt?

– Dokładnie w dzień Bożego Narodzenia – przypomniał sobie nagle Matt wstrząśnięty tym wspomnieniem. – Pamiętam doskonale, bo właśnie wtedy zerwałeś z Ileną...

Trzydzieści lat temu, co do dnia...

– Przez dłuższy czas próbowałem wszystkiego, żebyśmy się pogodzili, tylko że ty postanowiłeś wznieść między nami mur. Zresztą, po tym, co przytrafiło się Ilenie, nic już nie mogło być jak dawniej.

– A co się przytrafiło Ilenie?

Matt posmutniał i rzekł prawie bezdźwięcznym głosem:

– Odejdź stąd, Elliott!

Potem zamknął drzwi.

*

Elliott z wielkim trudem odzyskiwał panowanie nad sobą. Jak ogłuszony dotarł do samochodu. Najwidoczniej Elliott z 1976 roku pokłócił się Mattem, a teraz on zbierał żniwo.

Jednak jak to wyjaśnić, skoro tyle wspomnień łączyło go z przyjacielem? Przecież wszystko, co wspólnie przeżyli od 1976 roku aż do dzisiaj, nie mogło powstać tylko w jego umyśle?

Oparł się o samochód i objął głowę rękami.

A jeśli istnieje więcej linii czasu? Słyszał kiedyś o hipotezie „światów równoległych”, która zaprzętała umysły naukowców. Zdaniem fizyków, każda rzecz, która może mieć miejsce, wydarzy się w którymś ze światów. Kiedy rzuci się w górę monetę, w jednym z nich wypadnie orzeł, a w innym reszka. Albo, kiedy się zagra w lotto: istnieje świat, w którym się wygra, a także miliony innych, w których się przegra! Stąd wniosek, że świat, który znamy, jest jednym z wielu. Jest taki świat, w którym wydarzenia z jedenastego września nigdy nie miały miejsca, oraz taki, w którym George Bush nie jest prezydentem Stanów Zjednoczonych, i jeszcze inny, w którym mur berliński nadal stoi.

Istnieje zatem świat, w którym Elliott trzydzieści lat temu pokłócił się z Mattem, i inny, w którym nadal są przyjacielmi...

Cały problem w tym, że jego podróże tam i z powrotem, od przeszłości do przyszłości, spowodowały, iż wylądował na linii czasu, na której wydarzenia nie pasowały do wspomnień, jakie pozostały w jego pamięci!

Niestety, chwilowo musiał się z tym pogodzić. Nie miał innego wyboru.

Usiadł za kierownicą swojego garbusa i pojechał w kierunku szpitala.

Jedno nie dawało mu spokoju: musi się dowiedzieć, co przytrafiło się Ilenie.

To, co nazywamy powodem do życia, jest jednocześnie doskonałym powodem do śmierci.

Albert Camus

San Francisco, 25 grudnia 1976

Ilena ma 30 lat

Godzina 16.30

Wysoko pod niebem, pośród mgły i wiatru, jakiś ptak o srebrzystym upierzeniu przebija się przez chmury, zniżając się nad San Francisco. Spadając jak strzała, przelatuje nad Alcatraz i Treasure Island, po czym siada na jednej z wież Golden Gate. Ogromny, elegancki i sławny most spina dwukilometrową wstęgą dwa brzegi zatoki i sięga aż do Sausalito. Olbrzymie filary, solidnie zakotwiczone w dnie Pacyfiku, nie obawiają się ani lodowatych prądów, ani gęstej mgły wijącej się jak bluszcz wokół lśniących metalowych podpór.

Zawieszony ponad falami ptak spogląda w dół, obserwując ludzi poruszających się dwieście metrów niżej.

Na moście trwa niekończący się balet, samochody mijają się i wyprzedzają na sześciu pasmach przeznaczonych dla ruchu. Wokół panuje ogłuszający hałas, słysząc dźwięk klaksonów i odgłosy wibrującej blachy.

Po paśmie przeznaczonym dla pieszych sunie jakaś kobieta, krucha i podobna do linoskoczka spacerującego po linie.

Wydaje się, że zaraz upadnie.

Ilena nie potrafiłaby wyjaśnić, po co tu przyszła. Po prostu nie mogła od razu wsiąść do samolotu i odlecieć na Florydę. Poprosiła więc taksówkarza, żeby zawrócił i zawiózł ją do miasta. Potem, skoro już postanowiła dokądś iść, szła przed siebie, aż nogi same doprowadziły ją do mostu.

Stoi teraz nad przepaścią uwięziona w kleszczach nieznośnego cierpienia, którego się nie spodziewała. Wszyscy uważają, że jest silna i zrównowazona, ale to nieprawda. Jest wrażliwa i bezbronna. Proste zdanie: „Już cię nie Kocham, Ileno”, które w czasie krótszym niż sekundy potrzebne, by je wypowiedzieć, pozbawiło ją wszystkich punktów orientacyjnych, odebrało siły i chęć do życia.

Podchodzi do barierki, żeby spojrzeć na ocean. Ten widok przyprawia ją o zawrót głowy. Wieje porywisty wiatr, a rozbijające się fale rozbryzgują pianę, sprawiając wrażenie, że morze się gotuje. Elliott był całym jej życiem. Co się z nią stanie bez niego?

Czuje się słaba i zagubiona. Piekący ból jest zbyt silny, nie do opanowania. Dalsze życie napawa ją przerażeniem większym niż śmierć. Teraz rozumie, dlaczego tu przyszła.

Potem skacze w próżnię.

*

Spadanie z mostu tak wysokiego jak Golden Gate to zaledwie cztery sekundy.

Tylko tyle trwa ostatnia podróż.

Cztery sekundy spadania przez *no-man's-land* dzielący dwa światy.

Cztery sekundy, w czasie których już się prawie nie żyje... choć jeszcze nie całkiem się umarło.

Cztery sekundy podróży w próżni.

Odruch wolności czy szaleństwa?

Odwagi czy słabości?

Cztery sekundy, po upływie których wpada się do wody z szybkością stu dwudziestu kilometrów na godzinę.

Cztery sekundy, po których następuje śmierć.

*

San Francisco, 25 grudnia 1976 roku

Elliott ma 30 lat

Godzina 17.31

W zimie noc zapada bardzo wcześnie.

Popołudnie jest już tylko wspomnieniem. W mieście zapalają się wszystkie światła, a rogalik księżyca nieśmiało wygląda przez dziurę w niebie.

Z opuszczonymi szybami Elliott jedzie Embarcadero, szeroką aleją biegnącą wzdłuż oceanu. Po dzisiejszych przeżyciach nie jest w stanie spędzić tej nocy samotnie we własnym oszklonym domu. Boi się, że oszaleje, że mógłby coś zrobić...

A zatem pędzi przed siebie, kierując się światłami, prowadzącymi go do dzielnicy handlowej, w której sercu tysiącem ogni lśni Transamerica Pyramid, nowy drapacz chmur w kształcie strzały. Elliott myśli o Ilenie: o tej porze powinna już siedzieć w samolocie. Jak zniesie zerwanie? Próbuje przekonać samego siebie, że dla niej nie będzie to takie trudne, że łatwo znajdzie jakiegoś innego mężczyznę, który ją pokocha. Ale jednocześnie myśl o tym staje się nie do zniesienia.

Pokonuje kolejne zakręty i w końcu zatrzymuje się na parkingu szpitala. Stracił ukochaną, stracił przyjaciela. Pozostaje jedynie

praca. Oczywiście dzisiaj o operowaniu nie może być mowy. Nie byłby nawet w stanie zająć się pacjentami, bo alkohol i narkotyki jeszcze z niego nie wyparowały. Ale odczuwa potrzebę znalezienia się w przyjaznym otoczeniu, i w jego sytuacji może to być tylko szpital...

Parkuje samochód na tym samym miejscu co zwykle i wysiada w chwili, gdy wokół wyją syreny, a pod wejście do izby przyjęć nagłych wypadków podjeżdża karetka. Z przyzwyczajenia Elliott spieszy na pomoc sanitariuszom: Martinezowi i Pike'owi, z dwudziestego pierwszego oddziału, z którymi już kiedyś współpracował. Zauważa, że obaj mężczyźni pobledli na widok obrażeń pacjenta.

– Co mamy tym razem, Martinez?

Przekonany, że Elliott jest lekarzem dyżurnym, Latynos odpowiada:

– Młodą nieprzytomną kobietę około trzydziestki w ciężkim stanie. Skoczyła z Golden Gate pół godziny temu...

– I żyje?

– Tak, ale moim zdaniem to nie potrwa długo... Kobieta jest zaintubowana. Ma także założoną kroplówkę i kołnierz, który skrywa prawie całą twarz.

Elliott pomaga sanitariuszom wyciągnąć nosze. Następnie pochyla się nad ranną. Zna ją.

*

San Francisco, 2006

Elliott ma 60 lat

Oszołomiony po sprzeczce z Mattem, Elliott prowadził samochód, nie patrząc na drogę, i właściwie nie wiedział, dokąd jedzie.

Co to znaczy: „Po tym, co przytrafiło się Ilenie”? Czy Mattowi chodziło jedynie o ich zerwanie, czy też o coś poważniejszego? Elliott spróbował zebrać myśli. Podczas ostatniej podróży w przeszłość, rankiem 25 grudnia 1976 roku, on i jego drugie ja nie dopuścili do wypadku z orką, który miał być przyczyną śmierci Ileny. Zatem kobieta żyła.

W takim razie, skąd rozpaczliwy ton w głosie Matta? Zahamował gwałtownie i zaparkował samochód przed hydrantem przeciwpożarowym przy Washington Park. Idąc wzdłuż North Beach, natknął się na kawiarenkę internetową, gdzie zamówił cappuccino, co uprawniało go do zajęcia miejsca przed jednym z ekranów.

Kilkoma kliknięciami myszki wszedł na stronę książki telefonicznej, po czym wpisał poszukiwane hasło: „Ilena Cruz”. Kiedy migające na ekranie okienko zażądało wpisania nazwy miasta, wystukał „San Francisco”, a potem kliknął na „szukaj”.

Jednak odpowiedź się nie pojawiała.

Rozszerzył więc pytanie na całą Kalifornię, potem również na inne stany.

Bez odpowiedzi.

Ilena z 2006 roku była z pewnością na zastrzeżonej liście. Albo już nie mieszkała na Zachodnim Wybrzeżu. A może zmieniła nazwisko?

Nie tracąc nadziei, Elliott wpisał „Ilena Cruz” w Google. Tylko jedna odpowiedź... Kliknął na link ze stroną uniwersytetu poświęconą badaniom weterynaryjnym nad ssakami morskimi. Tekst informował, że w latach siedemdziesiątych Ilena jako pierwsza stosowała zabiegi, które obecnie były rutynowe. Jako przykład podano przeprowadzone przez nią w 1973 roku pierwsze na świecie uśpienie krowy morskiej. Liczba przy nazwisku odsyłała do notki biograficznej u dołu strony. Drżącą ręką Elliott kliknął na link i ku

swojemu przerażeniu odczytał daty urodzin i śmierci Ileny: 1947-1976!

Innych szczegółów nie było.

Nie mogąc oderwać wzroku od ekranu, próbował coś z tego zrozumieć.

Skoro 25 grudnia 1976 roku Ilena jeszcze żyła, a podana data śmierci dotyczyła tego samego roku, w takim razie jej śmierć musiała nastąpić w ciągu sześciu ostatnich dni. Ale kiedy? I dlaczego?

Wyszedł z kawiarenki i szybko wszedł do samochodu.

Trzeba przejrzeć gazety z tego okresu!

Właśnie to powinien zrobić w pierwszej kolejności. Zmienił pas, nie włączając kierunkowskazu i o mały włos nie zderzył się z jadącym z przeciwnej strony lexusem. Zawrócił i skierował się w stronę City Hall, gdzie znajdowała się siedziba „San Francisco Chronicle”.

Przez dwadzieścia minut szukał wolnego miejsca, bo znalezienie go o tej porze dnia graniczyło z cudem. Zostawił więc samochód w drugim rzędzie zaparkowanych pojazdów, spodziewając się, że kiedy wróci, może go już nie zastać. Zdyszany wbiegł do wnętrza oszklonego budynku, w którym znajdowały się biura słynnego dziennika. Kiedy powiedział, że chce w archiwum przejrzeć gazety z 1976 roku, młoda recepcjonistka wręczyła mu formularz do wypełnienia, tłumacząc, że jego prośba zostanie spełniona nie wcześniej niż za kilka dni.

– Za kilka dni! – krzyknął Elliott.

Powodem tak długiego oczekiwania miały być: „dni wolne”, „brak personelu”, „mikrofilm”, „zlokalizowanie rocznika”...

Wyjął banknot studolarowy, ale zrobiła obrażoną minę. Jednak kiedy dorzucił dwa inne, powiedziała: „Zobaczę, co się da zrobić”.

Kwadrans później stał przed przeglądarką i patrzył na kolejne strony „San Francisco Chronicle” z ostatnich dni 1976 roku. Ponieważ niczego nie znalazł w tytułach, w numerze z 26 grudnia przejrzał kronikę wypadków i natknął się na krótką wzmiankę, którą przeczytał kilkakrotnie, zanim wszystko do niego dotarło.

Ponowna próba samobójcza na Golden Gate

Wczoraj po południu kobieta rzuciła się z mostu Golden Gate w pobliżu barierki nr 69. Ilena Cruz - lekarka weterynarii mieszkająca na Florydzie - zdaniem paru świadków, o powierzchnię wody uderzyła nogami.

Po wyłowieniu przez patrol policji wodnej kobieta, która doznała licznych obrażeń wewnętrznych i złamań, została przewieziona karetką do Lenox Hospital. Lekarze określili jej stan jako „bardzo poważny”.

Elliott poczuł gwałtowny skurcz w żołądku i na kilka dobrych minut zastygł w bezruchu, ogłuszony paskudnym ciosem zadany przez los. Potem przejrzał gazetę z następnego dnia, z góry wiedząc, co w niej znajdzie.

Samobójczyni z Golden Gate nie miała szczęścia

W Lenox Hospital cud się nie zdarzył. Ilena Cruz - młoda kobieta, która w dniu wczorajszym skoczyła z mostu Golden Gate - zmarła wieczorem z powodu bardzo poważnych obrażeń wewnętrznych (szczegóły we wczorajszym numerze gazety) .

Ta kolejna śmierć znów wywołała dyskusję na temat konieczności zainstalowania na moście specjalnej bariery zabezpieczającej , przed czym dotychczas wzbraniała się Rada Golden Gate.

Wyszedł z budynku doszczętnie zdruzgotany. O dziwo, jego samochód stał nadal tam, gdzie go zostawił. Kiepska pociecha. Usiadł za kierownicą i ruszył w kierunku Lenox Hospital.

Musiał coś jeszcze sprawdzić.

*

San Francisco, 25 grudnia 1976 roku

Elliott ma 30 lat

Godzina 20.23

Dręczony niepokojem Elliott czekał, aż Ilena opuści blok operacyjny. Skoro nie miał w tym dniu dyżuru, nie chciano pozwolić mu jej operować. Zresztą, po wczorajszych ekscesach, nawet nie nalegał.

Końcowe orzeczenie lekarzy było katastrofalne: złamanie obu nóg i stóp, zwichnięcie biodra i ramienia, zgniecenie klatki piersiowej... Zderzenie z powierzchnią wody było tak brutalne, że spowodowało zmiążdżenie miednicy i poważne uszkodzenie nerek

oraz śledziony. Ponadto, krwawienie z pochwy mogło świadczyć o przerwaniu jelita i uszkodzeniu organów układu moczowego.

Elliott nie mógł ustać w miejscu. Chodził tam i z powrotem, zatrzymując się co chwila przed oszklonymi drzwiami oddzielającymi go od sali operacyjnej. Za dużo widział takich przypadków, by mieć jeszcze jakieś złudzenia.

Sam często operował rannych z urazami wielonarządowymi, więc pozostawał realistą: w tym stanie szansę na przeżycie były nieskończenie małe w porównaniu z ryzykiem śmierci. Zwłaszcza że w sytuacjach takich jak ta najczęściej następuje uszkodzenie kręgosłupa i przerwanie rdzenia kręgowego, co zwykle oznacza całkowity bądź częściowy paraliż.

Przez moment obraz Ileny sparaliżowanej i poruszającej się na wózku inwalidzkim ustąpił miejsca widokowi młodej kobiety, która jeszcze wczoraj pływała i nurkowała w towarzystwie delfinów.

On był wszystkiemu winien! Razem z tym drugim sądzili, że uratują Ilenę, ale zdołali jedynie opóźnić jej koniec o kilka godzin. Zamiast umrzeć utopiona przez orkę, popełniła samobójstwo, skacząc z mostu. Pięknie, nie ma co!

Próbowali rzucić wyzwanie przeznaczeniu, ale ono było silniejsze.

*

San Francisco, 25 grudnia 2006 roku

Elliott ma 60 lat

Godzina 22.59

Ulewny deszcz spływał potokami na Lenox Hospital.

Na trzecim poziomie podziemi budynku, w migającym świetle neonówek, Elliott przeglądał archiwalną dokumentację pacjentów sprzed trzydziestu lat.

Sala była zastawiona metalowymi regałami uginającymi się pod ciężarem kartonowych pudeł. Z pewnością kiedyś posegregowano dokumenty według określonego porządku, ale teraz w całym pomieszczeniu panował trudny do opisania bałagan. Miesiące, lata, oddziały: wszystko zostało rozrzucone i pomieszane.

Otwierając drżącymi rękami każdy karton i każdą teczkę, Elliott próbował znaleźć jakiś sens w tym, co przeżył w ciągu ostatnich trzech miesięcy. Z początku sądził naiwnie, że będzie mógł zmienić przeznaczenie, ale ono upomniało się o swoje. Wydawało się oczywiste: wolna wola i zdolność wpływania na los były tylko iluzją. Prawda jest taka, że nasze życie zostało zaprogramowane i nie ma sensu z tym walczyć. Niektóre wydarzenia są nieuchronne, zwłaszcza godzina śmierci. Przyszłości się nie tworzy. W głównych zarysach droga jest wytyczona i nie ma innego wyjścia, jak nią podążać. Wszystko stanowi całość – przeszłość, teraźniejszość, przyszłość – która nosi złowieszcze miano zrządzenia losu.

Lecz skoro wszystko zostało zapisane, kto trzyma pióro? Jakaś siła wyższa? Jakiś Bóg? I dokąd chce nas zaprowadzić?

Przekonany, że nigdy nie uzyska odpowiedzi na te pytania, skupił się na poszukiwaniach i po godzinie znalazł wreszcie to, czego szukał.

Karta przyjęcia Ileny do szpitala nie zniknęła, ale czas sprawił, że była prawie nieczytelna. Druk był rozmyty, a niektóre kartki pozlepiane pod wpływem wilgoci. Jednak kiedy Elliott przyjrzał się im w świetle neonowej lampki, zdołał odczytać to, co najważniejsze.

Rany odniesione przez Ilenę okazały się jeszcze potworniejsze, niż sobie wyobrażał. Wbrew temu, co wyczytał w gazecie, przyczyna

zgonu nie były liczne obrażenia wewnętrzne, lecz następstwa operacji, podczas której starano się usunąć krwaka mózgu.

Rzucił okiem na nazwisko lekarza, który operował Ilenę: doktor Mitchell.

Pamiętał go. Roger Mitchell był kompetentnym chirurgiem, ale...

Dlaczego sam jej nie operowałem?

Zdziwił go również brak wyników tomografii komputerowej. Dysponując tym, co znalazł, bez trudu odtworzył w myślach przebieg wydarzeń. Około czwartej nad ranem pielęgniarka zauważyła nierówne źrenice, co wskazywało, że jest krwaka mózgu. Operację przeprowadzono natychmiast, ale nie zakończyła się pomyślnie. Krwaka był umiejscowiony głęboko i w niedobrym miejscu. Na domiar złego, sytuację komplikowała rana zastawki żyłnej, niemożliwa do wykrycia bez tomografii komputerowej. Operacja była trudna do przeprowadzenia u pacjentki w stanie niewydolności oddechowej i z niskim wskaźnikiem przytomności.

Nawet najlepszy chirurg nie mógł jej uratować.

Chyba, że przed operacją...

Jego uwagę przykuła ostatnia informacja: pora zgonu.

Godzina 4.26 rano.

Odruchowo spojrzął na zegarek. Było przed północą.

*

San Francisco, 26 grudnia 1976

Elliott ma 30 lat

Godzina 00.23

– Usunąłem śledzionę i zszyłem część jelita – poinformował młodego kolegę doktor Mitchell.

Przerażony Elliott po raz pierwszy znajdował się po stronie przeciwnej: po stronie pacjentów i ich rodzin.

– A co z nerkami? – spytał.

– Jako tako. Natomiast obawiam się o układ oddechowy. Kilka sąsiednich żeber jest złamanych co najmniej w dwóch miejscach.

Elliott wiedział, co to oznacza. Jeden odcinek klatki piersiowej nie miał połączenia z resztą, więc istniało ryzyko odmy i krwiaka opłucnej, a w rezultacie niewydolności oddechowej.

– Jest uraz rdzenia kręgowego?

– Za wcześnie, by mieć pewność. W okolicy kręgosłupa... Jak wiesz, taka lokalizacja oznacza wszystko lub nic, równie dobrze może to być niegroźne...

– ...jak doprowadzić do całkowitego paraliżu – dokończył Elliott.

Mitchell się zastanawiał.

– Należy poczekać. Na razie nic więcej nie można zrobić.

– A tomografia komputerowa?

– Nie dziś wieczorem, bo jest problem z programem, który od samego rana bez przerwy nawala.

– Do jasnej cholery! – wrzasnął Elliott, waląc pięścią w drzwi.

– Uspokój się. Jest pod opieką. Pielęgniarka będzie do niej zaglądać co piętnaście minut. W każdym razie...

Zamierzał dodać coś jeszcze, ale się rozmyślił.

– W każdym razie co? – spytał Elliott.

– Jedyne, co możemy teraz zrobić, to się modlić. Modlić się o to, by nie trzeba było znów jej otwierać, bo w tym stanie nie przeżyje kolejnej operacji.

*

San Francisco, 26 grudnia 2006

Elliott ma 60 lat

Godzina 01.33

Elliott udał się na piętro, przyciskając do piersi dokumentację medyczną Ileny. Chociaż nie operował od dwóch miesięcy, nadal był dyrektorem administracyjnym szpitala, dzięki czemu zachował prawo do swojego gabinetu. Światło zapaliło się automatycznie, kiedy tylko otworzył drzwi. Wszedł do środka i zatrzymał się naprzeciwko okna, obserwując potoki wody spływające po szybach.

Następnie zaczął chodzić po pokoju, zastanawiając się, czy może coś jeszcze zrobić. Kolejny raz przejrzał dokumentację, po czym położył ją na stole obok marmurowej szachownicy z figurami o wymyślnych kształtach... Zamyślony, chwycił dwie figurki: laufra w kształcie stożka i wieżę w kształcie walca.

Stożek i walec...

Przypominały mu pewną opowieść, którą czytał w czasie studiów.

Postawił stożek na biurku i popchnął go – figurka zaczęła się obracać. W ten sam sposób popchnął walec. Ten potoczył się po biurku, spadł na podłogę i się rozbił.

Dwie figurki otrzymały podobne pchnięcie, ale potoczyły się inaczej. Jaki morał z tej historii? Ludzie różnie reagują na podobne ciosy od losu. Nawet jeśli nie mogą uniknąć swojego przeznaczenia, mogą się mu przeciwstawić.

Ożywiony tą myślą Elliott włożył rękę do kieszeni i natrafił na flakonik z pigułkami.

Przeżył okropny dzień, który jeszcze nie dobiegł końca. Tymczasem czuł się dziwnie spokojny.

Bo człowiek jest najsilniejszy wtedy, gdy stacza swoją ostateczną bitwę.

19

Spotkanie siódme i ósme

Gdyby młodość wiedziała.

Gdyby starość mogła...

San Francisco, 26 grudnia 1976

Elliott ma 30 lat

Godzina 02.01

Szpital zasnął ukołyszany szumem deszczu.

W maleńkiej sali panował półmrok. Ilena leżała z zamkniętymi oczami pod płataniną rurek od kroplówki, w ustach miała rurę respiratora.

Siedzący obok łóżka Elliott lekko naciągnął na nią prześcieradło, jakby się obawiał, że ukochana może się przeziębic. Zmieszany, wyciągnął dłoń w stronę jej twarzy. Kontakt ze skórą Ileny sprawił, że poczuł nieznośne ukłucie w sercu.

Widział obrzmiałe rysy twarzy i posiniąle usta, i zdawał sobie sprawę, że na jego oczach toczy się walka o przetrwanie.

O życie wiszące na włosku.

Gotowym zerwać się w każdej chwili.

*

Drzwi sali się uchyliły. Elliott odwrócił się, myśląc, że wchodzi pielęgniarka. Ale to nie była ona.

– Trzeba ją operować! – oznajmił mężczyzna z przyszłości tonem nieznoszącym najmniejszego sprzeciwu.

Elliott zerwał się na równe nogi.

– Operować co?

– Krwiaka nadoponowego mózgu!

Młody lekarz ogarnięty paniką uniósł powieki Ileny, ale jednakowej wielkości źrenice nie świadczyły o obecności krwiaka.

– Skąd pan o tym wie?

– Ze świadectwa zgonu. A ty także byś o tym wiedział, gdybyś wykonał tomografię komputerową...

– Spokojnie – bronił się Elliott. – Mamy rok tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty szósty. Aparatura wysiada, co drugi program się myli. Czy niczego to panu nie przypomina?

Tamten nawet nie starał się odpowiedzieć, oglądając w skupieniu wykres elektrokardiogramu.

– Każ przygotować blok operacyjny, szybko! – powiedział tylko, wskazując wiszący na ścianie telefon.

– Zaraz, zaraz, przecież ona ma liczne urazy klatki piersiowej, jeśli teraz ją otworzymy, może umrzeć.

– Owszem, ale jeśli tego nie zrobimy, umrze z całą pewnością.

Elliott rozważał w myślach ten argument, po czym zgłosił kolejne zastrzeżenie:

– Mitchell nie będzie operował Ileny, opierając się jedynie na intuicji.

Tamten tylko wzruszył ramionami:

– Mylisz się, sądząc, że pozwolę, by Mitchell ją operował.

– W takim razie, kto to zrobi?

– Ja.

Elliott nie oponował, choć widział jeszcze jeden problem:

– Nie możemy operować tylko my dwaj! Potrzebujemy przynajmniej jednego anestezjologa i jednej pielęgniarki.

– Który anestezjolog ma dyżur?

– Myślę, że Samantha Ryan.

Stary lekarz kiwnął głową i rzucił okiem na zegar ścienny.

– Spotykamy się za dziesięć minut na bloku operacyjnym! – rzucił, wychodząc z sali. – Przygotuj Ilenę do operacji. Ja tymczasem zajmę się Ryan.

*

Sześćdziesięcioletni Elliott wpadł do prawie pustego hallu, w którym unosił się silny zapach eteru. Żeby nie zwracać na siebie uwagi, zamienił marynarkę na biały fartuch. Znał szpital jak własną kieszeń, więc bez trudu trafił do pokoju, w którym odpoczywała Samantha Ryan.

– Cześć, Sam – zawołał, zapalając światło.

Przyzwyczajona do snu często przerywanego w czasie nocnych dyżurów, młoda kobieta zerwała się na równe nogi i przesłoniła dłonią oczy oslepiona blaskiem lampy. Mimo że twarz mężczyzny wydała się znajoma, nie umiała przypisać jej nazwiska.

Elliott podał Samancie kubek z kawą. Wzięła go i odgarnęła kosmyki włosów spadające na twarz.

Była to nietypowa dziewczyna: około trzydziestki, irlandzkiego pochodzenia, lesbijka i praktykująca katoliczka. Pracę w szpitalu podjęła przed dwoma laty, po uprzednim zerwaniu związków z rodziną mieszkającą w Nowym Jorku, gdzie ojciec i brat stanowili podporę New York Police District. W ciągu paru kolejnych lat ona i Elliott mieli się zaprzyjaźnić, ale w 1976 roku Samantha była jeszcze

samotna, skryta i zakompleksiona. W szpitalu nie znalazła żadnych przyjaciół, mówiono, że zachowuje się jak osoba autystyczna.

– Potrzebuję pani przy operacji, Sam.

– Natychmiast?

– Natychmiast. Do usunięcia krwiak nadoponowy u pacjentki z niewydolnością oddechową.

– U tej samobójczynie? – spytała, pijąc kawę małymi łykami.

– Dokładnie tak.

– Ona z tego nie wyjdzie – stwierdziła ze spokojem.

– O tym zadecyduje przyszłość – odparł Elliott.

Rozwinęła paczuszkę z folii aluminiowej i wyjęła z niej kilka ciasteczek Oreo.

– A kto operuje? – spytała, maczając ciastko w kawie.

– Ja.

– A kim pan właściwie jest?

– Kimś dobrze pani znanym.

Wzrok młodej kobiety napotkał oczy lekarza. Przez chwilę wydawała się dezorientowana, a na jej twarzy pojawiło się zdziwienie, które Elliott od razu zauważył.

– Trzeba działać szybko – oznajmił.

Samantha pokręciła głową:

– Operować może tylko doktor Mitchell. Nie ma mowy, bym asystowała przy jakimś dzikim zabiegu, bo mnie wywałą.

– Istnieje pewne ryzyko, ale i tak musi mi pani pomóc...

– Nie mam wobec pana żadnych zobowiązań – odparła, wzruszając ramionami.

– Wobec mnie nie, ale wobec Sarah Leeves...

Nie dokończył zdania, a ona patrzyła na niego spanikowana. Sarah Leeves była prostytutką, która dwa lata temu zgłosiła się do szpitala po tym, jak została pobita i pokaleczona nożem. Operowano ją natychmiast, ale nie przeżyła operacji.

– To były pani początki w tym szpitalu i to pani miała wtedy dyżur – przypomniał jej Elliott. – Jest pani dobrym anestezyjologiem, Sam, jednym z lepszych, ale tamtego wieczoru coś pani spieprzyła...

Samantha zamknęła oczy i po raz tysięczny ujrzała tę samą scenę: drobny błąd, dwa pomyłone preparaty i ta kobieta już się nie obudziła.

– Trzeba przyznać, że bardzo zrećnie ukryła pani swoją pomyłkę – ciągnął Elliott – a śmierć jakiejś prostytutki niewiele kogokolwiek obeszała.

Samantha nadal siedziała z zamkniętymi oczami. Popełniła tę pomyłkę przez roztargnienie. Tamtego wieczoru myślami była gdzie indziej. W Nowym Jorku, przy ojcu, który nawymyślał jej od „zdzir i kurewek”, przy matce, która co sekundę powtarzała słowo „wstyd”, i przy braciach, którzy zmuszali ją do wyjazdu z miasta.

Kiedy otworzyła oczy, z przerażeniem spojrzała na Elliotta.

– Skąd pan to wszystko wie?

– Pani sama mi o tym opowiedziała.

Samantha zaprzeczyła ruchem głowy. Nigdy nikomu nie opowiadała o tym wydarzeniu, nawet spowiednikowi. Ale od dwóch lat modliła się żarliwie, aby tę winę odkupić. Dałaby wszystko, żeby cofnąć czas i sprawić, by tamten dzień nigdy nie miał miejsca. Ileż to razy błagała niebo, żeby zesłało jakąś okazję, żeby...

– ...uratować czyjeś życie i odkupić tamtą śmierć... – dokończył Elliott, czytając w jej myślach.

Po paru sekundach wahania Samantha zapięła bluzę i powiedziała po prostu:

– Jadę na salę operacyjną.

Elliott już zamierzał pójść za nią, kiedy poczuł drżenie ręki.

O, cholera!

Wszedł do łazienki, na szczęście pustej o tej porze. Wpadł w panikę, czując, że zaczyna znikać. Pochylił się nad umywalką i obmył twarz zimną wodą. W przeciwieństwie do Samantha Ryan nie wierzył w Boga, co nie przeszkodziło mu zwrócić się do niego z modlitwą.

Spraw, żebym mógł ją operować! Pozwól mi zostać trochę dłużej!

Jednak Bóg, w którego nie wierzył, zlekceważył jego prośby, i Elliott nie miał innego wyjścia, jak dać się wessać w otchłań czasu.

*

Obudził się w 2006 roku, skulony w fotelu, w swoim gabinecie. Przerażony spojrzął na zegarek leżący na półce. Była godzina druga dwadzieścia trzy.

Miał jeszcze trochę czasu, pod warunkiem że jak najszybciej wyruszy w przeszłość. Drżąc na całym ciele, łyknął kolejną pigułkę, ale nic się nie wydarzyło. To normalne, substancja działała jedynie podczas snu. Tymczasem on był zbyt zdenerwowany, żeby zasnąć na zawołanie. Szybko wyszedł na korytarz i ściągnął windę, by udać się do szpitalnej apteki. Tam złapał fiolkę Hypnosenu, leku powodującego utratę świadomości, stosowanego przed podaniem narkozy w celu przygotowania pacjentów do operacji. Czym prędzej popędził do gabinetu, chwycił torbę lekarską i wyjął strzykawkę jednorazową. Odmierzył niewielką ilość lekarstwa i wstrzyknął sobie do żyły. Nie czekał długo na efekt. Niebawem odpłynął do krainy snów i zjaw.

*

W tym samym momencie, w 1976 roku, trzydziestoletni Elliott kończy przygotowywać Ilenę do operacji. Goli jej głowę i odłącza respirator. Zamiast niego podłącza balonik, żeby ułatwić Ilenie oddychanie w czasie transportu, po czym – możliwie najdyskretniej – wiezie ją na blok operacyjny, gdzie czekają już Samantha Ryan i pielęgniarka.

Za to nigdzie nie ma jego alter ego. Dopiero po chwili słyszy pukanie w szybę. To stary lekarz daje mu znaki, żeby poszedł się umyć, więc Elliott dołącza do niego bez słowa. Nareszcie razem, dwaj chirurdzy podwijają rękawy do łokci i przygotowują się w milczeniu, szorując dokładnie ręce i nacierając je płynem antyseptycznym. Następnie wkładają fartuchy, maski, rękawice z lateksu i papierowe czepki.

*

Potem wchodzi jednocześnie do sali operacyjnej.

Elliott staje z tyłu, pozwalając swojemu drugiemu ja pokierować całością. Tamten jest spokojny, a jego gesty są skoordynowane, kiedy układa Ilenę na stole operacyjnym. Utrzymuje jej głowę w linii osi ciała, unikając najmniejszego obrotu. Wie, że kobieta ma liczne urazy kręgosłupa, więc nie chce jej zaszkodzić jakimś zbyt szybkim ruchem.

Wreszcie operacja się zaczyna. Starszy z lekarzy odczuwa szczególne wzruszenie: przestał operować dwa miesiące temu i już nie myślał, że jeszcze kiedykolwiek weźmie skalpel do ręki. Jego ruchy są precyzyjne. Z czasem nauczył się panować nad emocjami towarzyszącymi tym ekstremalnym sytuacjom. Doskonale wie, gdzie trzeba naciąć, dłonie mu nie drżą, wszystko idzie dobrze do chwili, gdy...

– Kto panu pozwolił operować?

Na salę wszedł właśnie blady z wściekłości Mitchell, i patrzy teraz na Samantę, Elliotta i jego drugie wcielenie.

– Kto to jest? – pyta, ruchem brody wskazując starego chirurga, który ze spokojem odpowiada:

– Pan nie jest sterylny, doktorze Mitchell, i przeoczył pan krwiaka.

Urażony, Mitchell naciąga maskę na twarz i grozi:

– Tak nie może być!

– Proszę się zdezynfekować – powtarza Elliott, zmuszając go do wyjścia z sali.

Operacja przebiega w zadziwiająco spokojnej atmosferze. Za oknami szaleje burza, słychać deszcz smagający szyby i z hukiem spływający rynnami. Trzydziestoletni Elliott patrzy na swoje drugie ja z mieszaniną podziwu i niedowierzania. Elliott sześćdziesięcioletni skupia się na tym, co robi. Nawet jeśli wszystko idzie dobrze, jest rzeczą oczywistą, że głębokie umiejscowienie krwiaka, jego rozmiar i niewydolność oddechowa Ileny powodują, iż szanse na uratowanie jej życia są znikome. W najlepszym wypadku stan śpiączki pociągnie za sobą pojawienie się ognisk niedokrwienia, a więc poważne konsekwencje.

Jakie są jej szanse?

Z medycznego punktu widzenia, pięć na sto, że przeżyje. Ale tylko jedna na tysiąc, że uniknie powikłań.

W czasie całej swojej kariery zawodowej Elliott nauczył się traktować te liczby z wielką ostrożnością. Spotkał się z przypadkami pacjentów, którym lekarze nie dawali nawet trzech miesięcy, a oni żyli jeszcze dziesiątki lat. Lecz był także świadkiem rutynowych operacji, które kończyły się dramatycznie.

O tym właśnie myśli, kiedy nagle strumień krwi tryska mu na twarz. Tego się obawiał, rany zatoki uciśniętej krwiakiem.

Krwawienie jest obfite, ale asystujące osoby zostały w porę uprzedzone i teraz ostrożnie tamują krwotok. Elliott stara się opanować emocje, skupiając się wyłącznie na polu operacyjnym. Zapomniał nawet, że operuje Ilenę. Bo gdyby przywołał w myślach jej obraz, nie uniknąłby drżenia rąk i mgły wzruszenia przed oczami.

Wszystko odbywa się zgodnie z planem, do czasu gdy na salę wkracza ponownie Mitchell, tym razem w towarzystwie ordynatora oddziału. Stwierdzają naruszenie przepisów, ale nie próbują przerwać operacji, która dobiega końca. Uprzedzając pierwsze drgawki, sześćdziesięciolatek odwraca się w stronę trzydziestolatka i oznajmia:

– Resztę zostawiam tobie.

Zdejmuje z siebie bluzę i czepek, ściąga rękawice poplamione krwią i patrzy na swoje dłonie: wytrzymały do końca bez drżenia, dłużej, niż się spodziewał.

– Dziękuję – szepce Elliott, sam nie wiedząc, do kogo kieruje te podziękowania.

To była jego ostatnia operacja. Najważniejsza w życiu.

Kiedy zaczyna znikać na oczach otaczających go osób, ma pewność, że dobrze wywiązał się ze swojego zadania.

Od tej chwili już nie boi się śmierci.

Spotkanie ostatnie

Kiedy mamy dwadzieścia lat, tańczymy w centrum świata. Kiedy mamy trzydzieści – kręcimy się w kółko. W wieku pięćdziesięciu lat chodzimy po obwodzie, starając się nie patrzeć ani na zewnątrz, ani do wewnątrz. Później nie ma to żadnego znaczenia. To przywilej dzieci oraz starców. Jesteśmy niewidoczni.

Christian Bobin

San Francisco, rok 2006

Elliott ma 60 lat

Kiedy Elliott otworzył oczy, leżał zakrwawiony na zimnej posadzce swojego gabinetu. Podniósł się z trudem i dotknął ręką nosa, z którego krew lała się strumieniem. Raz jeszcze naczynia krwionośne zapłaciły haracz za podróż w czasie, i teraz musiał zużyć kilkanaście tamponów z waty, żeby powstrzymać krwotok.

W świetle budzącego się dnia jedna myśl nie dawała mu spokoju: czy udało się uratować Ilenę?

Usiadł przed komputerem, by po wczorajszych bezskutecznych poszukiwaniach Ileny Cruz jeszcze raz spróbować szczęścia. Zajrzał do książki telefonicznej *online*, rozszerzając zakres poszukiwań na całą Kalifornię. Udało się – na ekranie pojawił się jakiś adres w Weaverville, miasteczku leżącym na północy stanu.

A jeśli to fałszywy trop? Przedwczesna radość?

Przekonać się mógł tylko w jeden sposób.

Opuścił gabinet, zszedł do hallu, a po krótkim przystanku przy automacie z kawą udał się na parking i wsiadł do samochodu. Jadąc odpowiednio szybko, dotrze do Weaverville w czasie krótszym niż sześć godzin. Jego stary garbus był zmęczony, podobnie jak on sam, ale Elliott żywił nadzieję, że jeszcze trochę wytrzyma. Tylko trochę...

Chociaż wyruszył wczesnym rankiem przed wschodem słońca, niebo miało metaliczny niebieski kolor z powodu ulewnego deszczu, który padał poprzedniego wieczoru.

Wyjechał z San Francisco na Highway 101 i pokonał szybko pierwsze dwieście kilometrów.

Minąwszy Leggett, zjechał z autostrady, wybierając malowniczą drogę wijącą się serpentynami aż do Ferndale i prowadzącą przez Cape Mendocino. Obmywana falami Pacyfiku szosa biegła przy samym brzegu, po urwistych skałach wiszących nad oceanem. Elliott podążał wzdłuż wybrzeża aż do Arcata, gdzie wjechał na Highway 299, jedyną przejezdną drogę przecinającą góry ze wschodu na zachód. Krajobraz zachował tu dziki wygląd dzięki skupiskom wielkich sekwoi, szerokim pasom zieleni i srebrzystym świerkom.

Po pięciu godzinach jazdy dotarł do Weaverville, samotnego miasteczka leżącego w samym sercu gór. Zaparkował garbusa na głównej ulicy i wszedł do pobliskiego drugstore'u, żeby spytać o adres Ileny Cruz. Wskazano mu leśną ścieżkę na końcu miasteczka, którą postanowił pójść pieszo. Po około dwudziestu minutach marszu zauważył niewielki drewniany domek zbudowany poniżej drogi. W pobliżu słychać było szum wodospadu. Elliott zatrzymał się, kryjąc za sekwoją, która najwidoczniej przetrwała wyřęby lasów, tak powszechne w poprzednim stuleciu. Dla ochrony przed rażącym światłem obiema dłońmi przesłonił zmęczone oczy.

Pod daszkiem werandy, naprzeciwko ośnieżonych szczytów górskich siedziała jakaś kobieta.

Tego popołudnia Elliott widział ją tylko z tyłu, ale miał absolutną pewność, że to ona.

Przez trzydzieści lat byli rozłączeni, a teraz dzieliło ich zaledwie trzydzieści metrów.

Przez moment sądził, że pokona tę przestrzeń, że wszystko Ilenie opowie, że weźmie ją w ramiona i wreszcie znowu poczuje zapach jej włosów.

Było jednak za późno. Ostatnie podróże w czasie go osłabiły. Bardziej niż dotychczas czuł, że życie ma już za sobą, że przegrał walkę z rakiem.

Usiadł więc pod tysiącletnim drzewem i patrzył na Ilenę.

Było przyjemnie ciepło, i w tym odosobnionym i spokojnym miejscu poczuł się wreszcie uwolniony od ciężaru czasu i zmartwień.

Po raz pierwszy w życiu odzyskał spokój wewnętrzny.

*

San Francisco, rok 1976

Godzina dziewiąta rano

Elliott ma 30 lat

Od operacji Ileny minęły dwa dni.

Chociaż młoda kobieta dość szybko wyszła ze śpiączki, rokowania co do jej szans na przeżycie były raczej wątpliwe.

Opowieść o operacji obiegła już cały szpital, wywołując niedowierzanie. Dyrekcja przez kilka godzin zastanawiała się, jak powinna zareagować. Czy należy zgłosić incydent policji, narażając

na szwank dobre imię Lenox Hospital? Dyrektorowi i ordynatorowi oddziału chirurgii zbyt zależało na reputacji, by sporządzić raport i donieść w nim o „nieznanym mężczyźnie”, który na oczach wszystkich obecnych w sali operacyjnej „nagle rozpląnął się w powietrzu”. W końcu poprzestano na dwumiesięcznym zawieszeniu Elliotta i Samantha w pełnieniu obowiązków.

Zapoznawszy się z tym werdyktem, młody chirurg zamierzał właśnie opuścić szpital, kiedy zawołała go jedna z pielęgniarek.

– Telefon do pana, doktorze! – oznajmiła, podając mu słuchawkę.

– Halo?

– Jestem naprzeciwko – usłyszał znajomy głos. – Przychodź szybko.

– Naprzeciwko?

– U Harry'ego. Mam coś dla ciebie zamówić?

Nie tracąc czasu na odpowiedź, Elliott rozłączył się i przebiegł przez ulicę.

Gęste welony mgły rozciągające się na wietrze i owijające wokół latarni ograniczały widoczność do trzech metrów. Harry's Diner był restauracją urządzoną w stalowym wagonie ustawionym naprzeciwko wejścia do izby przyjęć nagłych wypadków. Wystrój typowy dla lat pięćdziesiątych nadawał długiej sali staroświecki wygląd. Elliott pchnął drzwi i we wnętrzu ujrzał swoich kolegów lekarzy, którzy w towarzystwie pielęgniarek pałaszowali w pośpiechu śniadanie.

W głębi zadymionej sali dostrzegł swoje drugie wcielenie. Mężczyzna siedział przy stole nad kubkiem kawy.

– No i co? – spytał Elliott, sadowiac się na kanapie obitej moleskinem.

– Udało się!

– A więc Ilena będzie żyła?

– Stary lekarz potwierdził skinieniem głowy. Przez chwilę Elliott nie dowierzał, a potem zapytał:

– A co z następstwami?

Jednak tamten odpowiedział wymijająco.

– Posłuchaj, chłopie, ona żyje, uratowaliśmy ją...

Elliott postanowił uczepić się tego zdania, i przez kilka minut siedzieli naprzeciwko siebie, milcząc, zjednoczeni w jakimś uroczystym skupieniu.

Z powodu bezsennej nocy i nerwowego napięcia, które towarzyszyło im w ostatnich dniach, obaj mieli ściągnięte rysy twarzy. Wszystkie siły skupili na dziwnej walce z przeznaczeniem, z której najwidoczniej wyszli zwycięsko.

Pierwszy skapitulował Elliott. Rozplakał się ze zmęczenia, nie będąc pewien, czy te łzy przynosiły mu ulgę, czy, wprost przeciwnie, wywoływały jeszcze większy zamęt.

Przetarł oczy i spojrział przez okno. Na zewnątrz mgła nadal rozpościerała swoją gęstą białą firankę zasłaniającą chodniki i hydranty przeciwpożarowe.

– Wszystko będzie dobrze, chłopie...

– Nie, nic nie będzie dobrze! Straciłem to, co kochałem: Matta! Ilenę! I pan jest temu winien!

– Możliwe, ale tak to już jest: musisz dotrzymać danego mi słowa, podobnie jak ja dotrzymałem swojej obietnicy...

– Łatwo panu mówić!

– Już o tym dyskutowaliśmy! Nie wiem, jakim cudem udało się nam uratować Ilenę, więc postaraj się wszystkiego nie zepsuć. Żyj

dalej tak, jak obiecałeś, bo jedyną rzeczą, co do której mam pewność, jest to, że cuda nie zdarzają się dwa razy.

– Niełatwo będzie z tym żyć...

– Czekają cię trudne lata – przyznał stary lekarz. – Potem się przyzwyczaisz. Ale będziesz musiał radzić sobie sam.

Elliott spojrzał na niego, marszcząc brwi. Tamten zaś oznajmił:

– Widzimy się po raz ostatni, chłopie.

Elliott wzruszył ramionami.

– Mówi pan tak za każdym razem.

– Tym razem to prawda. Nie będę już mógł wrócić, nawet gdybym bardzo tego pragnął.

W kilku słowach opowiedział mu historię pigulek, wyjaśnił okoliczności, w jakich je dostał, i opisał ich nieoczekiwane działanie, które pozwoliło mu podróżować w czasie...

Jeszcze nie skończył, a już Elliott zamierzał zasypać go pytaniami. Jednak tamten wstał, gotów opuścić restaurację. Młody chirurg zrozumiał, że nie dowie się niczego więcej i że już nigdy nie zobaczy mężczyzny z przyszłości.

W tych ostatnich chwilach poczuł, jak ogarnia go niespodziewane wzruszenie. Przed dwoma dniami, w czasie operacji Ileny, człowiek, który był jego alter ego, zaimponował mu mistrzostwem i zdolnością podejmowania właściwych decyzji. Teraz żałował, że miał zbyt mało okazji, by poznać go lepiej.

Stary lekarz powoli zapinał płaszcz. Czuł, że zaraz odejdzie, ale z doświadczenia wiedział, że potrwa to jeszcze dwie, trzy minuty.

– Wolałbym nie zniknąć tu, w tej restauracji...

– Faktycznie, mógłbym mieć kłopoty.

W chwili rozstania sześćdziesięcioletni Elliott położył na chwilę dłoń na ramieniu Elliotta trzydziestoletniego, po czym ruszył w stronę wyjścia.

Będąc prawie przy drzwiach, odwrócił się ostatni raz i skinął głową swojemu drugiemu ja. Kiedy ich spojrzenia się spotkały, w oczach młodego lekarza zauważył to, co czasem widywał w oczach pacjentów: smutek ludzi, którzy nigdy nie wyleczyli się z dzieciństwa.

Zamiast wyjść, zawrócił. Chciał coś jeszcze powiedzieć, jedno zdanie, na które czekał przez wiele lat, ale którego nikt nigdy nie wypowiedział.

Jedno proste zdanie, którego treść usiłował zrozumieć przez całe życie.

– Nie byłeś niczemu winien...

Młody lekarz nie od razu pojął, co tamten ma na myśli.

– Nie byłeś niczemu winien...

– Co takiego?

– Nie ponosisz winy za śmierć mamy ani za razy wymierzone jej przez tatę...

Sześćdziesięcioletni Elliott nie dokończył, czując, że głos odmawia mu posłuszeństwa. Musiał wziąć głęboki wdech, żeby raz jeszcze powtórzyć to samo, jak litanie:

– ...nie byłeś niczemu winien.

– Dobrze wiem – skłamał Elliott zmieszany i zaskoczony słowami, których się nie spodziewał.

– Nie, jeszcze tego nie wiesz – perswadował spokojnie ten, którym miał się stać później. – Jeszcze tego nie wiesz...

Nagle między dwoma mężczyznami nastąpiło coś w rodzaju porozumienia, jakaś doskonała zgodność trwająca ułamek sekundy. Potem starszy mężczyzna zaczął drżeć.

– Żegnaj, chłopie! – rzucił na odchodne. – Teraz twoja kolej!

Elliott usiadł na kanapie. Patrzył przez szybę, jak jego drugie ja znika we mgle. Nie spotka go już nigdy więcej.

21

Życie bez ciebie...

Życie rozsypie się jak wielki smutny zamek, w którym hula wiatr.

Louis Aragon

Rok 1977

Elliott ma 31 lat

Jest letnia noc w San Francisco.

Elliott pali papierosa na dachu szpitala, patrząc przed siebie niewidzącym wzrokiem. U jego stóp rozciąga się miasto, ale ten widok go nie interesuje. Nie spotkał Ileny od czasu przeniesienia jej do Miami, i bardzo z tego powodu cierpi.

Nagły poryw wiatru wznieca trochę kurzu. Młody chirurg spogląda na zegarek i gasi papierosa. Za pięć minut przeprowadza operację, szóstą tego dnia.

Musi żyć jak duch, zatracić się w pracy, przyjmować wszystkie nocne dyżury...

Po to, by nie umrzeć.

*

Ilena otwiera oczy w chwili, gdy nad Miami wstaje świt.

Od sześciu miesięcy leży w szpitalnym łóżku cała obolała, z potrzaskanymi nogami. Ma już za sobą cztery operacje i na tym nie koniec.

Psychicznie czuje się jeszcze gorzej. Odnosi wrażenie, że wszystko jest chaosem, w którym słycać jedynie wycie jakichś bestii i trzaskanie drzwiami.

Niewiele mówi, nie życzy sobie żadnych odwiedzin, nie chce widzieć Matta ani kolegów z pracy...

Czuje się taka słaba. Bezsilna.

Jak ma wyrwać z siebie ból i wstyd?

*

Matt opuścił dach samochodu i jedzie z dużą prędkością autostradą prowadzącą do Seattle. Brutalne zerwanie z Elliottem zrujnowało mu życie. On także stracił wszystkie punkty orientacyjne i to, w co wierzył. Czuje się jak samotny nędznik, kiedy myśli o Tiffany, której tak łatwo pozwolił odejść. Teraz jest gotów za wszelką cenę ją odnaleźć. W każdy weekend niestrudzenie przemierza kraj wzdłuż i wszerz. Jedyne wskazówki, jakie posiada, są jej nazwisko i od dawna nieaktualny numer telefonu.

Dlaczego tak mu na niej zależy? Nawet się nad tym nie zastanawia. Jedno jest pewne – musi odnaleźć tę kobietę, ponieważ przeczuwa, że ona może być stałym elementem jego życia.

Jego portem docelowym.

*

Rok 1978

Ilena ma 32 lata

Styczeń, ośrodek rehabilitacyjny na Florydzie. W tle słychać nokturny Chopina.

Po raz pierwszy w tym stuleciu w Miami pada śnieg. Młoda kobieta siedząca w fotelu inwalidzkim obserwuje przez okno białe, leciutkie płatki wirujące w powietrzu.

Dlaczego nie umarłam... myśli z żalem Ilena.

*

Koniec sierpnia, zabita deskami dziura, gdzieś w Teksasie.

Kelnerka z baru przegląda się w lusterku.

Trzy dni temu świętowała swoje trzydzieste piąte urodziny. Też mi święto! Raczej pogrzeb, myśli Tiffany, poprawiając swój służbowy strój.

Przed paroma tygodniami wróciła na łono rodziny i odtąd serwuje piwo miejscowym prostakom zagląającym jej w dekolt. Wróciła do punktu wyjścia, do życia, przed którym uciekła w wieku siedemnastu lat, zamierzając szukać szczęścia w Kalifornii. W tamtych czasach powszechnie uważano ją za piękność. Umiała śpiewać, tańczyć, ale to nie wystarczyło, by zostać dostrzeżoną w tłumie, ani w San Francisco, ani w Hollywood.

– Nalej mi jeszcze jedno, ślicznotko! – domaga się któryś z klientów, potrząsając kuflem.

Tiffany wzdycha. To koniec jej marzeń o sławie.

Panuje nieznośny upał. Zza okien otwartych na oścież dobiega pisk opon, a po paru sekundach w barze pojawia się nowy klient.

Z początku kobieta nie wierzy własnym oczom, potem upewnia się, że „to naprawdę on”.

Nie zapomniała o nim i często żałowała, że go rzuciła, zanim ich związek zdążył zacząć się na dobre.

On rozgląda się po sali i nagle w jego oczach pojawia się błysk.

Ona domyśla się, że przyjechał tu specjalnie dla niej i że życie sprawia czasami niespodzianki w chwili, gdy najmniej się ich oczekuje.

Matt podchodzi i mówi nieśmiało:

– Szukałem cię wszędzie.

Tiffany odpowiada:

– Zabierz mnie stąd.

*

Rok 1979

Elliott ma 33 lata

Jest jesień. Podczas kilkudniowego pobytu Elliotta na Sycylii seria trzęsień ziemi nawiedza południowe Włochy. Oczywiście lekarz bez wahania oferuje swoją pomoc poszkodowanym i zostaje przydzielony do ekipy Czerwonego Krzyża w Santa Sienna, niewielkim, bardzo starym miasteczku przyczepionym do zbocza góry. W ten sposób zostaje zapoczątkowana jego długa współpraca z tą słynną organizacją pozarządową, choć on sam jeszcze o tym nie wie. W miasteczku osuwający się grunt zmiotł wszystko na swojej drodze: domy, samochody...

W strugach ulewnego deszczu krzątają się ratownicy przeszukujący rumowisko. Znajdują około dwudziestu ciał, ale również wielu żywych uwieczonych pod zwałami ziemi.

O zmierzchu słyszą jęki sześciolatniego chłopca dochodzące ze studni. Spuszczają pochodnię przyczepioną do liny. Otwór jest głęboki, a na wpół zasypana studnia w każdej chwili grozi zawaleniem. Chłopiec tkwi po pas w błocie, a poziom wody cały czas się podnosi. Próbują wyciągnąć go za pomocą liny, ale malec nie może się jej uczepić.

Bez chwili zastanowienia Elliott obwiązuje się liną i zjeżdża w głąb studni.

Nie ma się czym chełpić. Dobrze wie, że nic mu nie grozi. Wystarczająco dużo dowiedział się o swojej przyszłości, by mieć pewność, że dożyje przynajmniej do sześćdziesiątki.

Przez najbliższe dwadzieścia siedem lat będzie „nieśmiertelny”.

*

Rok 1980

Elliott ma 34 lata

Zima. Jakaś plaża smagana wiatrem.

Opierając się na lasce, Ilena przemierza kilka metrów, a potem siada na wilgotnym piasku.

Lekarze powtarzają jej, że jest jeszcze młoda, że ma silną wolę i pewnego dnia będzie mogła chodzić prawie normalnie. Tymczasem środki przeciwbólowe, którymi się faszkuje, nie pomagają, ból jest wszechobecny, w całym ciele, w głowie. Boli nawet dusza.

*

Ósmy grudnia, Lenox Hospital, pokój wypoczynkowy personelu medycznego.

Leżąc na kanapie z zamkniętymi oczami, Elliott odpoczywa przed kolejną operacją. Słyszy szum rozmów kolegów po fachu: kto

za Reaganem, kto przeciw? Kto strzelał w Dalias do JR? Kto słyszał ostatnią piosenkę Steviego Wondera?

Ktoś włącza telewizor i nagle:

Tej nocy w Nowym Jorku, pod Dakota Building szaleniec Mark Chapman zamordował Johna Lennona. Pomimo natychmiastowej pomocy lekarze ze szpitala Roosevelta nie zdołali uratować ex-Bitelsa.

*

Rok 1981

Jest słoneczny dzień w Napa Valley.

Matt i Tiffany spacerują między szpalerami winorośli, trzymając się za ręce.

Od trzech lat są razem, w doskonałej harmonii, nieprawdopodobnie szczęśliwi... Jak dużo jest na świecie osób, z którymi można doznać tyle szczęścia? Czy miłość może trwać przez całe życie?

*

Rok 1982

Druga rano, w sypialni niewielkiego mieszkanca na Lower Haight.

Eliott wstaje z łóżka, starając się nie obudzić śpiącej obok kobiety, którą poznał przed kilkoma godzinami w jednym z barów w centrum miasta. Podnosi z podłogi swoje majtki, dżinsy oraz koszulę

i ubiera się po cichu. Kiedy jest gotowy do wyjścia, zatrzymuje go pytanie:

– Już idziesz?

– Tak, ale ty nie wstawaj. Zatrzasnę drzwi.

– A prawda, mam na imię Lisa! – mruczy dziewczyna, zakopując się w pościel.

– Wiem.

– Tak? To dlaczego mówiłeś do mnie Ilena?

*

Rok 1983

Matt i Tiffany leżą na łóżku wtuleni w siebie po akcie miłosnym.

Po policzku kobiety spływają łzy. Od pięciu lat starają się z Mattem o dziecko. Bez skutku.

Tymczasem ona skończyła właśnie czterdzieści lat.

*

Rok 1984

Mijają dni, tygodnie, lata...

Ilena odzyskała chęć do życia.

Znów może chodzić. Trochę utyka, pociąga noga, ale chodzi.

Nie ma mowy o powrocie do zawodu, ale godzi się z tym. Kipi energią, prowadzi wykłady z biologii morskiej na Uniwersytecie

Stanforda i aktywnie uczestniczy w kierowaniu Greenpeace'em: bierze udział w nowych kampaniach przeciw zatapianiu w morzu odpadów radioaktywnych, organizuje pierwsze europejskie przedstawicielstwa organizacji w Paryżu i Londynie.

*

W San Francisco jest lato.

Smuga promieni słonecznych oświetla hall szpitala. Elliott kupuje coca-colę w automacie, siada w jednym z foteli i się rozgląda.

Telewizja emituje nowy program nazwany MTV. Na ekranie *Like a Virgin*, jakaś młoda piosenkarka przeciąga się lubieżnie, przyjmując coraz bardziej sugestywne pozy i odsłaniając bieliznę. To początki zjawiska o imieniu Madonna.

W szpitalu panuje nadzwyczajny spokój. Na stoliku ktoś zostawił kostkę Rubika. Elliott bierze ją do ręki i kilkoma zręcznymi ruchami ustawia wszystkie boki sześcianu w taki sposób, żeby tworzyły sześć jednobarwnych kwadratów.

Jak wszyscy, ma swoje dobre i złe dni. Dzisiejszy jest raczej dobry. Sam nie wie, dlaczego czuje się tak odprężony. Są jednak chwile trudniejsze, samotność dołącza do zmęczenia i wciąga go w otchłań rozpacz i chandry. Na szczęście karetka przywozi kolejnego rannego, któremu trzeba pomóc. Na chwilę życie odzyskuje sens.

Ten zawód to prawdziwe błogosławieństwo.

*

Rok 1985

Werona, początek wiosny.

Od dwóch dni Elliott przebywa we Włoszech, gdzie uczestniczy w kongresie chirurgów. O ile dobrze pamięta przepowiednię, właśnie dzisiaj powinien spotkać matkę swojej córki.

Siedząc na tarasie trattorii na piazza Bra, patrzy na słońce chylące się ku zachodowi. Pomarańczowe promienie pieścą wznoszące się stromo stopnie Areny – wspaniałego rzymskiego amfiteatru górującego nad placem.

– To dla pana – oznajmia usłużny kelner, stawiając przed nim kieliszek wytrawnego martini, w którym pływają dwie oliwki.

Elliott sący swój aperitif, ale nadal jest niespokojny. Co właściwie powinien zrobić? Wie, że ma spotkanie z przeznaczeniem, lecz boi się, że może je przegapić. Przypomina sobie słowa wypowiedziane przez mężczyznę z przyszłości: „Szóstego kwietnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego roku, na kongresie chirurgów w Weronie poznasz pewną kobietę, która się tobą zainteresuje. Odpowiesz na jej zaloty i spędzisz z nią weekend, w czasie którego zostanie poczęta moja córka”.

Wszystko wydaje się takie proste poza tym, że dziś jest szósty kwietnia, wkrótce będzie godzina siódma, a Elliott nadal czeka, aż podejdzie do niego jakaś pulchna Włoszka i zacznie się zalecać.

– Czy to miejsce jest wolne?

Zaskoczony podnosi głowę, bo w zdaniu wypowiedzianym w języku angielskim słyhać wyraźny nowojorski akcent. Przed nim stoi młoda kobieta w bladoróżowym kostiumie. Być może zauważyła leżący na stole egzemplarz „International Herald Tribune”... W każdym razie wydaje się zachwycona faktem, że spotkała rodaka.

Elliott kiwa głową i proponuje, żeby usiadła. Ma na imię Pamela, pracuje dla dużej sieci hoteli i przyjechała do Werony w interesach.

Czyżby to była ona? – zastanawia się, zaniepokojony. Z całą pewnością ona. Wszystko się zgadza. Zresztą tamten Elliott wcale nie powiedział, że to będzie Włoszka... Obserwuje ją, kiedy kobieta zamawia kieliszek valpolicelli. To typowa piękność z lat

osiemdziesiątych: wysoka, zgrabna, z burzą blond włosów i wyglądem *business woman*.

Po wzajemnej prezentacji, podczas serwowania przystawek, Elliott i jego nowa znajoma przeszli do rozmowy na temat „bohaterów” nowej Ameryki: Reagana, Michaela Jacksona, Spielberga, Carla Lewisa... Elliott zachowuje się jak automat. Trzyma się swojej roli w dyskusji, ale myślami błądzi daleko.

To dziwne, ale inaczej ją sobie wyobrażałem...

Nie może uwierzyć, że ta kobieta będzie matką ich córki! Trudno powiedzieć, dlaczego. Na pozór ma same zalety... Poza tym, że wydaje się głupia, łatwo przewidzieć, co powie, jest republikanką, woli raczej „mieć” niż „być” i że czegoś brakuje w jej spojrzeniu: tego błysku, który nazywamy urokiem.

Gdyby nie spotkał swojego drugiego wcielenia, do głowy by mu nie przyszło, że ten flirt zaowocuje nowym istnieniem!

Dziwię się sobie samemu, że dałem się wciągnąć w rozmowę z tą kobietą...

Było oczywiste, że po bezsensownej paplaninie przyjdzie kolej na uprawianie seksu, ale jeśli o to chodzi, pomimo niezaprzeczalnie ponętnych kształtów Pameli, Elliott myśli, że niekoniecznie będzie to upojne doznanie.

Kolacja przebiega w rytmie kolejno podawanych miejscowych specjałów: *pasta e fasoì*, *risotto à l’Amarone*, *tournedos z taleggio*, a wszystko obficie zakrapiane bardolino.

Latarnie, które zapaliły się na placu, oświetlają teraz zarówno palazzo Barbieri – siedzibę władz miejskich, jak i szeroki brukowany trotuar, po którym, pomimo późnej pory, przechadza się nadal tłum tubylców.

Elliott chce zapłacić, ale nie mogąc się doczekać kelnera, wstaje i postanawia zrobić to przy barze. Czekając, aż właściciel

restauracji wystawi mu rachunek, wyjmując papierosa i wkłada go do ust. Kiedy przybliżyła do niego zapalniczkę, ktoś podaje mu ogień.

– Pańskie wystąpienie tego ranka było niezłe, doktorze.

Podnosi wzrok i widzi kobietę około trzydziestki, siedzącą na barowym stolku z kieliszkiem białego wina w dłoni.

– Uczestniczy pani w kongresie?

– Giulia Batistini – przedstawia się, podając mu rękę. – Jestem chirurgiem z Mediolanu.

Ma zielone oczy i zabawne rude włosy zupełnie niepasujące do Włoszki.

Wzrok Giulii krzyżuje się z jego spojrzeniem i wtedy Elliott zauważa w jej oczach to, czego daremnie szukał u Pameli – urok.

Z wyraźną ulgą czuje, że to właśnie ona, a nie jakaś inna kobieta będzie matką jego córki!

– Chciałabym z panem podyskutować – zaczyna Giulia – ale...

– Ale co?

Kątem oka spogląda w stronę tarasu.

– Myślę, że pańska towarzyszka czeka na pana...

Uśmiecha się leciutko, mając poczucie przewagi charakterystyczne dla osoby, która gotowa jest stoczyć zaciętą walkę.

– Wobec tego...

*

Rok 1986

Elliott ma 40 lat

San Francisco, piąta rano. Telefon z Europy lekceważący różnicę czasu. W słuchawce damski głos z włoskim akcentem oznajmia to, o czym Elliott od dawna doskonale wie.

Wsiada więc do samolotu do Mediolanu, na lotnisku bierze taksówkę, każe się wieźć do szpitala, pędzi na czwarte piętro i puka do sali 466: „cześć, Giulia, witaj nowo narodzony człowieczku, halo doktorze i sestro!”.

Wreszcie podchodzi do kołyski. W szpitalu przywykł do widoku noworodków, ale tym razem jest inaczej. Ten należy do niego. Z początku obawia się, że dziecko nie zrobi na nim wrażenia, ale kiedy otwiera oczka i spogląda na niego, mrugając powiekami, przywiązuje go do siebie na całe życie.

Jest luty, śnieg i zimno, na zewnątrz ruch uliczny, dźwięki klaksonów, okrzyki „*va fanculo!*”, zanieczyszczone powietrze. Ale tutaj, w tym pokoju, panuje przyjemna atmosfera, jest ciepło i bezpiecznie.

– Witaj na świecie, Angie...

*

Rok 1987

Życie zaczyna się od nowa.

Nagle widać koniec tunelu, powraca światło, którego nie oczekiwał.

Małeńkie dziecko w domu przewróciło wszystko do góry nogami. Wszędzie walają się butelki ze smoczkiem, sterty pieluch, pudełka z mlekiem w proszku.

Po pięciu miesiącach pierwszy ząbek, a po dziesięciu pierwsze samodzielne kroczki.

Wszystko, co nie jest związane z Angie, wydaje się bez znaczenia. Dziewiętnastego października ogłoszony zostaje krach na giełdzie, czarny poniedziałek, akcje Dow Jones spadają o dwadzieścia procent.

Ale kto by się tym przejmował?

Rok 1988

Angie jest głodna! Angie chce ciasteczko! Angie chce cola-cocę!

Jest Boże Narodzenie. W udekorowanym odświętnie domu wesoło trzeszczy ogień w kominku.

Elliott bierze gitarę i próbuje zagrać własną wersję *With or without you*, przeboju ostatniego sezonu.

Znaj dek leży na dywanie i pilnuje gospodarstwa.

Natomiast Angie tańczy przed kominkiem.

Rok 1989

Angie skończyła trzy lata. Potrafi już grubym flamastrem napisać swoje imię wielkimi literami.

Dwudziestego czwartego marca tankowiec Exxon Val-dez rozbija się u wybrzeży Alaski, rozlewając trzysta ton mazutu, który wielką czarną plamą znaczy całe wybrzeże.

276Na kanale CNN w imieniu Greenpeace'u gwałtownie reaguje jego nowa rzeczniczka, Ilena Cruz.

W październiku Rostropowicz gra na wiolonczeli na rozbieranym murze berlińskim.

Telewizja ogłasza, że to oznacza koniec zimnej wojny i że odtąd ludzie będą szczęśliwi w świecie, w którym zapanuje demokracja i gospodarka rynkowa...

Rok 1990

Przed kinem ustawily się dwie długie kolejki.

W pierwszej stoją całe rodziny i słyszą krzyki dzieci. Elliott i Angie czekają cierpliwie na film *Mala syrenka*, ostatnie dzieło Walta Disneya. W drugiej kolejce czekają fani Meg Ryan grającej w filmie *Kiedy Harry poznał Sally*.

Angie jest trochę zmęczona, więc ciągnie ojca za rękaw koszuli i prosi, by wziął ją na ręce.

– Uwaga! Startujemy! – krzyczy Elliott, podnosząc córeczkę.

W tej samej chwili odwraca głowę i widzi... Matta i Tiffany stojących w sąsiedniej kolejce.

Wymiana spojrzeń trwa pół sekundy, ale odbywa się jakby w zwolnionym tempie. Serce Elliotta zamiera. Nie odzywali się do siebie przez piętnaście lat. Tiffany ze smutkiem patrzy na Angie, potem odwraca głowę. Następnie dwie „pary” wchodzi oddzielnie, każda do swojej sali.

Jeszcze nie czas na wyjaśnienia.

Może któregoś dnia...

277Rok 1991

Elliott i Angie zabrali się do pieczenia pączków według bardzo skomplikowanego przepisu. Promienny uśmiech króluje na buzi dziewczynki. Usta ma oblepione syropem klonowym. Jest wczesny, przyjemnie ciepły wieczór, a przez kuchenne okna sączy się pomarańczowe światło.

Stojący obok mikrofalówki telewizor jest włączony, ale bez dźwięku. Na ekranie jakieś niewyraźne obrazki z Kuwejtu: trwa

operacja Pustynna burza, pierwsza interwencja przeciwko Irakowi z udziałem wojsk alianckich.

W radiu zespół U2 śpiewa *Mysterious Ways*, a Angie skutecznie wspiera Bono, wystukując rytm piosenki drewnianą łyżką.

Elliott uwiecznia tę scenę kamerą. Stara się poświęcać córce jak najwięcej czasu, nawet za cenę gorszej pozycji zawodowej. Nadal kocha swoją pracę, ale nie zgodził się na kompromisy mające przyspieszyć wspinanie się po szczeblach kariery. Inni go wyprzedzili, a on nawet nie próbował ich dogonić. W zupełności wystarczała mu opinia pacjentów, że jest dobrym chirurgiem.

A zresztą, córka ma pierwszeństwo. Rozumie teraz mężczyznę z przyszłości i jego wysiłki podjęte dla ratowania Ileny, bez szkody dla Angie. Jednak pogodny nastrój wywołany widokiem dziecka zakłóca czasami niejasny niepokój. Życie nauczyło Elliotta, że za chwile szczęścia trzeba słono płacić. Dobrze zapamiętał tę lekcję. Od sześciu lat żyje spokojnie, lecz wie, że wystarczy parę sekund, by wszystko stracić.

Tak to już jest ze szczęściem, że szybko się do niego przyzwyczajamy...

278Rok 1992

W wieku sześciu lat traci się pierwsze mleczne zęby...

Ze szczerbatym uśmiechem na ustach Angie siedzi przy stole w salonie i odrabia lekcje.

Najwyraźniej niezadowolony Elliott wchodzi do pokoju i patrzy na córkę surowym wzrokiem.

– Tyle razy ci mówiłem, żebyś wyłączała telewizor, kiedy się uczysz!

– Ale dlaczego?

– Dlatego, że kiedy się pracuje, trzeba być skupionym.

- Przecież jestem skupiona!
- Nie staraj się mnie przechytryć!

Elliott chwytą pilota leżącego pod poduszką, żeby wyłączyć telewizor, ale nagle jego palce nieruchomieją.

Na ekranie widzi reportera nadającego z Rio de Janeiro, gdzie odbywają się obrady Szczytu Ziemi. Przez kilka dni przedstawiciele wielkich mocarstw dyskutują o stanie środowiska na planecie. Reporter przeprowadza wywiad z działaczką jednej z organizacji pozarządowych. Kobieta umiejętnie i przekonująco dyskutuje z nim na temat ocieplenia klimatu i konsekwencji tego zjawiska. Na ekranie ukazują się jej imię i nazwisko: Ilena Cruz.

- Dlaczego ty płaczesz, tatusiu?

Rok 1993

Dochodzi szósta trzydzieści. Elliott wstaje z łóżka, uprzedzając dźwięk budzika. Spod kołdry wystają długie czarne włosy: czupryna stewardesy spotkanej poprzedniego wieczoru na lotnisku, gdy odprowadzał Angie odlatującą do Włoch na wakacje z matką.

Po cichu wychodzi z sypialni, bierze prysznic i ubiera się w pośpiechu.

W kuchni, kiedy na kartce wyrwanej z notesu zamierza napisać kilka słów do śpiącej kobiety, uświadamia sobie, że nie wie, jak ona ma na imię. Ogranicza się zatem do minimum:

„Wychodząc, wrzucić, proszę, klucze do skrzynki na listy. Dzięki za tę noc.

Być może do zobaczenia któregoś dnia”.

Dobrze wie, że składa pustą obietnicę, ale tak to już jest. Nowe znajomości rzadko trwają dłużej niż tydzień. Tak postanowił, nie chce się wiązać bez miłości. W przeciwnym razie byłby hipokrytą i tchórzem. Znalazł sposób, by dochować wierności Ilenie.

Każdy ma swoje sposoby...

W pośpiechu wypija kawę, zjada jakiś stary pączek i wychodzi z domu, by udać się do pracy. Przed drzwiami znajduje poranne wydanie gazety. Na pierwszej stronie ogromne zdjęcie, na którym Rabin i Arafat ściskają sobie dłonie pod czujnym okiem Billa Clintona.

Rok 1994

Wczesny wieczór pod koniec lata. Niebo ma barwę fioletu i czerwieni. Elliott parkuje swojego wiernego garbusa przed Marina Green. Udało mu się nie wrócić zbyt późno, ale wie, że Teresa, niania zatrudniona do opieki nad córeczką, wyszła z domu przed godziną.

– Angie! – krzyczy, otwierając drzwi. – Już jestem!

Dziewczynka ma teraz osiem lat, ale za każdym razem, kiedy zostawia ją samą, nie może opanować niepokoju.

– Angie! Czy wszystko w porządku, kochanie?

Słyszy jej drobne kroki na schodach, lecz kiedy podnosi głowę, odkrywa, że śliczna buzia skąpana jest we łzach.

– Co się dzieje, dziecinko? – pyta i podbiega do małej.

Córka pada mu w ramiona przytłoczona ogromem nieszczęścia.

– Znajdek! – mówi, szlochając.

– A co on takiego zrobił?

– On... On umarł!

Tuli ją w ramionach, po czym oboje udają się do sypialni. Rzeczywiście, pies leży bez ruchu na dywanie, jakby spał.

– Wyleczysz go, tatusiu? – pyta dziewczynka.

Kiedy Elliott osłuchuje psa, Angie szlocha jeszcze bardziej.

– Proszę cię! Wylecz go, tato! Wylecz go!

– On nie żyje, kochanie, nie można go już wyleczyć.

– Błagam cię! – wrzeszczy Angie i pada na kolana.

Podnosi małą i prowadzi do jej pokoju.

– Był już bardzo stary, wiesz. To prawdziwy cud, że żył tak długo.

Jednak takie tłumaczenie nie ma sensu. Żal dziecka jest zbyt wielki i nic nie może go ukoić.

Angie kładzie się na łóżku, chowając głowę w poduszkę. Elliott stoi obok i robi wszystko, żeby uspokoić córkę.

Jutro będzie lepiej.

Następnego dnia wsiadają do samochodu i prawie godzinę jada do małego lasu Inglewood, położonego w północnej części San Francisco. Wybierają odległy zakątek w pobliżu wielkiego drzewa i Elliott, za pomocą zabranej z domu motyki, wykopuje dość głęboki dół. Układa w nim zwłoki labradora i przysypuje je ziemią.

– Myślisz, że istnieje psi raj? – pyta dziewczynka.

– Nie wiem – odpowiada Elliott, przykrywając grób liśćmi i gałązkami. – W każdym razie, jeśli coś takiego istnieje, jest tam z pewnością miejsce dla naszego Znajdka.

Dziecko w milczeniu kiwa główką, potem znowu zaczyna płakać. Znajdek był od zawsze częścią jej świata.

– Nie mogę uwierzyć, że już nigdy go nie zobaczę.

– Wiem, kochanie, jak trudno jest pogodzić się ze stratą kogoś, kogo się kochało. Nie ma rzeczy trudniejszej.

Elliott upewnia się, że zrobił wszystko jak należy, po czym proponuje córce:

– Możesz się z nim pożegnać, jeśli chcesz.

Angie podchodzi do kopczyka i mówi z powagą:

– Do widzenia, Znajdku. Byłeś superpsem...

– To prawda, byłeś najlepszy.

Potem wsiadają do samochodu i ruszają w stronę miasta. Przez całą drogę milczą. A ponieważ oboje potrzebują jakiejś pociechy, Elliott ma pewien pomysł.

– Może wpadniemy do Starbucksa? Zafunduję ci filiżankę gorącej czekolady.

– Zgoda. Ale z bitą śmietaną!

Zajmują miejsca przy stoliku. Z buzią umazaną kremem Angie pyta:

– A właśnie, w jaki sposób stałeś się właścicielem tego pieska?

– Nigdy ci o tym nie opowiadałem?

– Nigdy.

– No więc, z początku on i ja nie bardzo się lubiliśmy...

Rok 1995

– Tato, pójdziemy obejrzeć *Toy Story*?

– A co to takiego?

Rok 1996

- Tato, możemy pójść na *Romea i Julię*? Uwielbiam Leonarda!
- A odrobiłaś lekcje?
- Oczywiście. Przysięgam!

Rok 1997

Grudniowe sobotnie popołudnie. Dziś po raz pierwszy Angie wolała zamiast z nim, pójść do kina z koleżankami.

Podobnie jak miliony nastolatek, bardzo chciała zobaczyć, jak DiCaprio całuje Kate Winslett na pomoście Titanica.

W kuchni Elliott spokojnie przygotowuje kawę. Wszystko jest w porządku, więc skąd to nagłe poczucie osamotnienia?

Idzie na piętro do pokoju Angie. Wychodząc, nie wyłączyła magnetofonu, z którego Spice Girls wyją teraz swój przebój *Wannabe*. Na ścianie, obok nieśmiertelnych *Simpsonów*, wiszą plakaty gwiazd seriali telewizyjnych, o których nigdy nie słyszał: *Przyjaciele*, *Beverly Hills*, *South Park*...

Czuje nagłą pustkę i zdaje sobie sprawę, że Angie nie jest już dzieckiem.

To normalne. Takie jest życie. Przecież dzieci rosną.

Tylko dlaczego tak szybko?

Rok 1998

Elliott ma 52 lata

Telewizor w pokoju lekarzy jest włączony. Na ekranie jakiś facet mówi, że „mężczyźni pochodzą z Marsa, a kobiety z Wenus”. Obecne w pomieszczeniu pielęgniarki wydają się zgadzać z tą teorią. Elliott odnosi się do niej raczej sceptycznie. Coraz częściej ma wrażenie, że jest trochę na bakier z otaczającym go światem. Opróżnia puszkę coca-coli i wychodzi. Po raz pierwszy odczuwa ciężar swojej pięćdziesiątki. Nie o to chodzi, że czuje się stary, ale już nie czuje się młody. Doskonale wie, że nie ma odwrotu.

Triumfy święci serial *Ostry dyżur*. Niektórzy pacjenci szpitala domagają się opieki doktora Greena albo doktora Rossa...

W telewizji Bill Clinton usprawiedliwia się ze skruszoną miną:

– Nie utrzymywałem stosunków seksualnych z miss Lewinsky.

W tym samym czasie, na kole podbiegunowym, z powodu efektu cieplarnianego roztapiają się wieczne lody. Ale kto się tym naprawdę przejmuje?

Rok 1999

Jest koniec kwietnia.

Elliott zagląda do pokoju lekarzy.

Nie ma w nim nikogo.

Otwiera niewielką wspólną lodówkę i sięga po jeden z leżących tam owoców.

Któraś z pielęgniarek przykleiła karteczkę ze swoim nazwiskiem do zielonego jabłka.

Zdziwiony Elliott odkleja ją i wbija zęby w jabłko.

Siada na parapecie okna i roztargnionym wzrokiem obserwuje paru kolegów grających w siatkówkę na podwórku. Zapach wiosny króluje w San Francisco. Dzisiaj jest wspaniały dzień, dzień pod znakiem życia, dzień pomyślnie zakończonych operacji, w czasie których pacjentom nie przychodzi do głowy zejście z tego świata.

Zastanawia się, czy włączyć telewizję. Po co psuć sobie humor codzienną porcją złych wiadomości? Po namyśle zmienia zdanie, mając nadzieję, że dziś będzie inaczej. Przez moment oddaje się marzeniom: być może usłyszy o szczepionce przeciw AIDS, o pokoju na Bliskim Wschodzie, o prawdziwym planie walki ze skażeniem środowiska, o zwiększeniu budżetu federalnego na edukację...

Nic z tych rzeczy. Na kanale CNN specjalny wysłannik donosi, że w liceum Columbine w Littletown dwaj uczniowie zastrzelili właśnie swoich dwunastu kolegów, a potem sami popełnili samobójstwo. Po jaką cholere włączył ten telewizor?

Rok 2000

– Tatusiu, czy mogę sobie zrobić piercing?

*

– Tato, czy możesz mi kupić komórkę?

*

– Tatusiu, mogę sobie zrobić tatuaż?

A potem jeszcze coś, jakiś iMac, iPod, jakaś koszulka od DKNY, dzinsy Diesla, torebka z futerka, tenisówki New Balance, rybka-klaun, prochowiec Burberry, perfumy Marca Jacobsa, okulary od D&G, szynszyla, torebka Hello Kitty, żółwie wodne, koszulka polo od

Hilfigera, podkoszulek IKKS, konik morski, sweterek od Ralpa Lauren, jakiś...

Rok 2001

Elliott parkuje garbusa przed szpitalem i spogląda na zegarek. Ma jeszcze sporo czasu. Właściwie zaczyna dyżur dopiero za dwie godziny, ale postanowił przyjechać wcześniej.

Czuje, że dzisiejszy dzień będzie szczególny.

W hallu zastaje kilkudziesięciu pacjentów, lekarzy i pielęgniarki stojących przed telewizorem. Wszyscy są bladzi jak ściana, a kilkoro rozmawia przez komórki.

Z tego, co usłyszał od swojego drugiego ja podczas ich kolejnych spotkań, zwłaszcza jedno zdanie utkwilo mu w pamięci:

„Jedenastego września 2001 roku zdarzyło się coś w World Trade Center w Nowym Jorku”.

Wielokrotnie Elliott zastanawiał się, co to mogło być.

Podchodzi bliżej, potrącając kilka osób, ale widzi tylko niewielki kawałek ekranu. Teraz już wie...

Rok 2002, 2003, 2004, 2005...

Elliott ma 56, 57, 58, 59 lat

Nie chodzi o to, że mamy zbyt mało czasu, ale że zbyt dużo go tracimy.

Seneka

Rok 2006

Elliott ma 60 lat

Manhattan – drugi tydzień stycznia.

Elliott wziął kilka dni urlopu, żeby pomóc Angie urządzić się w Nowym Jorku, gdzie będzie studiowała medycynę.

Dziewczyna jest podniecona perspektywą nowego życia, ale Elliott opuszcza ją na parę godzin, chcąc załatwić pewną ważną sprawę. Wysiada z taksówki na rogu Park Avenue i Pięćdziesiątej Drugiej Ulicy, przed wieżowcem ze szkła i stali. Wchodzi do budynku i jedzie windą na trzydzieste trzecie piętro, gdzie mieści się siedziba dużej przychodni. Poprzedniego dnia przeszedł serię badań i prześwietleń, a dzisiaj ma odebrać wyniki. Wolał zrobić to raczej w Nowym Jorku niż w San Francisco, gdzie jest dobrze znany większości środowiska lekarskiego. Teoretycznie wszystkich obowiązuje tajemnica, ale wieści rozchodzą się szybko.

– Wchodź, Elliott – zaprasza go John Goldwyn, jeden ze współwłaścicieli przychodni.

Studiowali razem w Kalifornii i od tamtej pory nie zerwali z sobą kontaktu. Elliott siada w fotelu, a Goldwyn otwiera kartonową teczkę z jego dokumentacją, wyjmując kilka zdjęć rentgenowskich i kładzie je na biurku.

– Nie będę cię okłamywał, Elliott – mówi, podając mu jedno ze zdjęć.

– Mam raka, prawda?

– Owszem.

– To poważne?

– Obawiam się, że tak.

Elliott przez krótką chwilę milczy, żeby oswoić się z tą informacją, potem pyta:

– Ile mam jeszcze czasu?

– Kilka miesięcy...

*

Kwadrans później jest znowu na ulicy, pośród drapaczy chmur, dźwięku klaksonów i tysięcy samochodów. Niebo jest błękitne, ale panuje arktyczny chłód.

Elliott, zszokowany informacją o chorobie, idzie prosto przed siebie, rozgorączkowany i zagubiony.

Przechodząc obok jednej z galerii handlowych, w szybie wystawowej luksusowego sklepu dostrzega swoje odbicie. Nagle zdaje sobie sprawę, że wygląda tak samo jak mężczyzna z przyszłości w chwili, gdy spotkał go trzydzieści lat temu.

No i proszę, w końcu stałem się nim...

Stojąc tak przed wystawą, potrząsa kliszą radiograficzną ze zdjęciem swoich płuc zaatakowanych rakiem. Jakby nadal było to możliwe, zduszonym głosem zwraca się do swojego drugiego ja:

– Ale tego nie raczyłeś mi powiedzieć, ty cholerny draniu!

*Zostawił mnie samą, i odszedł pewnego
słonecznego ranka.*

Edith Piaf

Luty 2007

Elliott ma 61 lat

Trzy minuty przed śmiercią...

Leżąc na kanapie werandy, opatulony w koc, Elliott spogląda po raz ostatni na zachód słońca nad San Francisco.

Wstrząsają nim dreszcze i mimo maski tlenowej z trudem łapie oddech.

Ma wrażenie, że całe jego ciało się rozpada.

Dwie minuty przed śmiercią...

Oto nadeszła chwila, której się tak obawiał. Chwila, w której trzeba wyruszyć w daleką podróż.

Powiadają, że wartość życia nie polega na tym, że ono trwa, lecz na tym, w jaki sposób się je przeżyło.

Łatwo mówić temu, kto tryska zdrowiem.

Jeśli o niego chodzi, starał się, jak mógł, ale czy to oznacza, że jest człowiekiem spełnionym?

Qui vivra verra. Przekona się ten, kto będzie żyć dalej.

Qui mourra verra. Przekona się również ten, kto umrze.

Ostatnia minuta...

Jak dobrze byłoby umrzeć ze spokojem mistrza zen.

Jednak to nie takie proste.

Elliott czuje się bezbronny jak dziecko.

Boi się.

Postanowił nie zawiadamiać Angie.

Nie ma przy nim nikogo.

Więc aby nie żegnać się z życiem w osamotnieniu, myśli o swojej ukochanej. W chwili gdy wydaje ostatnie tchnienie, święcie wierzy, że Ilena stoi tuż obok.

Podobnie jak ludzką rzeczą jest mieć tajemnicę, tak samo rzeczą ludzką jest ujawnić ją wcześniej czy później.

Philip Roth

Luty 2007

Trzy dni później

Jaskrawe promienie zimowego słońca rozjaśniające zielone alejki cmentarza Greenwood sprawiały, że miejsce to przypominało park.

Pogrzeb Elliotta dobiegał właśnie końca, a wszyscy, którzy przyszli pożegnać się ze zmarłymi podchodzili kolejno do grobu, rzucając na trumnę garść ziemi lub kwiaty.

Najpierw Angie razem z matką, która przyjechała z Mediolanu. Potem koledzy i liczni pacjenci, których Elliott operował w ciągu ostatnich trzydziestu lat. Gdyby nie to, że leżał sześć stóp pod ziemią, byłby zdziwiony i wzruszony, że przyszło ich aż tak wielu. Szczególną radość sprawiłaby mu z pewnością obecność emerytowanego detektywa Maldena, który pomimo swoich dziewięćdziesięciu lat dzielnie podszedł do wykopanego dołu podtrzymywany przez dawnego kolegę, kapitana Douglasa, kierującego obecnie głównym komisariatem miasta.

Ceremonia zakończyła się pół godziny później, tuż przed zapadnięciem zmierzchu. Wszyscy przybyli rozproszyli się pospiesznie i wsiedli do swoich ciepłych samochodów zostawionych

na parkingu. W drodze powrotnej do domu niejeden myślał: „Moja kolej też kiedyś nadejdzie”; a zaraz potem: „Oby tylko stało się to jak najpóźniej”.

*

Mały cmentarz opustoszał i teraz hulał po nim wiatr.

Jakiś mężczyzna stojący na uboczu podczas całej uroczystości, upewniwszy się, że został sam, odważył się podejść do grobu.

Matt.

Tiffany starała się odwieść męża od pójścia na pogrzeb, ponieważ nie uważała za konieczne, by uczcił pamięć człowieka, który nie odezwał się do niego przez trzydzieści lat.

Matt jednak postanowił inaczej.

Wraz ze śmiercią Elliotta odchodziła spora część jego młodości, a także nadzieja na pojednanie, na które mimo wszystko czekał.

Nie przestał myśleć, że trzydzieści lat temu przeoczył coś ważnego. Bo jak inaczej wytłumaczyć zmianę w zachowaniu Elliotta wobec niego? Jak zrozumieć, dlaczego rozstał się z Ileną, skoro tak bardzo ją kochał?

Tyle pytań, na które nigdy nie otrzyma odpowiedzi.

– Postanowiłeś zabrać swoje tajemnice do grobu, stary druhu – stwierdził w poczuciu bezsilności.

Kiedy tak stał przed dopiero co położoną płytą nagrobną, ogarnęła go fala wspomnień. Kiedyś byli sobie tak bliscy. Choć ich przyjaźń zaczęła się przed czterdziestu laty, miał wrażenie, jakby poznali się wczoraj.

Matt przykucnął przed nagrobkiem i trwał w tej pozycji przez dłuższą chwilę. Łzy spływające po policzkach spadały na świeżo rozkopaną ziemię. Z wiekiem coraz częściej łzawiły mu oczy, a on nie mógł temu zaradzić.

Wstał i szepnął ze złością:

– Skoro odszedłeś pierwszy, to lepiej znajdź dla mnie jakieś pieprzone miejsce w raju...

Już zamierzał odejść, kiedy za plecami poczuł czyjąś obecność.

– Pan chyba nazywa się Matt...

Odwrócił się zaskoczony, słysząc głos, którego nie znał. Zobaczył młodą kobietę otuloną długim czarnym płaszczem.

– Jestem Angie, córka Elliotta – przedstawiła się i podała mu rękę.

– Matt Delluca.

– Ojciec uprzedził mnie, że po pogrzebie pan będzie tą osobą, która najdłużej zostanie przy jego grobie.

– Byliśmy przyjaciółmi – wyjaśnił Matt lekko zażenowany. – Bardzo bliskimi przyjaciółmi...

Odczekał kilka sekund, po czym dokończył zdanie:

– ...ale to było bardzo dawno temu, na długo przed twoimi narodzinami.

Patrząc uważnie na dziewczynę, Matt był wstrząśnięty jej podobieństwem do Elliotta. Angie miała te same regularne rysy, choć pozbawione wyrazu niepokoju. Mimo smutku wyglądała kwitnąco i wydawała się w świetnej formie.

– Ojciec prosił, żeby to panu przekazać – oznajmiła, podając mu papierową torbę.

– Ach tak? – odparł zaskoczony, biorąc pakunek z jej dłoni.

Angie zawahała się przez moment, potem dodała:

– Kilka tygodni przed śmiercią powiedział, że gdyby któregoś dnia przydarzyło mi się coś złego...

– Tak? – zachęcił ją Matt.

– Gdybym miała jakieś zmartwienie, to bez wahania powinnam się zwrócić do pana.

Wzruszony i onieśmielony tą oznaką zaufania odczekał chwilę, po czym zapewnił Angie:

– Oczywiście, zrobię wszystko, co będzie w mojej mocy.

– W takim razie, może do zobaczenia wkrótce – odparła i natychmiast się oddaliła.

Matt zaczekał, aż straci ją z oczu, a potem wrócił do grobu Elliotta.

– Możesz na mnie liczyć, będę nad nią czuwał – obiecał przyjacielowi.

Następnie wyszedł z cmentarza z odrobinę lżejszym sercem.

*

Zapłakany Matt jechał autostradą numer 29 w kierunku Calistogi, małego miasta w Napa Valley, gdzie znajdowały się jego winnice. Tiffany podróżowała po Europie, promując ich wina, a on nie miał ochoty wracać sam do zimnego pustego domu w San Francisco.

Przejechał bolidem przez Oakville i Santa Helena i wkrótce dotarł do swojej posiadłości, która napawała go dumą. Matt był zamożnym człowiekiem. Przez trzydzieści lat nie szczędził wysiłków, by jego plantacja stała się jedną z najbardziej znanych w regionie.

Brama w ogrodzeniu winnicy otworzyła się po przyciśnięciu guzika pilota. Przejechał przez ogród i zaparkował wóz na końcu zwirowej alejki. Na miejscu starego drewnianego domu stał teraz przepiękny budynek, jednocześnie nowoczesny i klasyczny. Pozdrowił dozorcę i poszedł prosto do piwniczki przeznaczonej do degustacji win. Była to obszerna sala ozdobiona obrazami i rzeźbami

znanych artystów: Légera, Dubuffeta, Césara. Ponadto znajdował się tu jeden bezcenny Basquiat, подарowany Tiffany na jej ostatnie urodziny.

Przyćmione światło rzucało na parkiet miłe złocisto-brązowe błyski. Matt usiadł na dębowej ławce i nerwowo rozerwał papierowe opakowanie, ciekaw, co takiego przyjaciel mógł mu przekazać „w spadku”. Papierowa torba skrywała skrzyneczkę z jasnego drewna, a w niej dwie butelki wina, którym przyglądał się z najwyższą uwagą: Château Latour 1959 i Château Mouton Rothschild 1982. Najwspanialsze wina z dwóch najsłynniejszych roczników szczepu Medoc – prawdziwa doskonałość na tym marnym świecie...

Matt, rozbawiony żartem Elliotta, wyjął jedną z butelek, a pod nią, na dnie skrzynki, ku swojemu zdumieniu odkrył duży, oprawny w moleskin notes.

W ułamku sekundy rozbawienie ustąpiło miejsca zaciekawieniu, potem podnieceniu. Drżącymi rękami otworzył zeszyt. Około stu stron zapisanych było starannym pismem przyjaciela.

Przebiegając wzrokiem pierwszą, Matt dostał gęsiej skórki.

Cześć Matt, mój stary,

jeśli czytasz teraz te słowa, to znaczy, że ten cholerny rak wreszcie mnie załatwił. Walczyłem do samego końca, ale on zaliczał się do tych przeciwników, których nie można pokonać...

We wczorajszej gazecie z pewnością znalazłeś mój nekrolog, a znając twoje dobre serce, myślę, że przyszedłeś na mój pogrzeb. Założę się nawet, że schowałeś się za jakimś drzewem i czekałeś tam, aż zostaniesz sam i będziesz mógł spokojnie porozmawiać z moim nagrobkiem...

Wiem, nadal masz do mnie żal. Zdaję sobie sprawę, że nigdy nie zrozumiałeś mojego zachowania i cierpiełeś tak samo jak ja. Wolałbym wyjaśnić ci wszystko wcześniej, ale nie było to możliwe. Wkrótce zrozumiesz dlaczego...

Tak oto niewiarygodna historia, która mi się przydarzyła, dotknęła naszą trójkę: ciebie, Ilenę oraz mnie. Próbowałem podejmować właściwe decyzje, ale – jak sam się przekonasz – miałem niewielkie pole manewru.

Kiedy to przeczytasz do końca, nie wyrzucaj sobie niczego! Zawsze byłeś przy mnie, a ja czułem się cholernie szczęśliwy, mając takiego przyjaciela. Nie smuć się. Zanim zaczniesz czytać, otwórz jedną z butelek wina – zauważ, że nie byle jakiego – nalej sobie szklaneczkę i wypij za moje zdrowie.

Pisząc te słowa, mam świadomość, że są to ostatnie dni mojego życia. Oszklona ściana sypialni jest rozsunięta, niebo lśni tym jaskrawym błękitem, jaki można zobaczyć jedynie w Kalifornii, kilka zwiewnych obłoków przepływa w powietrzu, a wiatr przynosi w moją stronę odgłosy fal i zapach morza.

Wszystkie te drobne szczegóły, których nie doceniamy... Głupio o tym mówić, ale bardzo ciężko się z nimi rozstawać.

Dbaj o siebie, mój stary, i korzystaj z życia, jakie ci pozostało. Gdybyś mógł wiedzieć, jak bardzo mi ciebie brakowało!

Twój przyjaciel na śmierć i życie.

Elliott

*

Minęła druga w nocy.

Matt, z zaczerwienionymi oczami, kończył czytać zadziwiającą opowieść przekazaną przez przyjaciela. Spotkanie Elliotta z jego drugim wcieleniem, podróże w czasie, dziwny pakt zawarty, by ratować Ilenę... Historia, w którą nie chciał uwierzyć przed trzydziestu laty, ukazała się teraz w zupełnie innym świetle.

Matt zamknął zeszyt i wstał z trudem. Kręciło mu się w głowie. Mimo że jedna z butelek była porządnie napoczęta, wino nie zdołało ukoić nieznośnego bólu wywołanego wyrzutami sumienia i żalem.

Co miał teraz zrobić? Opróżnić butelkę i utopić ten żal w alkoholu? Przez chwilę brał to pod uwagę, ale prędko zmienił zamiar. Przeszedł za bar i obmył twarz zimną wodą. Następnie włożył płaszcz i wyszedł. Lodowaty wiatr otrzeźwił go natychmiast. Elliott umarł, a on nic nie mógł na to poradzić. Ale było coś, co mógł zrobić.

Tylko czy miał do tego prawo?

Na parkingu, zamiast do roadstera, wsiadł do samochodu z napędem na cztery koła należącego do firmy. Opuszczając posiadłość, włączył system GPS i wprowadził do niego pewien adres z północnej Kalifornii. Potem ruszył w kierunku gór.

Jechał przez całą noc, coraz dalej na zachód, w stronę zaśnieżonej krainy. Trwała jeszcze zima, więc drogi były śliskie i słabo widoczne w gęstej mgle.

Za Willow Creek o mały włos nie utknął z powodu braku paliwa. Uratował go właściciel pobliskiego drugstore'u. Za astronomiczną kwotę zgodził się ostatecznie sprzedać mu kanister benzyny. Kiedy dojechał do Weaverville, mgła rozproszyła się wreszcie i zza ośnieżonych szczytów Trinity Alps wyjrzało słońce.

Ruszył leśną drogą i dotarł prawie pod sam próg małego drewnianego domku, w którym już kiedyś był razem z Tiffany.

Słyszając odgłos silnika samochodu, Ilena wyszła na werandę.

– Matty!? – krzyknęła zaniepokojona.

Pomachał jej ręką z daleka, a potem podszedł i wziął ją w ramiona.

Za każdym razem, kiedy na nią patrzył, ogarniało go szczególne wzruszenie połączone ze współczuciem i szacunkiem. Ilena walczyła przez całe życie, usiłując najpierw pokonać swoje kalectwo, by potem móc bronić spraw, które były dla niej ważne.

– Jesteś w świetnej formie – stwierdził.

– Za to ty wyglądasz strasznie! Co ci się przydarzyło, Matt?

Wszedł za nią do domu urządzonego ze smakiem, w drewnie, z elementami wyszukanego designu. Szklane przepierzenia, kominek, najnowszej generacji sprzęt informatyczny, wszystko nadawało wnętrzu wygląd przytulnego i wygodnego gniazdka.

– No więc? – spytała Ilena, włączając ekspres do kawy. – Żona wygoniła cię z domu?

– Jeszcze nie – odparł Matt, próbując się uśmiechnąć.

Patrzył na nią z czułością. Pomimo ciężkich przeżyć nadal fascynowała urokiem. W Stanford, gdzie jeszcze wykładała, uważana była za jedną z „gwiazd” kampusu. W tej wylęgarni intelektualistów i noblistów umizgiwali się do niej liczni mądrze, ale dostawali kosza. Matt wiedział, że od czasu wypadku Ilena zrezygnowała z życia uczuciowego. W szpitalu czyniła wysiłki, by przeżyć liczne operacje. Jako działaczka Greenpeace'u zwalczała zaciekle lobbying i przeciwstawiała się rządzącym. Nigdy jednak nie szukała miłości...

– Masz swoją kawę – powiedziała, stawiając na stole tacę z dwiema dymiącymi filiżankami i pudełkiem herbatników.

Kot o długiej jedwabistej sierści wszedł do pokoju, by domagać się swojego śniadania.

Ilena wzięła go na ręce i pogłaskała. Już miała wrócić po coś do kuchni, kiedy Matt wyjawiał bez ogródek cel swojej wizyty:

– Elliott nie żyje.

Zapanowała głucha cisza. Ilena wypuściła z objęć kota, który, niezadowolony, zareagował na to miauczeniem.

– Papierosy? – spytała, odwracając się w stronę Matta.

– Tak. Miał raka płuc.

W zamyśleniu tylko pokiwała głową. Jej twarz pozostała nieprzenikniona, ale Matt zauważył, że oczy zrobiły się błyszczące.

Potem wyszła z pokoju do kuchni, a kot dreptał jej po piętach.

Zostawszy sam, Matt westchnął i popatrzył przez okno na spływające z gór lodowce, przypominające języki wybielonej lawy.

Nagle cały dom zatrzęsł się od odgłosu tłuczonych naczyń. Matt wbiegł do kuchni. Został Ilenę skuloną na krześle. Z twarzą ukrytą w dłoniach dawała upust swojej rozpacz. Matt uklęknął przy niej i objął ją z całą czułością, na jaką było go stać.

– Tak bardzo go kochałam... – wyznała, wczepiając się w jego ramiona.

– Ja także...

Spojrzała na niego oczami pełnymi łez.

– Pomimo tego, co nam zrobił, nadal go kochałam.

– Musisz o czymś wiedzieć... – wyszeptał Matt.

Wstał i wyjął z kieszeni płaszcza zapiski Elliotta.

– Zostawił mi to przed śmiercią – wyjaśnił i podał Ilenie gruby zeszyt.

Wzięła go drżącą ręką.

– Co to jest?

– Prawda – odparł po prostu.

A potem wyszedł z domu i wsiadł do samochodu.

*

Zupełnie bezradna Ilena wyszła na werandę, chcąc go zatrzymać. Ale Matt już odjechał.

Poranne powietrze było chłodne pomimo ładnej pogody. Chwyła więc szal i otuliła nim ramiona, po czym usiadła w fotelu na biegunach.

Otworzyła zeszyt, od razu poznała pismo Elliotta i poczuła, jak lodowy sopel przesywa jej serce i rozdziera duszę.

Po przeczytaniu paru pierwszych linijek zrozumiała, że otrzyma odpowiedź na pytanie, które przez trzydzieści lat zadawało jej tyle cierpień.

Dlaczego mnie opuściłeś?

*

Matt jechał w kierunku San Francisco, prowadząc samochód jak automat.

Był bardzo smutny.

Pośmiertna spowiedź Elliotta przyniosła mu pewną ulgę, która jednak wkrótce ustąpiła miejsca melancholii i przygnębieniu.

Prawdę mówiąc, to pojednanie *post mortem* pozostawiło w nim uczucie niedosytu. Matt był po trosze epikurejczykiem. Wierzył w życie. Pojęcia takie jak: dobra śmierć, odejście w pokoju, sporządzenie pozytywnego bilansu życia, były mu zupełnie obce.

To, czego pragnął, to na nowo przeżyć wszystko z Elliottem. Wsiąść na łódź i popływać po zatoce, pić aperitif w knajpach starego portu, zjeść dobrego pstrąga w restauracji Chez Francis, wyruszyć na wyprawę przez Sierra Nevada...

Po prostu żyć.

Należało dać spokój marzeniom. Elliott umarł, a jego z pewnością niedługo czeka to samo.

W swojej naiwności wyobrażał sobie zawsze, że wszystko kiedyś wróci do normy. Jednak życie podjęło inną decyzję, a lata mijały...

Była teraz trzecia po południu. W miarę jak zbliżał się do miasta, ruch stawał się coraz większy. Zatrzymał samochód na stacji benzynowej, żeby napełnić bak i coś zjeść.

W toalecie parę razy przemył sobie twarz, mając nadzieję, że w ten sposób zmyje z niej zmęczenie i starość. W lustrze ujrzał niewyraźne odbicie. W brzuchu mu burczało, a myśli mąciły znużenie i chandra.

Skąd to wrażenie, że przeoczył coś najważniejszego? Od zeszłej nocy jakaś myśl nie dawała mu spokoju. Miał poczucie, że krąg się nie zamknął, ale nie potrafił powiedzieć dlaczego.

Zamówił kanapkę i usiadł przy stoliku pod oknem, przez które patrzył bezmyślnie na korowód samochodów przesuwających się po drodze numer 101.

Z rozkosznym poczuciem winy wbił zęby w kanapkę z bekonem. Od czasu gdy ostatnie badania wykazały alarmujący poziom cholesterolu, żona zabraniała mu takich smakołyków.

Na szczęście dzisiaj nie było jej przy nim.

Mimo to, między jednym kęsem a drugim sięgnął po pudełeczko z lekarstwem, które miał zawsze przy sobie w kieszeni marynarki. Listek był prawie pusty. Wyłuskał ostatnią pigułkę i popił łykiem kawy.

Ten machinalny gest otworzył jedną z kłapek w jego mózgu.

Odłożył kanapkę, odstawił kubek z kawą i pobiegł do samochodu.

Wreszcie zrozumiał, co męczyło go od kilku godzin!

Opowiadanie Elliotta przeczytał kilka razy. Przyjaciel wspominał wyraźnie, że stary Khmer dał mu dziesięć pigułek! Tymczasem Elliott odbył tylko dziewięć podróży w czasie!

Dziesięć pigułek; dziewięć podróży.

W takim razie, gdzie podziała się dziesiąta pigułka?

Ostatnia pigułka...

Kiedy pojawi się przed tobą kilka dróg, a ty nie będziesz wiedział, którą z nich pójść, nie wybieraj przypadkowo, tylko usiądź i zaczekaj. Czekaj i czekaj. Nie ruszaj się, nic nie mów, i słuchaj swojego serca. Potem, kiedy do ciebie przemówi, wstań i idź tam, gdzie cię poprowadzi.

Susanna Tamaro

Rok 2007

Matt ma lat 61

Matt dotarł do miasta w ciągu pół godziny.

Wpadł na pewien pomysł.

Był on wprawdzie szalony, ale za to przyniósł ukojenie.

Skreślił w stronę mariny i jak za dawnych dobrych czasów zatrzymał się przed domem Elliotta. Miał nadzieję, że zastanie w nim Angie, jednak dom był pusty. Najpierw dzwonił i walił w drzwi, potem przeskoczył przez ogrodzenie i wylądował w ogrodzie. Nic się tu nie zmieniło. Stary cedr z Alaski trwał wiernie na stanowisku, rozpościerając swoją imponującą koronę muskającą szklaną ścianę. Matt był prawie pewien, że w przeciwieństwie do innych posiadłości, w tej nie został zainstalowany alarm. Zdjął płaszcz, owinał go wokół ramienia, po czym mocno uderzył w szklane drzwi od kuchni. Szyba

była gruba, ale Matt miał jeszcze sporo sił. Przełożył rękę przez wybitą dziurę i otworzył drzwi od wewnątrz.

Potem wśliznął się do mieszkania i przez trzy godziny przetrząsał dom od piwnicy po strych, przeszukując systematycznie wszystkie pomieszczenia, otwierając wszystkie szuflady, zaglądając do każdej szafy, a nawet pod ruchome deski parkietu, w nadziei, że gdzieś znajdzie ostatnią pigułkę.

Ale nigdzie jej nie było.

Zapadła już noc, kiedy, szykując się do wyjścia, Matt zatrzymał się przed oprawionym w ramkę zdjęciem Elliotta stojącym pośród kilkunastu fotografii Angie.

Nie wytrzymał i dał upust złości i rozczarowaniu:

– Zakpiłeś sobie z nas, co? – krzyknął do portretu przyjaciela.

Wymyślał mu tak, jakby miał go przed sobą żywego.

– Wszystko to jest pieprzoną bzdurą, prawda? To łgarstwa, które wymyśliłeś, żeby usprawiedliwić swoje zachowanie...

Podszedł bliżej i wbił wzrok w oczy Elliotta.

– Nigdy nie było żadnego starego Khmera! Nie było żadnych pigulek! Nigdy nie podróżowałeś w czasie! Trzydzieści lat temu bredziłeś i powtarzałeś te brednie do samej śmierci!

W geście rozpaczony chwycił ramkę ze zdjęciem i uderzył nią o ścianę.

– Ty draniu!

Doszczętnie wyczerpany zwałił się na fotel.

Dopiero po dłuższej chwili udało mu się odzyskać jaki taki spokój.

Pokój tonął teraz w ciemnościach.

Matt wstał, żeby zapalić małą lampkę stojącą na komódce z malowanego drewna. Nie zważając na odłamki szkła, podniósł ramkę ze zdjęciem i postawił ją na jednej z półek biblioteki.

– Nie miej mi tego za złe.

Biblioteka...

Podszedł bliżej. Pamiętał jeszcze dzień, w którym przyszedł tu, żeby włożyć telegram Elliotta między strony atlasu. Stojąc przed półkami, tak długo przebiegał wzrokiem tytuły książek, aż znalazł tę, której szukał. Wyjął stary atlas, zdmuchnął zeń warstewkę kurzu i kilkakrotnie potrząsnął księgą.

Nic to nie dało. Nagle, kierując się intuicją i nie mając zamiaru tak łatwo zrezygnować, wykonał ostatni gest.

Chwyć leżący na biurku nóż do papieru i wsunął ostrze w wąską szczelinę między okładką i grzbietem atlasu. Pokonując niewielki opór, wydobył stamtąd maleńki plastikowy pakuneczek, który spadł na podłogę.

Matt wziął go do ręki z bijącym sercem. Była to hermetycznie zamykana saszetka. Natychmiast ją otworzył i wysypał zawartość – małą złotą pigułkę – w zagłębienie dłoni...

Starał się opanować podniecenie, ale przyływ adrenaliny był zbyt potężny.

Ostatnia pigułka.

Ostatnia podróż...

*

Co powinien teraz zrobić?

Czy zachowując ostatnią pigułkę, Elliott zamierzał raz jeszcze wrócić do przeszłości? Dlaczego ukrył ją właśnie w tym miejscu, w schowku, który tylko on znał?

Matt chodził tam i z powrotem po salonie, zadając sobie bez przerwy te same pytania, kiedy nagle zadzwonił jego telefon.

Rzucił okiem na ekranik komórki i od razu rozpoznał numer.

– Ilena?

– Tak, to ja. Skończyłam właśnie czytać notatki Elliotta...

Mówiła słabym głosem, próbując opanować strach i wzruszenie.

– To jakieś czyste szaleństwo, Matty, musisz mi to wyjaśnić.

Matt nie wiedział, co odpowiedzieć. Zamknął oczy i pocierał dłonią powieki.

To oczywiste, że Ilenie trudno było uwierzyć w opowieść Elliotta! Czy mogło być inaczej? Jak ją przekonać, by przyjęła do wiadomości tę nieprawdopodobną historię? Przecież nigdy niczego się nie domyślała i nie zdawała sobie sprawy, jaki dramat wstrząsnął życiem ukochanego mężczyzny!

– Na razie nie mogę ci niczego wyjaśnić – oparł Matt.

– Ależ tak! Musisz! – uniosła się Ilena. – Zjawiasz się u mnie, zmuszasz, żebym odgrzebała wspomnienia, przed którymi broniłam się przez trzydzieści lat, a potem znikasz jak złodziej!

– Sprowadzę go dla ciebie, Ileno.

– Kogo?

– Elliotta.

– Ty chyba także oszalałeś! Elliott nie żyje. ON UMARŁ!

– Ale ja go dla ciebie sprowadzę – powtórzył Matt. – Masz na to moje słowo.

– Przestań zadawać mi ból! – wrzasnęła Ilena i odłożyła słuchawkę.

Schował telefon do kieszeni i stanął przed oszkloną ścianą smaganą drobnym deszczem. Był spokojny i zdeterminowany. Teraz wszystko wydawało się jasne.

To on zażyje tę ostatnią pigułkę.

*

W lodówce znalazł butelkę wody Perrier i połknął spory łyk, żeby – bardzo trafne powiedzenie – „pigułka przeszła”.

I po wszystkim.

Za późno, by zmienić zdanie.

Przeszedł do salonu, usiadł w fotelu i położył nogi na biurku.

Teraz trzeba czekać.

Ale na co?

Na niestrawność?

Na skurcze w żołądku?

A może na powrót do przeszłości...?

Czekał i czekał.

Na próżno.

Sfrustrowany wszedł na piętro, poszperał w łazience i znalazł opakowanie proszków nasennych. Zażył dwa, wrócił do salonu i położył się na kanapie.

Zamknął oczy, liczył barany, otworzył oczy, zmienił pozycję, zgasił światło, potem ponownie zapalił...

– Do dupy z tym wszystkim! – krzyknął, zrywając się na równe nogi.

Był zbyt podniecony, żeby zasnąć, więc włożył płaszcz i wyszedł z domu prosto w lodową ulewę. Dobiegł do samochodu,

wystartował jak burza, przejechał przez Fillmore, chcąc dotrzeć na Lombard Street. Minęła północ i ulice były opustoszałe.

Dojeżdżał właśnie do najwyżej położonego punktu Russian Hill – do miejsca, w którym ulica opada serią karkołomnych zakrętów w stronę North Beach – kiedy nagle ogarnęła go senność. Poczuł ból w karku, zamęt w głowie i krew pulsującą w skroniach. Stracił przytomność i opadł na kierownicę, zanim zdążył zatrzymać samochód.

Pojazd z napędem na cztery koła odbił się od krawężnika, zmiażdżył dwie kępy krzewów hortensji, po czym wbił się w metalową barierkę.

*

Rok 1977

Kiedy Matt się obudził, leżał twarzą do ziemi w samym środku zakrętasów Lombard Street. Noc była wyjątkowo ciemna, deszczowa i mglista.

Przemoknięty i ociekający wodą, podniósł się z trudem. Jak długo tak leżał? Spojrzał na zegarek, który niestety nie chodził. Rozejrzał się, szukając wzrokiem samochodu, ale ten zniknął.

Powyżej, na Hyde Street, oświetlony szyld drugstore'u skwierczał w ciemnościach. Matt wbiegł do sklepu, w którym nie było nikogo oprócz azjatyckiego sprzedawcy układającego na półce puszki z napojami gazowanymi. Podeszedł do stojaka z gazetami. Drżącą ręką sięgnął po „Newsweeka”. Na okładce Jimmy Carter szczyrzył zęby w wymuszonym uśmiechu. Z boku znajdowała się data 6 lutego 1977.

Wybiegł ze sklepiku.

W końcu pigułka wywołała oczekiwany efekt! Teraz on wylądował w przeszłości, cofnął się o trzydzieści lat!

Zdawał sobie jednak sprawę, że podróże w czasie trwają krótko. Miał zaledwie kilka minut, żeby znaleźć Elliotta. Najpierw zamierzał wrócić do mariny, ale – zgodnie z tym, co wyczytał w notesie – wiedział, że o tej porze Elliott ma z pewnością nocny dyżur.

Podjęcie właściwej decyzji zajęło mu tylko kilka sekund.

Lenox Hospital był w linii prostej odległy o kilometr. Na piechotę dość daleko, ale co znaczy taka odległość dla samochodu! Stał pośrodku drogi, zamierzając zatrzymać jakiś pojazd, lecz w odpowiedzi słyszał tylko złośliwe dźwięki klaksonów, a bryzgające spod opon fontanny wody spowodowały, że przemókł jeszcze bardziej.

Zdobył się więc na odwagę i zaczął nocny bieg w kierunku szpitala. Raz pod górę, raz w dół ulicami miasta o szczególnej topografii. Zatrzymał się zdyszany dopiero przy California Street. Oparłszy dłonie na kolanach, próbował wyrównać oddech, żałując gorzko, że nie posłuchał rad Tiffany, która – z uwagi na zbędne kilogramy – zachęcała go do codziennego biegania. Zostawił płaszcz na chodniku, bo przypominał teraz ogromną mokrą ścierkę. Pozbywszy się balastu, podjął bieg w strugach ulewnego deszczu. Lepiej umrzeć na zawał serca, niż zrezygnować, będąc tak blisko celu!

Czterdzieści lat czekał na ten dzień! Dzień, w którym on uratuje Elliotta.

Wreszcie dostrzegł światło migające nad wejściem do izby przyjęć nagłych wypadków. Ostatnie sto metrów przebiegł tak szybko, jak mógł, i wpadł do szpitala jakby od tego zależało jego życie.

– Szukam doktora Coopera! – wyrzucił z siebie niczym karabin maszynowy.

– Słucham? – spytała kobieta siedząca w recepcji.

– Szu-kam do-kto-ra El-liot-ta Coo-pera! – powtórzył, starannie oddzielając sylaby.

Uczynna recepcjonistka – co nie należało do rzadkości w latach siedemdziesiątych – podała mu ręcznik, żeby się osuszył, po czym wzięła do ręki plan dyżurów. Już miała przekazać mu informację, kiedy wyręczył ją jeden z pielęgniarzy:

– Elliott jest w kafeterii – rzekł, odłamując zębami kawał czekolady. – Ale to miejsce...

Matt popędził przez hall, nie czekając, aż ten dokończy.

– ...jest tylko dla personelu.

*

Pchnął obydwa skrzydła drzwi jadalni. Była pusta i tonęła w ciemnościach. Zegar ścienny pokazywał drugą w nocy, a z radia za kontuarem dochodziły ciche dźwięki koncertu Niny Simone.

Matt zatrzymał się między rzędami stolików. W głębi sali, oparty o ścianę, z nogami na ławce, siedział Elliott. Przeglądał dokumentację medyczną, pałac papierosa.

– No i co, stary, ciągle pracujesz?

Elliott drgnął i odwrócił głowę w stronę wypowiadającego te słowa mężczyzny. Z początku go nie poznał. Potem spróbował pominąć zmarszczki, ociążałość sylwetki i przerzedzone włosy.

– W ciągu trzydziestu lat człowiek się zmienia, co? – stwierdził Matt.

– To... to ty? – wybełkotał Elliott, podnosząc się powoli.

– We własnej osobie.

Po krótkiej chwili wahania padli sobie w objęcia.

- O kurwa! Skąd się tu wzięłeś?
- Z roku Pańskiego dwa tysiące siódmego.
- Jak mogłeś...?
- Została przecież jedna pigułka – odparł Matt.
- A zatem wiesz już wszystko?
- Owszem.
- Przepraszam za to; co się stało – tłumaczył się Elliott.
- Nie przejmuj się...

Stali teraz twarzą w twarz, zarazem wzruszeni i onieśmieleni.

- Jak ci się żyje w dwa tysiące siódmym roku?
- Starzeję się, ale jakoś leci – odpowiedział Matt, uśmiechając się półgębkiem.
- Czy nadal się gniewamy?

Po chwili milczenia Matt spojrzał przyjacielowi prosto w oczy i oznajmił:

- Ty już nie żyjesz.

W ciszy, która nastąpiła, słyszeć było tylko odgłosy burzy i zanikający głos Niny Simone. Niezdolny wykrztusić z siebie ani jednego słowa Elliott przymknął powieki i pokiwał głową.

W chwili gdy Matt zamierzał coś powiedzieć, strużka krwi spłynęła mu z nosa na koszulę, a całym ciałem zaczęły wstrząsać drgawki.

- Odchodzę! – krzyknął, czepiając się kurczowo Elliotta.

Matt zgiął się wpół, jakby nagle poraził go prąd.

- Przyszedłem, żeby cię uratować – zdążył powiedzieć z wyraźnym wysiłkiem.

Trząsł się tak bardzo, że Elliott zmuszony był pomóc mu usiąść na podłodze.

– A jak zamierzasz tego dokonać? – spytał, klękając obok niego.

– O tak – odparł Matt i wyjął mu z ust papierosa, po czym zwałił się na posadzkę.

Elliott patrzył na przyjaciela z niepokojem. Jego kark zeszywniał, a całym ciałem wstrząsały drgawki.

– Nie tylko ty możesz ratować ludzi – szepnął Matt, próbując się uśmiechnąć.

– Jeśli dożyję, spotkamy się w dwa tysiące siódmym roku – zasugerował Elliott.

– W twoim interesie jest dotrzymać słowa, stary.

– Trzydzieści lat to szmat czasu – zauważył Elliott, biorąc przyjaciela za rękę.

– Spoko, ten czas szybko minie.

W ciągu paru sekund oddech Matta stał się chrapliwy, wzrok szklisty, a twarz wykrzywił skurcz. Zdażył jedynie dodać:

– Czas zawsze mija zbyt szybko... Potem wydał z siebie krzyk bólu i zniknął.

*

Elliott wstał, nie mogąc opanować niepokoju. Powrót Matta do przyszłości był o wiele bardziej bolesny niż powroty jego drugiego wcielenia. Czy udało mu się bezpiecznie dotrzeć do domu? A jeśli tak, to w jakim stanie?

Jak zwykł to robić w chwilach napięcia, sięgnął po paczkę papierosów i czym prędzej zaciągnął się dymem. Nie zważając na deszcz, otworzył okno i wpatrywał się zafascynowany w strugi wody lejące się z nieba.

Tego papierosa Elliott palił wyjątkowo powoli.

Patrząc przed siebie, zahipnotyzowany widokiem ściany deszczu, myślał o ryzyku, jakie podjął przyjaciel, aby uratować mu życie.

– Zaimponowałeś mi, stary! – szepnął sam do siebie w nadziei, że to przesłanie dotrze do Matta.

Zdusił niedopałek na parapecie okna, wrzucił ledwie napoczętą paczkę papierosów do kosza i wyszedł z kafeterii.

Był to ostatni papieros w jego życiu.

*

Rok 2007

Mimo że minęła druga w nocy, w domu Ileny nadal paliło się światło. Na biurku, między laptopem i kubkiem zimnej herbaty, oprawny w moleskin zeszyt z opowiadaniem Elliotta leżał otwarty na ostatniej stronie.

Zmęczona długim płaczem Ilena zaczynała właśnie zasypiać, kiedy leżący na kanapie kot nagle zjeżył sierść, zamiauczał przeraźliwie i skrył się pod komódką.

W tej samej chwili dom zadrżał w posadach, ściany się zatrzęsły, zgasła żarówka oraz rozbił się stojący na podłodze wazon.

Przerażona Ilena wyprostowała się gwałtownie.

Rozległ się głuchy grzmot, potem poczuła silny powiew, i zeszyt Elliotta rozpląnął się w powietrzu na jej oczach!

Drgania stopniowo ustały, a kot wyszedł ze swojej kryjówki, miaucząc żałośnie.

Oślupiała Ilena zastygła w bezruchu. W głowie zaświtała jej szalona nadzieja...

Skoro już nie ma zeszytu, to Elliott być może nie napisał tego wszystkiego. A jeśli nie napisał, to znaczy, że... nadal żyje.

Epilog

Luty 2007 roku

– Halo, proszę pana! Czy wszystko w porządku?

Kiedy Matt otworzył oczy, leżał na kierownicy swojego samochodu z napędem na cztery koła. Z dwóch stron pojazdu policjanci pukali w szyby, zaniepokojeni jego stanem. Matt wyprostował się z trudem i odblokował drzwi.

– Dzwonię po karetkę! – oznajmił zdecydowanym tonem jeden z policjantów, widząc plamy krwi na jego koszuli.

Matt czuł się fatalnie. W głowie mu huczało, a bębenki w uszach pękały. Wsiadł z samochodu i dłonią przesłonił oczy, by ochronić je przed jaskrawym światłem. Całe jego ciało było zeszywniałe, jakby spał przez wiele miesięcy.

Tymczasem policjanci już bombardowali go pytaniami. Po przerwaniu metalowej barierki jego terenowy wóz zatrzymał się na stopniach schodów biegnących wzdłuż najbardziej stromej ulicy miasta. Matt pokazał dokumenty, przyznał, że to on ponosi całą odpowiedzialność za wypadek, i zgodził się na badanie alkomatem, którego wynik okazał się negatywny.

Zwolniony z powinności wobec służb porządkowych, opuścił Lombard Street, nie czekając na przybycie ambulansu.

Po burzy szalejącej poprzedniego dnia ranek był piękny, wietrzny, ale pełen słońca.

Oszołomiony Matt dotarł do mariny, powłócząc nogami. W jego głowie panował jeden wielki zamęt. Teraz nie był już niczego pewien.

Czy podróż w czasie tylko mu się przyśniła? Czy faktycznie udało się uratować Elliotta?

Jak szalony zaczął walić w drzwi domu przyjaciela.

– Otwieraj, Elliott! Otwórz te kurewskie drzwi!

Ale dom był pusty.

Czas nie zdołał zniszczyć ich przyjaźni, ale przyjaźń nie mogła zniszczyć czasu.

Potwornie zmęczony i całkowicie załamany Matt rozplakał się i usiadł na krawężniku. Trwał w tej pozycji, aż jakaś taksówka wyjechała zza rogu Fillmore i zatrzymała się tuż przy nim.

Wysiadła z niej Ilena, pełna nadziei, ale widząc ją, Matt pokręcił tylko głową, dając tym samym do zrozumienia, że mu się nie udało.

Nie dotrzymał słowa, nie był w stanie sprowadzić Elliotta.

*

Ilena przeszła przez ulicę i zrobiła kilka kroków w kierunku plaży. Golden Gate był tuż-tuż, i po raz pierwszy odważyła się spojrzeć na ten przeklęty most, z którego skoczyła przed trzydziestu laty.

Jak zwykle przyciągał wzrok niczym magnes, dzięki czemu był tak fascynujący.

Zahipnotyzowana światłem poranka Ilena podeszła na sam brzeg morza.

Jakiś mężczyzna przechadzał się tuż przy rozbryzgujących się falach.

Kiedy się odwrócił, Ilena zobaczyła jego twarz i serce jej zamarło.

Był tu.